



JAKUB SZAMAŁEK

KIEDY ATENA  
ODWRACA WZROK

**Jakub Szamałek**

**Kiedy Atena odwraca wzrok**

*Rodzicom  
- Grażynie  
i Krzysztofowi  
Szamalkom*

## Podziękowania

Przy pisaniu tej książki pomogło mi wiele osób. Za uwagi i zachętę do dalszej pracy chciałbym podziękować Grażynie i Krzysztofowi Szamałkom, Agnieszce Szamałek-Michalskiej i Danielowi Michalskiemu, Zdzisławowi Książkowi, Natalii Pawłowskiej, Krzysztofowi Pawłowskiemu i Monice Płatek, Lene Thu Phuong, Krzyškowi Wójtowiczowi, Rafałowi Kłoczce oraz Marcie Grabiec, a zwłaszcza Andrzejowi Nowojewskiemu za jego wnikliwe uwagi i sugestie. Dziękuję też mojemu redaktorowi Wojtkowi Górnasiowi, który wyłuskał z tekstu liczne nieścisłości i anglicyzmy. Jestem szczególnie wdzięczny mojej żonie Marysi Pawłowskiej - pierwszej czytelnicy i recenzentce - bez jej wsparcia, cierpliwości i rad nigdy bym nie wyszedł poza pierwszy rozdział.

## Wstęp

Chciałem napisać książkę, po którą sam, jako pasjonat starożytności i powieści kryminalnych, miałbym ochotę sięgnąć. Dlatego postawiłem sobie za cel nie tylko wymyślenie wciągającej fabuły, ale też stworzenie postaci, które będą jak najbliższe historycznym realiom - to znaczy myślące i zachowujące się tak, jakby rzeczywiście należały do innej kultury, wyznawały obce nam wartości i hołdowały nieznanym dziś zwyczajom. Zależało mi jednocześnie, aby moi bohaterowie mówili w jak najbardziej naturalny sposób, a nie wyrażali się jakimś sztucznym, sztywnym językiem pełnym „jednakowoż”, „iżby” i innych „azaliż”, którym w wielu powieściach maskuje się anachronizmy. Starłem się też jak najwierniej zrekonstruować miejsce akcji, opierając się na źródłach pisanych i archeologicznych. Mam nadzieję, że tak przedstawiona starożytność będzie jednocześnie ciekawa i egzotyczna. Czy mi się udało - niech Państwo sami oceniają.

## α

Leochares lubił zapach dymu. Nie z powodu samej woni, tylko wspomnień i skojarzeń, jakie przywoływał. Palące się drzewo oliwne przywodziło mu na myśl dzieciństwo i małe gospodarstwo pod Atenami, gdzie spędził pierwsze lata życia. Co roku na wiosnę trzeba było przejrzeć każde drzewko w gaju, wyciąć suche, martwe konary, które nie przetrwały zimy, gałęzie, które rosły ku dołowi, zamiast piąć się w górę, i te, które krzewiły się zbyt blisko siebie. Te kawałki drewna, które były zbyt małe albo zanadto wilgotne, by nadawały się na sprzedaż, palili na placu przed domem. Buchający z ogniska dym był cierpki i szczypał w oczy, wchodził w ubrania i włosy.

Dym wiecznie unoszący się nad Kerameikosem, dzielnicą garncarzy i burdeli, był z kolei ciemniejszy, cięższy, jakby bardziej dojrzały. Pierwszą kobietę - wytatuowaną, rudą niewolnicę - Leochares posiadł, wdychając tę właśnie woń, w małej alejce biegnącej między warsztatami. Zrobili to w pośpiechu, na stojąco, opierając się o gorącą od pieca ścianę, ich szybkie oddechy zagłuszało ospałe huczenie miechów.

Z kolei lepka, słodkawa woń gotującej się smoły, mieszająca się ze słoną bryzą, przywodziła na myśl Pireus, miasto portowe. To tu Leochares po raz pierwszy zabił człowieka, wioślarza, z którym grał w kości. Długa historia.

Dym, który od miesiący unosił się nad Atenami, był zupełnie inny - wszechobecny i przytłaczający, gryzący, irytujący. Smród palonych chat, pól i martwych zwierząt. Nie sposób było przed nim uciec, odpocząć od niego, nawet jeśli ktoś zaszył się w domu czy tawernie. Nieproszony wciskał się przez szpary pod drzwiami, przez nieszczelne okna i dach. Nie pozwalał o sobie zapomnieć. Ciągłe obecna nutka spalenizny szeptała: wojna, wojna, wojna! Każdy zadawał sobie pytanie - co teraz płonie? Moja winnica? Mój gaj, moje gospodarstwo, dom, który sam budowałem? Od miesiący nic nie smakowało - ser, chleb, oliwki i czosnek były jak popiół i zwęglone drzewo. Bez względu na to, ile ludzie lali na siebie perfum, ile razy się myli - śmierdzieli wędzoną rybą. Ateny były niczym wielki ul pełen ludzi, których ktoś próbował wykurzyć dymem.

Mijało drugie lato wojny 1. Wojny - prywatnym zdaniem Leocharesa - głupiej i bezsensownej. Już było widać, że będzie trwać latami. Ateńczycy schowali się za murami miasta i możliwość wygranej upatrywali w morzu, gdzie nikt nie mógł się z nimi równać, z kolei Spartanie chcieli walczyć tylko na lądzie. A zatem nie będzie wielkich bitew, tylko drobne potyczki i gra na wyczekanie. Spartański król Archidamos spędził całe lato w Attyce.

Oczywiście wiedział, że nie będzie miał z kim stawać w szranki. Zamiast czekać na starcie, palił i niszczył, mając nadzieję, że Ateńczycy dadzą się sprowokować do walki, że czując przy każdym wdechu, jak przepada dorobek ich życia, wymuszają na Peryklesie zmianę strategii. Na razie jednak, choć wszyscy zgrzytają zębami z poczucia bezsilności, nic się nie dzieje.

Było już ciemno, cykady zaczynały swój cowieczorny koncert. Leochares stał na murach miasta i wpatrywał się w rozświetlony ognistą łuną horyzont. Pośród dziesiątków nitek dymu udało mu się wypatrzeć drobny sznur jasnych punkcików. To Spartanie, oświetlając drogę pochodniami, wracają wraz z Archidamosem na zimę do domu. Większość ludzi myśli, że na razie są bezpieczni, że do wiosny będzie już spokój. Leochares wiedział jednak dobrze, że to tylko złudzenie, marzenie ludzi naiwnych i niedoświadczonych. Wojna będzie trwała nadal, ale będzie miała inny charakter. Teraz przyjdzie się zmagać z wrogami wewnątrz murów.

- I co, napatrzyłeś się już? - Głos Demoklesa wyrwał go z zadumy. - Napiłbym się czegoś. Strasznie tu piżdzi.

Leochares przeniósł wzrok na towarzyszy. Scyles, jak zawsze milczący, wpatrywał się w horyzont, dłubiąc jednocześnie w nosie. Demokles, owinąwszy się ciasno płaszczem, kucał oparty o mur i trzął się z zimna.

- Scyles, ile naliczyłeś pochodni? - spytał Leochares, ignorując chłopaka.

- Ciężka powiezieć - odrzekł Scyta swoją łamaną greką - powietrze drze od gorąca, dymy ich zasłania. Między sto a sto trzydzieści.

- Czyli, o ile rzecz jasna nie próbują nas zmylić, wycofują całe wojsko. Świetnie, jutro spróbujemy wyłapać trochę szczurów. Scyles, o świcie masz być przy bramie... Albo nie, sam po ciebie przyjdę. Wybierz dziesięciu swoich chłopaków, takich, co dobrze się czują w terenie, jasne? Niech będą gotowi. I błagam, niech włożą jakieś mniej kolorowe ciuchy. Powiedz, że mają się ubrać jak na polowanie.

- Oczywiście.

- Demokles, ty też idziesz. Masz czekać przed moim domem.

- Bogowie, jaka to upierdliwa robota... - Demokles wstał i otrzepał płaszcz. - Najpierw trzy godziny stoimy w nocy na murze, gapiąc się w horyzont, a jutro wstajemy przed świtem. Świetnie.

- Skoro ci się tak nie podoba - powiedział Leochares, idąc już w kierunku schodów - to zawsze mogę cię odsprzedać temu pornoboskosowi\*, jak on się zwał... Archenaks? Archelas?... Teraz jest duży ruch w mieście, na pewno byś miał co robić.

- Bardzo śmieszne - rzekł Demokles. - Naprawdę, można się w himation\* ze śmiechu posikać. Do jutra.

\*\*\*

Kiedy Leochares otworzył oczy, było jeszcze ciemno. Zsunął się powoli z łóżka, próbując nie budzić Lamii. Sięgnął do misy z wodą i wilgotną ręką przetarł twarz i szyję, zmywając pot i ciężki zapach snu; czuł na szyi świeży, lekko kłujący zarost.

Długo czekał na ten dzień. Obserwował. Wypatrywał gadułów, którzy u fryzjerów godzinami truli o tym, że Perykles został przekupiony, a Aspazja to tania kurwa, która jeszcze parę lat temu wypinała się przed każdym, kto miał w ręku parę miedziaków. Facetów, którzy na agorze\* tonem eksperta mówili o zwycięstwach Spartan, planowanych buntach ateńskich sprzymierzeńców i nieszczelnych statkach. Starych dziadów, którzy w tawernach opowiadali o dwugłowych cielakach, chmurach, z których zamiast wody lała się krew, i innych złowróźbnych znakach, które pewnikiem zwiastują klęskę. Część z tych ludzi jest zwyczajnie przerażona wojną bądź zawiedziona pozorną bezsilnością ateńskich wojsk, inni mają po prostu podły charakter. Niektórzy zaś dostają za swe czarnowidztwo i plotki wynagrodzenie. Leochares dobrze o tym wiedział, bo sam płacił takim ludziom w Sparcie, Koryncie i Tebach. Zszedł po schodach na parter, założył himation. Do torby wrzucił główkę czosnku, cebulę, zeschnięty kawałek chleba i kilka oliwek.

Pod domem czekał Demokles. Musiał stać tu już jakiś czas, bo na głowie osiadło mu kilka kropel rosy. Chłopak miał piękne włosy i dobrze o tym wiedział. Każdego dnia je mył, rozczesywał i skrapiał perfumami. Leochares próbował mu to wyperswadować, ale bez powodzenia. Dziś najwyraźniej nie starczyło mu czasu na poranną toaletę, bo ciemne loki były matowe i splątane.

- Witaj, młody - powiedział Leochares, zamykając za sobą drzwi.

- Cześć - odparł Demokles, trąc oczy.

- Wyglądasz jakoś wczorajszo.

- Nic dziwnego, dla mnie jest jeszcze wczoraj i powinienem teraz spać.

- No tak, jestem pewien, że chciałbyś leżeć w łóżku cały dzień, i to najlepiej w towarzystwie.

- Mhm. Widzę, że swoje kretyńskie dowcipy możesz serwować całą dobę - odgryzł się Demokles. - Żal mi twojej żony. Pewnie ją nimi raczysz od pięciu lat.

- Odczep się od Lamii. Nie znasz się na żartach.

- Nie, to ty masz jakiś problem. Wiem, o co chodzi, chcesz mnie przelecieć, prawda?



Prawda? To czemu po prostu nie powiesz?

- Nieprawda, wcale nie - obruszył się Leochares.

- Takie teksty to możesz wciskać Scylesowi - prychnął Demokles. - Myślisz, że nie widzę, jak na mnie patrzysz? Jak mnie zjadasz wzrokiem? To zrób to, co ja mam w końcu do gadania? Przecież mnie kupiłeś, wypominasz mi to sto razy dziennie przy każdej możliwej okazji, jak stara przekupa, która siedzi cały dzień na rynku i klepie w kółko to samo. Możemy to zrobić tu i teraz, to może wreszcie przestaniesz się przypieprzać!

- Skończ z tymi bzdurami, w tej chwili. Według ciebie cały świat chce cię złapać za tyłek, łącznie z lwem nemejskim\* i trzema Mojrami. Mamy przed sobą ważny dzień i nie mam czasu na głupstwa, rozumiesz?

- Mhm.

- To dobrze. A teraz zwawiej, bo się spóźnimy.

- Mhm.

- I przestań mhm-chać.

- Mhm.

Niewdzięczny gnojek, pomyślał Leochares, przyspieszywszy kroku. Wyciągnąłem go za uszy z gówna, można by oczekiwać, że będzie się czuł choć trochę zobowiązany. Kiedy to było - dwa, może trzy lata temu. Leochares zajmował się niejakim Kallimedonem, który przyprawił rogi paru ważnym osobom. Reputacja frajera nie służy rzecz jasna politycznym ambicjom, toteż zdradzonym mężom bynajmniej nie zależało na rozgłosie. Zwyczajowe przeganianie uwodziciela po agorze z rzepą w tyłku nie wchodziło więc niestety w rachubę - a to wszak wspaniała tradycja... Trzeba było Kallimedona uspokoić w nieco dyskretniejszy, choć niekoniecznie przyjemniejszy dla niego sposób.

Śledził go cały dzień, czekając na sposobną chwilę; wreszcie pod koniec dnia znalazł się w Pireusie. Nawet wiele godzin po zmierzchu port był pełen dźwięków. Wysokie, zimne fale uderzały w nabrzeże z usypiającą regularnością, silny wiatr zrywał dachówki i przewracał dzbany. Było zupełnie ciemno; niebo zlewało się z morzem, ulice już opustoszały. Idealne warunki. Leochares wiedział, że zamężne kobiety nie były jedyną pasją Kallimedona. Gustował też w chłopcach, zwłaszcza w młodszych. Miał swój ulubiony burdel, prowadzony przez jakiegoś wytatuowanego Epirotę, i tam też się udał owej nocy.

Początkowo Leochares planował poczekać, aż Kallimedon wyjdzie, a potem zabrać go na krótką, lecz intensywną męską rozmowę, która na jakiś czas wybiłaby mu z głowy takie igraszki. Przyklęknął w małej uliczce biegnącej wzdłuż burdelu i owinąwszy się grubym wełnianym płaszczem, czekał. Słyszał przytłumione dźwięki - gładki głos Kallimedona,

gardłowy szczekot alfonsa, skrzypiące drzwi, nic nadzwyczajnego. Chwilę potem zaczęły go jednak dochodzić inne odgłosy, nieoczekiwane i nieprzyjemne. Wysoki, młody, podniesiony głos, potem krzyk, płacz. Wreszcie świdrujący uszy wrzask, pełen bólu. Nie moja sprawa, myślał Leochares, zaciskając zęby, nie moja sprawa. Nie pierwsza i nie ostatnia dziwka ma ciężką noc; ryzyko zawodowe. Niech tylko ten skurwysyn wyjdzie, sam będzie wrzeszczał.

Krzyk przeszedł wkrótce w urywane zawodzenie, słychać było też męski śmiech. Tego już było za dużo. Leochares podszedł do wejścia, załomotał, policzył w myślach do dziesięciu i kopnął z całych sił w drzwi. Pornoboskos pochylał się właśnie nad przeziernikiem, kiedy drzwi wyleciały z zawiasów. Epirota runął na podłogę, przewracając stolik i lampę. Leochares doprawił go jeszcze trzema kopniakami i ruszył w stronę izby. Kallimedon właśnie nerwowo się ubierał. Na łóżku leżał szlochający chłopiec - himation miał zadarty na plecach, po nogach ściekała mu krew; lewa ręka była wykręcona w nienaturalny sposób, złamana przynajmniej w dwóch miejscach.

- Ty kurwi synu - wysyczał Leochares.

- Wynocha stąd, won w tej chwili! - wykrzyczał Kallimedon. Nie brzmiało to przekonująco w uszach kogoś, kto nie mógł trafić w rękaw. Leochares złapał go za głowę i wyrzucił ją o kant łóżka. Coś chrupnęło, zęby albo drewno; raczej to pierwsze. Jeszcze raz, mocniej. Rozpruła się poduszka, w powietrze wystrzelił czerwony puch; Kallimedon opadł na śliską od własnej krwi podłogę.

Leochares wziął chłopca na ręce. Teraz zobaczył twarz - piękną, ale spuchniętą i usmarkaną. W sieni Epirota z trudem dźwigał się na kolana. Wychodząc, Leochares rzucił w jego stronę garść monet. Nie targował się. Chłopak kilka lat wcześniej został porwany wraz z rodziną przez piratów, potem ich rozdzielono. Leochares mógł sprzedać Demoklesa z dużym zyskiem, ale szybko się do niego przywiązał. Ponadto okazało się, że chłopak jest wyjątkowo bystry i przydawał mu się w robocie.

Tak, to prawda, Leochares miał chętkę na Demoklesa - ale kto nie miał? Chłopak był zjawiskowo wręcz piękny, jakby ulepiony przez bogów. Wszystko, każdy detal jego ciała - delikatny meszek na zarumienionych policzkach, lekko rozchylone, mięsiste usta, splecione loki kruczoczarnych włosów - był stworzony do miłości i pieszczot. Ale za każdym razem, gdy Leochares o tym myślał, przypominał sobie ów straszny, przepełniony bólem krzyk.

Szli w milczeniu, nie patrząc jeden na drugiego, niosąc w sobie ten rodzaj śmiertelnej urazy, która potem wydaje się absurdalna. Miasto jeszcze spało, powietrze było zimne, kłuło w płuca przy głębszym wdechu. Ulice należały teraz do zwierząt: w piachu widać było świeże ślady kuny albo łasicy, jaszczurki chciwie łapały pierwsze promienie słońca, wylegając się na

progach domów.

Scyles czekał na nich przed domem. Najpierw rzucał się w oczy jego kosmaty wielobarwny płaszcz. Kiedy Leochares zobaczył go po raz pierwszy, spytał rzecz jasna, z czego został zrobiony - ze skóry jakiegoś bawołu, który przemierza bezkresne stepy Scytii, z dzikiego kota albo może innej bestii, o której słyszy się tylko w opowieściach bezzębnych starców? Scyles uśmiechnął się wtedy szeroko, obnażając szerniałe zęby, i powiedział nie bez dumy: „Nie! Z tych, którzy zginęli od moich strzały!”. Dopiero wtedy Leochares dostrzegł to, co było oczywiste: niezwykle płaszcz zszyty był z dziesiątków skalpów. Jak się później okazało, Scytowie używali ich także do dekorowania kołczanów, a czaszki przerabiali na kubki. O to, co robili z resztą ciał wrogów, Leochares przezornie nie pytał.

- Bogowie, musiałeś znów wkładać to okropieństwo?

- Okropieństwo! - odparł urażonym tonem Scyles. - Nic nie rozumiesz. Duchy pokonanych pomagają w bitwie. Prowadzą strzały do celu, a mnie chronią przed ciosy.

- A czemu mieliby to robić? Przecież ich zabiłeś i obdarłeś zeskóry!

- Kiedy uczynisz głowy, ty uwalniasz ich ducha, który inaczej zginąłby wraz z ciałem.

- Mhm - odchrząknął Leochares, nie kryjąc sceptycyzmu wobec scytyjskiej mistyki. - Jakby co, to moją głowę zostaw w spokoju.

- Twoja strata. Mnie i tak jest wszystko jedno, jesteś prawie łysa i z twoich włosów byłaby żaden ozdoba.

- Świetnie, że to ustaliliśmy. A teraz chodź do środka, mamy do pogadania.

Przekraczając próg, opuszczało się Ateny. Na przestrzeni kilku pokoi Scyles i jego kompani odtworzyli swoją ojczyznę, daleką i mroźną Scytię. Dom był pozbawiony okien, ciemny i duszny. Podłogi wyściełały skóry dzikich zwierząt - dzików, łani, nawet niedźwiedzi. Ściany były pokryte rysunkami, które przedstawiały dziwaczne, wielogłowe i zlewające się ze sobą bestie. Ogony lwów przechodziły w szyje ptaków, rogi jelenia zmieniały się w węże, rybnie łuski widziane z bliska okazywały się chrząszczami. Choć zaledwie prymitywnie naszkicowana węglem, ta gmatwanina ciał była oszalamiająca, zdawała się delikatnie ruszać i pulsować. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że te dziwaczne zwierzęta mogą w każdej chwili rzucić się do biegu, że gdyby chciały, uciekłyby przez otwór w dachu niby dym.

Zapach w domu był słodkawy i ciężki, czuć było męski pot i ziarna konopi\*, które czasem tu palono dla poprawy humoru. Pod ścianami siedziało dziesięciu młodych Scytów - w długich zdobionych spodniach, ciemnych tunikach i czapkach o fantastycznych kształtach.

- Słuchaj - powiedział do Scylesa Leochares, usiadłszy przy palenisku - Demokles i ja

obserwujemy od jakiegoś czasu kilkanaście osób, które podejrzewamy o zdradę. Trzej z nich znaleźli się w grupie ludzi, którzy uzyskali zgodę na to, by opuścić miasto i obejrzeć swoje posiadłości. No, oczywiście, w tym jeszcze nie ma nic złego. Większość ludzi chce po prostu zobaczyć, w jakim stopniu ucierpiały ich domy i gospodarstwa. Sądzymy jednak, że ta trójka opuszcza Ateny w innym celu.

- Leo myśli - wtrącił Demokles, zapomniawszy o urazie - że Spartanie zostawili dla nich jakieś instrukcje albo że ci zdrajcy będą próbowali ukryć raporty w umówionych miejscach.

- Wyjdziemy z miasta w chwilę po tym, jak żołnierze wypuszczą ludzi - podjął Leochares. - Podzielimy się na trzy grupy, każda będzie podążać za jednym z nich. Kiedy tylko zrobią coś podejrzanego, natychmiast ich capniemy i przesłuchamy. Bardzo ważne jest, żeby ich zająć zniemacka. Tutaj liczę na twoich chłopaków - muszą być jak cień, muszą nas podprowadzić na tyle blisko, byśmy mogli ich obserwować, pozostając niezauważeni.

- Bardzo prosta - uśmiechnął się Scyles. - Na ludzi polować dużo łatwiej niż na zwierzęta.

\*\*\*

Leochares wziął na siebie Archinosa. Był to starszy, barczysty mężczyzna o kwadratowej, grubo ciosanej twarzy i niebywale wręcz krzaczastych brwiach. Czas odcisnął na nim już swe piętno - był przygarbiony, drżały mu ręce, chodził z wyraźnym trudem.

Leochares zwrócił na niego uwagę parę miesięcy temu. Archinos, podobnie jak inni starsi panowie, spędzał całe dnie na agorze, snując się od straganu do straganu, od golarza do stoiska z perfumami. Wszędzie mówił o tym samym - o niesprawiedliwości polityki Peryklesa, o tym, że Ateny nie mają szansy na wygranie wojny, że miasto stało się zbyt chciwe władzy i że zapłaci straszliwą karę za swoją pychę. Rzecz jasna każdy obywatel mógł mówić, co mu ślina na język przyniosła, ale zapal Archinosa do wygłaszania tych kasandrycznych tyrad był co najmniej zastanawiający.

Teraz się okaże, co motywowało staruszka - zgorzknienie czy może spartańskie złoto? Leochares podążał jego śladem wraz z dwoma Scytami. Młodzi barbarzyńcy poruszali się bezszelestnie, przemykając między pniami spalonych drzew. Leochares dotrzymywał im kroku z najwyższym trudem, łapiąc głośno powietrze, spluwając co jakiś czas gęstą śliną. Attyka wyglądała koszmarnie, jak jedna z tych starych waz, na których wszystko namalowane było na czarno. Setki zwęglonych drzew oliwnych sterczących w równych szpalerach, szczątki domów, pola zasypane popiołem - wszystko ciemne jak smoła. Patrząc na samego

siebie, Leochares miał wrażenie, że zaraził się od umierającej Attyki jakąś chorobą - czarny pył oblepił i jego, pokrył mu płaszcz, nogi, ręce; jego metaliczny smak czuć też było w ustach. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie było jedynie pogorzelsko; pamiętająca pożar ziemia parzyła jeszcze stopy.

Archinos doszedł wreszcie do ruin swego gospodarstwa. Stał pośrodku drogi jak wryty; kostur, na którym się wspierał, upadł na ziemię, wzbijając w powietrze popiół. Nawet z odległości kilkudziesięciu stóp Leochares widział, jak starzec z niedowierzaniem rozgląda się wokół siebie. Podszedł do drzewa oliwnego stojącego tuż koło drogi. Pod jego delikatnym dotykiem małe czarne gałązki odłamywały się i padały na ziemię, rozsypując się w proch. Archinos wydał z siebie dziwaczny, nieludzki jęk. Ze złością chwycił leżący na ziemi kij i zaczął okładać nim pień, tak jak robi się to w okresie zbiorów, by strząsnąć dojrzałe oliwki. Pod razami starca martwe drzewo rozpadało się na kawałki, zwęglone i pomarszczone owoce spadały cicho na ziemię. Archinos nadal wył i połykając łzy, walił coraz szybciej i silniej. Wreszcie opadł wyczerpany na kolana, schował twarz w dłoniach, łkał cicho i długo, załamany. Zerwał się lekki wiatr, zdmuchując powoli dom i gaj Archinosa w niepamięć.

Leochares stał bez słów, zagryzając wargi. Jeden ze Scytów podniósł łuk i spojrzał pytająco w jego stronę.

- Nie, baranie, widzisz przecież, że to pomyłka - odrzekł, odwracając się już, Leochares. - Jedna wielka pierdolona pomyłka.

\*\*\*

Zaczynało się robić naprawdę gorąco, marsz był coraz bardziej uciążliwy; wargi lepiły się do siebie, pot zalewał oczy. Wreszcie Leochares dotarł do miejsca spotkania - porośniętego iglastymi krzewami pagórka, u którego stóp było jedyne w okolicy źródło. Reszta już na niego czekała - Demokles przecierał twarz mokrą chustą, Scyles i jego Scytowie rozsiedli się tam, gdzie można było znaleźć choć trochę cienia. Pośrodku obozu siedział związany mężczyzna - najwyraźniej nie wszyscy wrócili z pustymi sieciami.

Demokles wyszedł mu na spotkanie.

- I co? - spytał chłopak.

- I nic. Archinos to fałszywy trop. A wy kogo macie?

- Kleiniasa. Pamiętasz, to ten sprzedawca perfum.

- Mhm - przytaknął Leochares, próbując schować się w cieniu ostrokrzewu. - Co z nim?

- Niestety, nic specjalnego - powiedział Demokles. Nadal przecierał twarz i szyję,

chusta była już prawie czarna. - Po prostu okazało się, że zakopał na swojej posiadłości skarb, a teraz najwyraźniej postanowił go zabrać. Zastanawiałem się, czy go w ogóle zatrzymywać...

- Dobrze zrobiłeś - przerwał mu Leochares. - Kleinias od paru lat wymigiwał się od liturgii\*, mówiąc, że nie ma pieniędzy. Za takie oszustwo grozi spora kara, możemy to jakoś wykorzystać. No dobrze, a co z tym drugim, którego śledził Scyles? Jak mu tam było na imię?

- Euergos. Nic. Po prostu obszedł ruiny domu i sobie poszedł. Niczego nie podnosił, niczego nie ruszał.

- Niech to szlag. Miałem nadzieję, że złapiemy kogoś ważnego. No nic... Chcę pogadać z Kleiniasem. Gdzie ten jego skarb?

- Leży razem z moimi rzeczami. Już przynoszę.

Leochares położył na ziemi worek ze skarbami i usiadł obok jeńca. Kleinias był mężczyzną po trzydziestce, z zadbaną brodą, zawsze dobrze ubrany. Teraz był cały utyłany w kurzu i popiele, miał spękane usta.

- Chcesz się napić?

Kleinias kiwnął głową. Leochares podstawił mu do ust bukłak. Kleinias pił łapczywie, wino ściekało mu po brodzie i szyi. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Podobno interesy ci nie idą?

- No nie idą. Jak jest wojna, to ludzie nie myślą o perfumach, tylko o tym, co do garnka włożyć.

- Ale, jak widzę, biedy nie klepiesz - powiedział Leochares, pstrykając w worek. Rozległ się cichy, metaliczny dźwięk.

- To rodzinny skarb, nic ci do tego.

- O, wręcz przeciwnie. Unikałeś podatku, a to przestępstwo.

- Podobnie jak pobicie i porwanie obywatela - odparł szorstko Kleinias. - Jeśli tak cię interesuje stan skarbcza, to mnie pozwij. Nie rozumiem, co tu się dzieje! Nie masz prawa mnie tak traktować!

Zamiast odpowiedzieć, Leochares wysypał zawartość worka na ziemię. Złoto i srebro zalśniły w popołudniowym słońcu.

- Piękna kolekcja. Biżuteria, naczynia, monety... Warte ładnych parę min\* - powiedział Leochares. - Skąd to masz?

- Mówiłem ci, rodzinny skarb. Po ojcu.

- Aha. A tatuś kiedy zmarł?

- Nie twój zasrany interes.

- No, nie bądź taki niemący. Im szybciej skończymy tę rozmowę, tym szybciej cię

puszczę. Jeszcze raz: kiedy zmarł twój ojciec?

- Będzie jakieś dwadzieścia, nie... czternaście lat temu.

- To bardzo ciekawe. Skoro już mówimy o naszych ojcach - powiedział Leochares, przeglądając rozrzucone kosztowności - to mój był złotnikiem. Mówię ci, podły zawód! Może nie taki męczący jak uprawa ziemi, ale wymagający nieludzkiej cierpliwości. Stary godzinami siedział nad jednym kolczykiem czy wisiosem, nakładając granulki złota albo wyciskając wzory na srebrnych blaszkach...

- Po co mi opowiadasz te pierdoły?! Odpowiedziałem na twoje pytanie, a teraz mnie wypuść!

- Jeszcze nie skończyłem mówić, zamknij się. Na czym to ja... - zadumał się Leochares, drapiąc się po brodzie. - Aha, no i czasem ojcu pomagałem. Zwłaszcza jak się już zestarzał i niedowidział. Nudne to było niezmiernie, nienawidziłem tego. I ten zaduch warsztatu...

- Wypuść mnie, bo pożałujesz! Może jesteś zausznikiem tej kurwy Aspazji, ale...

- Już ci powiedziałem, zamknij się. Otóż teraz okazuje się, że te dłużące się godziny pracy mi się przydają! Niebywałe, prawda? Spójrz, na przykład ten piękny kielich nie mógł być zrobiony wcześniej niż jakieś pięć, dziesięć lat temu. Można to poznać po dekoracji, jeszcze niedawno takich wzorów nie grawerowano.

- Ten kielich to ja kupiłem - odparł szybko Kleinias. Za szybko. - Za część spadku po ojcu, kupiłem go niedawno.

- Ach tak? A na przykład te kolczyki... - Leochares wziął je do ręki i zdmuchnął popiół. - Naprawdę przepiękne, choć wyglądają dziwnie. Jeszcze takich w Atenach nie widziałem, chyba je zrobiono gdzie indziej? Zwinięta zręcznie blaszka tworzy coś w rodzaju malutkiej łódeczki albo może bukłaczka... A tobie z czym się kojarzy?

Kleinias był biały jak ściana. Szczeka troszkę mu opadła i zaczęła drgać, powieki latały nerwowo. Leochares znał te znaki doskonale i witał je z radością. A jednak.

- Eee, hee - wyjęczał Kleinias. - No nie wiem, chyba z niczym mi się nie kojarzą, no nie wiem... A nie chciałbyś ich sobie wziąć? Może masz córkę albo żonę i wtedy...

- Nie, nie, nie ma potrzeby, tylko się przyjrzę. - Leochares obracał powoli kolczyki w dłoni. A więc to one były kluczem do strachu Kleiniasa... - A, to ciekawe. Wiesz, jednak za wcześnie zacząłem je chwalić. Są spartaczone. Zobacz, blaszka jest zgięta, jej brzegi się stykają, ale nie są ze sobą połączone. W palcach kogoś nieostrożnego mogłaby się rozwinąć i kolczyk byłby zniszczony...

- Nie, zostaw je! Zostaw!!!

- Ach, niezdara ze mnie! Zobacz, jednak się rozwinęła. A na spodniej stronie jest coś napisane. To chyba jakaś wiadomość od świętej pamięci papy? Tylko czemu skrobał do ciebie w lacedemońskich literach?

Kleinias nic nie odpowiedział. Był przerażony, pomimo upału drżał na całym ciele.

- „Przesyłka gotowa - czytał na głos Leochares. - Dostarczymy niedługo. Do odbioru w stałym miejscu. Przekaż Proteuszowi. Podwójna zapłata po ukończeniu”.

Leochares oderwał oczy od zapisanej blaszki. Kleinias siedział w kałuży własnego moczu, bezgłośnie łkał. Wiedział, co to oznacza.

- Taaak - powiedział Leochares, wstając. Otrzeptał himation z igliwia i grudek ziemi. - Miło się gawędziło. Dokończymy tę rozmowę w Atenach.

\*\*\*

Ateny były przepelnione. Kobiety pół dnia stały w kolejkach do studni. Jedzenie czegoś innego niż samo zboże i oliwki stało się przywilejem bogatych, najgorsze nawet wino było dwa razy droższe niż przed wojną. Spędzeni do miasta ludzie tłoczyli się w każdym możliwym zaułku. Ci, którzy mieli tu rodzinę, sprowadzali się do domów krewnych, często ku ich rozpacz. Pozostali klecili tymczasowe domostwa, gdzie tylko się dało - na placach, w sanktuariach i świątyniach, na poboczach ulic, a nawet między murami łączącymi Ateny z Pireusem. Idąc od bramy w stronę agory, Leochares i Demokles brnęli przez tłum spoconych, zmęczonych ludzi. Większość z nich snuła się bez celu - nie mieli pracy, którą mogliby się zająć, nie stać ich było na jakiegokolwiek rozrywki. Nie podoba mi się to - myślał Leochares. - Kiedyś znałem tu prawie każdego, wiedziałem o wszystkim, co się działo w mieście. Za dużo tu nowych ludzi.

- Co teraz zrobisz z Kleiniasem? - zapytał Demokles, wytrącając go z zadumy.

- Teraz? Nic. Pójdę do domu coś zjeść.

- Co? Złapałeś szpiega i pójdziesz po prostu do domu?

- Nie inaczej. Dam trochę czasu Scylesowi i jego chłopakom, oni powinni odrobinę Kleiniasa zmiękczyć. Poza tym muszę się zastanowić, jak go podejść, jak z nim rozmawiać.

- Po co? Przecież on jest przerażony, powie ci, co tylko zapragniesz.

- Właśnie o to chodzi. Chcę, żeby powiedział mi prawdę, a nie to, co chcę usłyszeć. Nie ma się co spieszyć, mamy czas. Ja muszę porozmawiać później z Peryklosem, a ty masz się dowiedzieć więcej o Kleiniasie. Z kim się spotyka? Kto mieszka u niego w domu? Zrób to, zanim rozejdzie się wieść, że został zatrzymany.

- Dobrze, nic prostsze.



- Zuch chłopak. No, już jesteśmy na miejscu. Do zobaczenia jutro.

Leochares otworzył drzwi i wszedł do środka. Po nagłym przejściu z rozgrzanej oślepiającym światłem ulicy do ciemnego, chłodnego wnętrza domu ćmiło mu się przed oczami. Usiadł ciężko na stojącej przy drzwiach ławie i zrzucił z siebie himation.

- Lamia! - krzyknął. - Lamia, zjedź na dół!

- Pani nie ma w domu - powiedziała Lydike, ich niewolnica. - Wyszła jakąś godzinę temu.

- Ach tak? A po co? - zapytał zirytowany Leochares.

- Powiedziała, że jej przyjaciółka będzie rodzić i idzie jej pomóc.

- Bardzo ciekawe... Jest woda w domu?

- Tak, jeszcze tak.

- To przygotuj mi balię ciepłej wody, mam ważne spotkanie i muszę się wymyć. I zrób coś do jedzenia, może być coś małego.

- Tak, panie.

Leochares już nie odpowiedział - wchodził na piętro. Wparował do pokoju Lamii i otworzył jej skrzynię. Aha, pomyślał, przerzucając ubrania. Wyszła w swoim najlepszym chitonie\*, to ciekawa kreacja jak na przyjmowanie porodu... Przejrzał woreczek z biżuterią - brakowało złotych kolczyków i naszyjnika z błękitnym kamieniem. Na podłodze leżały jej włosy, a Lydike sprzątała przecież dom, kiedy wychodził rano - zatem Lamia układała włosy przed wyjściem... Zdzira.

Rozsierdzony Leochares zszedł na parter. Wskoczył do balii i zaczął szorować się gąbką. Krople wody ściekały powoli po ciele, wytyczając wijące się ścieżki na pokrytej popiołem i pyłem skórze. Lydike stała obok ze wzrokiem wbitym w ziemię i nerwowo mięła róg sukni.

- Nie stój tak jak kołek - warknął. - Przynieś mi ręcznik.

Leochares wyszedł z balii, zostawiając mokre plamy na podłodze. Zrzucił na ramiona ręcznik i przeszedł na podwórko. Usiadłszy na ławie, pogryzał cierpkie oliwki, które doskonale komponowały się z jego obecnym nastrojem.

Zdzira, najzwyczajniejsza zdzira, powtarzał w myślach Leochares, wypluwając pestkę. Ciekawe, od kiedy się tak prowadzi. Jeszcze nie tak dawno było mu z nią dobrze, budziła w nim czułość, pożądał jej ciała. Ale od początku wojny była nieznośna, nieposłuszna, wiecznie niezadowolona. Źle ją sobie wychował. Przyjaciele powtarzali mu: musisz uformować swoją żonę, przyzwyczaić ją do obowiązków. Dobra żona jest skarbem, niczym królowa pszczoł wspaniale zarządza domem i gospodarstwem. Zła jest najgorszym przekleństwem, gorgoną\* i

harpia\*, która może zatruć życie i zrujnować najbogatszego. Ale on nie miał do niej ręki, pozwalał jej na zbyt dużo - spotkania z koleżankami, spacery na agorę z Lydike, naukę gry na flecie i inne tego typu fanaberie. To się musi skończyć.

Leochares usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe. Zerwał się i wszedł do domu. Tak jak myślał, Lamia wróciła. Wydawała się speszona jego widokiem, unikała jego wzroku.

- Witaj, mężu - wybąkała.

- Witaj, ukochana żono - odparł Leochares. - Piękna pogoda, prawda? Aż chciało się odetchnąć świeżym powietrzem, co?

- Przestań, proszę - powiedziała cicho Lamia. - Przyjmowałam poród, to nie było nic przyjemnego.

- A czyje to dziecko?

- Adelfe, żony Adrastosa...

- Chyba zapominasz, czym ja się w tym mieście zajmuję - wysyczał przez zaciśnięte zęby Leochares. - Adelfe poroniła tydzień temu. Adrastos chce się z nią rozwieść. Przygotuj sobie lepszą wymówkę następnym razem, o ile w ogóle będzie następnym razem. Naprawdę, jesteś głupsza niż Dejanira! Gdzie byłaś?

- Przepraszam - powiedziała cicho Lamia, opuściwszy głowę. - Ja... spotkałam się po prostu ze znajomą, wyszedłeś tak wcześnie rano, że nie mogłam spytać cię o pozwolenie.

- Czemu kłamałaś?

- Wiedziałam, że będziesz zły, nie chciałam, ja...

- A po co ci były kolczyki i naszyjnik?

- Ja, ja przecież nie brałam...

- Och, dość tego pieprzenia - warknął Leochares. - Nie mam teraz czasu na tę rozmowę. Idź na górę do swojego pokoju, w tej chwili.

- Le-eo, ja... - wyjąkała Lamia.

- Ani słowa więcej. Marsz na górę. Bo cię tam wciągnę za włosy.

Lamia spojrzała na niego jeszcze raz, miała oczy mokre od łez. Weszła na piętro; drzwi zamknęły się cicho.

- Lydike... - powiedział, spokojniejszy już, Leochares. - Zamknij drzwi od jej pokoju i pod żadnym pozorem jej nie wypuszczaj. Zanieś na górę kolację, ale niedużą. Rozumiesz?

- Tak, panie - bąknęła wystraszona dziewczynka.

- Świetnie. Będę przed zachodem słońca.

\*\*\*

Czekając, aż zostanie zaproszony do gabinetu, Leochares usiadł na kamiennej ławie. Rozejrzał się wokół, mimo że znał ten dom równie dobrze jak swój. Cieszyło go, że Perykles mieszka skromnie, pomimo tego, że był najpotężniejszym człowiekiem w mieście. Żadnych malowanych ścian, podłóg ułożonych z małych kamyczków czy srebrnych ozdób, jakie widuje się u tych zniewieścialsów z azjatyckich miast.

- Wejść - zza drzwi odezwał się kobiecy głos. No tak, pomyślał Leochares, wznosząc oczy ku górze, tego mi tylko brakowało...

Aspazja siedziała w wyłożonym poduszkami fotelu, w dłoni trzymała kubek pełen wina. Na stojącym przed nią stolicku rozłożone były dokumenty - pokryte gęstym pismem woskowane deseczki i ostrakony\*. Nie podniosła wzroku, kiedy wszedł; leniwym gestem wskazała mu krzesło. Mimowolnie rzucił okiem na jej nogi. Miała zniewalające stopy i kostki...

- Słyszałam, że nagonka się udała? - powiedziała, wciąż czytając.

- Mhm. Udała się.

- To może się pochwalisz? Kogo złapaliście?

- To nie są tematy dla kobiet. Chcę rozmawiać z Peryklosem.

- Chyba żartujesz - powiedziała Aspazja, podnosząc głowę. Miała zmęczone, zaczerwienione oczy, wściekły wyraz twarzy; jej kolczyki zabrzęczały ostrzegawczo. - To nie jest temat dla mnie?

- Słuchaj, to nic osobistego, ale...

- Nie, ty słuchaj - przerwała mu ze złością Aspazja. - Na wypadek gdybyś nie wiedział, to ja piszę Peryklesowi mowy, ja mu doradzam, jak odpowiadać lakońskim posłom, ja mu mówię, gdzie wysłać statki. Jedyne powód, dla którego to nie ja jestem strategiem\*, to że nic mi nie dynda między nogami. Więc przestań stroić fochy, powiedz, co masz do powiedzenia, albo przestań marnować mój czas i zjeżdżaj.

Leochares był wściekły, zacisnął pięści. Ale nie odpowiedział.

- Rozumiem, że dotarło. Jeszcze raz: kogo złapaliście?

- Kleiniasa, sprzedawcę perfum, z demu\* Pallene.

- I co?

- Odebrał wiadomość od Lacedemończyków, przygotowują jakąś przesyłkę, która ma być niedługo przerzucona do miasta. Jeszcze nie wiem, co to może być.

- A kiedy będziesz wiedzieć? - spytała Aspazja, notując coś szybko.

- Dziś jeszcze przepytam Kleiniasa, może mi powie. A jak nie on, to ktoś inny.

Kwestia czasu.

- Dobrze, ale pospiesz się. Perykles mówił mi, że masz jakieś sugestie co do bezpieczeństwa miasta. O co chodzi?

- Szpiedzy Sparty szykują coś dużego - zaczął Leochares. - Przez ostatni rok byli uciążliwi, ale przewidywalni. Nie zrobili nic szczególnie groźnego: parę razy przekupywali sędziów albo strażników, uszkadzali statki, rozsiewali plotki... Krótko mówiąc, uprzykrzali nam życie. A teraz nic, siedzą cicho. Parę osób, które podejrzewałem, nagle zniknęło z miasta; pozostali zaszyli się w domach. Nie przyjmują nikogo, nie wychodzą, nie wysyłają żadnych wiadomości. Wydawało mi się, że to cisza przed burzą, i ta przesyłka dla Kleiniasa dowodzi, że mam rację. Coś się stanie, i to już za parę dni.

- No, jesteś tu od tego, żeby właśnie się nie stało. Co sugerujesz?

- Miasto jest dziurawe, za łatwo się tu wchodzi i wychodzi. Przez najbliższe dwa tygodnie Ateny muszą być zamknięte. Żadne statki nie powinny wypływać ani wpływać bez zezwolenia. Ludzie mający długi nie mogą pilnować bram, zbyt łatwo można ich przekupić. Nie wpuszczać kupców, posłańców, ambasadorów i im podobnych, a jeśli to absolutnie konieczne, trzeba ich przeszukiwać przy wejściu, a potem śledzić i zamykać na noc. Żadnego świętowania poza murami Aten, bo ktoś mógłby wmieszać się w tłum powracający do miasta.

- Co dalej?

- Trzeba ograniczyć szpiegom możliwość komunikacji. Musicie zakazać używania pochodni i lamp w okolicach portu i murów. Światłem można dawać znaki. Żadnych prywatnych zgromadzeń, poza pogrzebami i ślubami. Ponadto trzeba ogłosić nagrody dla informatorów. No i przydałoby mi się więcej ludzi...

- Prosisz o dużo - powiedziała Aspazja, drapiąc się rysikiem po karku. - Na razie mogę tymczasowo zrezygnować z otwarcia bram, a co do reszty... Porozmawiam z Peryklosem.

- Takie pieprzenie to możesz zachować dla swojej służącej - przerwał Leochares. - Nie ma co gadać, tylko trzeba się wziąć do roboty.

- Po pierwsze, nie klnij, kiedy ze mną rozmawiasz. Powiedzieliś, co miałeś do powiedzenia, wysłuchałam cię i muszę się zastanowić. A teraz wybacz, mam inne rzeczy do zrobienia. No, wiesz, gdzie są drzwi...

\*\*\*

- Ten człowiek jest już bardzo, bardzo wystraszona - powiedział z uśmiechem Scyles.  
- Gotowy do rozmowy.

- Co mu zrobiliście? - spytał Leochares.

- Nic takiego - odparł Scyta, wzruszając ramionami. - Daliśmy mu różne zioła, takie,

po których człowiek nie potrafi odróżnić snu od jawa, a człowieka od cień. Potem trochę go pomęczyliśmy, pokazałem mu też swoje trofea, opowiedzieć, jak się je zdobywa, no i...

- Aha, wystarczy - odparł Leochares. Jemu się robiło od tych historii słabo bez żadnych ziół. Kiedy pierwszy raz zobaczył kubek Scylesa zrobiony z ludzkiej czaszki, prawie się porzygał. - Zaprowadź mnie do niego.

Kleinias był zamknięty w małym, ciemnym pokoju. Siedział skulony w kącie, kolebiąc się z jednej strony w drugą. W miejscu paznokci miał krwawe plamy. Oddychał szybko, był zlany potem; oczy, mimo że otwarte, zdawały się nie widzieć.

- Od jak dawna szpiegujesz dla Lacedemonu? - zaczął Leochares, siadając koło niego.

- Kim... Kim jesteś? - wychrypiął Kleinias.

- To nie jest ważne. Odpowiadaj na pytania, bo inaczej zostawię cię Scytom do zabawy.

- Od siedmiu miesięcy - powiedział szybko.

- Kto cię zwerbował?

- Teopompus, rzeźnik z demu Sfetos.

- Kim jest Proteusz?

- Nie wiem.

- No, zobaczmy, co powiesz Scylesowi i jego chłopakom... - pogroził Leochares, powoli wstając.

- Nie, nie, naprawdę nie wiem! Naprawdę! - wrzasnął Kleinias. - Nikt nie wie, kim jest Proteusz.

- Jak to?

- Nawet Teopompus nigdy go nie widział, wysłała mu wiadomości przez kogoś innego.

- Aha. No to czym jest ta cała „przesyłka”?

- Nie wiem, nie mam pojęcia, ja tylko przekazywałem informacje!

- Dobra, jeszcze to sprawdzę. Lepiej, żebyś nie kłamał. Mów, jak miałeś „dać znać” o tej „przesyłce”?

- Wiadomości zawsze wysyłałem tak samo - mówił szybko Kleinias. Ślina ciekła mu po brodzie, oczy łzawiły. - Rozpruwałem skórzany bukłak, wpisywałem tekst po wewnętrznej stronie i znów zszywałem. Potem zostawiałem go na dnie tej wyschniętej studni u stóp Pnyksu.

- Dobrze. A co to za „stałe miejsce”, w którym miałeś odebrać truciznę?

- Nie wiem, nie ja ją miałem odebrać, ja tylko miałem przekazać wiadomość!

- Powiedzmy, że ci wierzę. Też bym ci takiego zadania nie powierzył. Powiedz lepiej, jakich szpiegów jeszcze znasz?

- Nikogo, tylko Teopompusa... Nic więcej nie wiem, wypuść mnie stąd, wypuuuuuść!  
- jęknął Kleinias rwącym się głosem.

- Dobra, nie mazgaj się już. Odeślemy cię zaraz do więzienia przy agorze, będziesz miał proces jak się patrzy, bez żadnych Scytów.

- Dziękuję, dziękuję... - wydukał więzień.

Leochares nie odpowiedział; wstał, spojrzał na niego z obrzydzeniem i zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Nie spieszył się do domu - musiał przecież porozmawiać z Lamią, a nie miał na to najmniejszej ochoty. Jak zawsze po spotkaniu z Aspazją, był poirytowany, czuł, że powinien trochę ochłonąć. Zamiast wracać do siebie, odbił w stronę Olimpiejonu. Słońce chyliło się ku zachodowi i upał wreszcie zelżał, szorstki himation nie drażnił już spoconego karku, piasek nie parzył w stopy. Zaczynała się krótka, najprzyjemniejsza część dnia.

Leochares usiadł na podeście nieukończony świątyni. Przed wojną Olimpiejon był zawsze opustoszały, ale teraz, gdy miasto wypełniło się po brzegi, i tu tętniło życie. Między pokrytymi porostem kolumnami rozciągnięto sznurki, na których schły ubrania, przy rozpadającym się murku obdarci dzieci bawiły się szmacianą piłką. W rogu placu, który miał być naosem\*, kuczał staruszek. Niepewnie balansując, podcierał się garścią suchej trawy, jednocześnie przyciskając brodą płaszcz do piersi. Leochares spojrzał na niego z niesmakiem. Ateny nigdy szczególnie czyste nie były, myślał, ale teraz, kiedy zwały się tu tłumy wieśniaków przyzwyczajonych do wypinania się, gdziekolwiek ich dopadnie potrzeba, miasto stało się nie do zniesienia. Jeszcze trochę i Spartanie nie będą mieli z kim walczyć, bo utoniemy we własnym gównie.

Trzeba jak najszybciej dorwać tego Teopompusa, pomyślał Leochares, odwracając wzrok. Najlepiej jeszcze dziś w nocy, albo może raczej z samego rana. Z tego, co powiedział Kleinias, wynika, że rzeźnik stoi o szczebel wyżej w hierarchii, więc może gdzieś mnie doprowadzić. No i muszę wykorzystać tę studnię, zobaczyć, czy używa jej jeszcze jakiś szpieg, który zbiera wiadomości. Za to też koniecznie trzeba się jutro zabrać. I jak najszybciej znaleźć Proteusza i przynieść jego głowę Peryklesowi na tacy.

Proteusz... Ciekawy pseudonim. Imię nieuchwytnego bożka, który wiecznie zmienia kształty. Leochares starał się sobie przypomnieć, w którym momencie Odysei się pojawia, ale

bez sukcesu. Chyba po tym, jak Odyseusz i spółka zarznąli woły boga słońca Heliosa? Zresztą nieważne. Porównywać się do boga to hubris\*, a ja będę jego Erynią...

Zaczynało mu być już zimno w tyłek od siedzenia na kamieniu. Pora wracać do domu.

\*\*\*

Lamia siedziała skulona w kącie łóżka, owinięta ciasno płaszczem. Przed nią stała taca z nietkniętą kolacją. Leochares zastanawiał się, czy rzeczywiście była tak przejęta, że nie chciała jeść, czy udawała, żeby go zmiękczyć. Wystarczyło jednak chwilę dłużej popatrzeć na jej drgające usta i mokre oczy, żeby nie mieć więcej wątpliwości. Leochares usiadł obok niej na łóżku, położył jej dłoń na kolanie. Nie uspokoiło jej to wcale, zaczęła drżeć.

- Jeszcze raz, spokojnie i bez kłamstw - powiedział cicho Leochares. - Po co wyszłaś dziś z domu i czemu się tak wystroiłaś?

- Spotkałam się ze Stratokleją, ona była ze swoją służącą - odpowiedziała po chwili Lamia. Głos jej się łamał, przelykała łzy. - Poszłyśmy na agorę, do Stoi Poikile.

- Dobrze. Po co?

- Po nic, po prostu chciałam zobaczyć obrazy... Odkąd zaczęła się wojna, cały dzień siedzę w domu, nigdy cię nie ma - Lamia podniosła głos, wycieńczona własnym strachem próbowała zakrzyczeć go złością. - A kiedy wreszcie przychodzisz, nawet się nie odezwiesz, nie interesuje cię, co się ze mną dzieje. Dla ciebie równie dobrze mogłabym być niemową...

- Uspokój się - upomniał ją Leochares. - Tak jest i będzie. Jesteś kobietą i żyjesz w domu, ja jestem mężczyzną i żyję poza nim. I tak masz ze mną dobrze, pozwalam ci zapraszać koleżanki, uczyć się czytać, a ty jak mi się odwdzięczasz? Szlajasz się po mieście jak najtańsza kurwa.

Lamia schowała twarz w dłonie, skuliła się w sobie jeszcze bardziej.

- Pozwól mi wrócić do ojca, dopóki trwa wojna. Jak już będziesz mniej...

- Nie ma mowy - uciął Leochares. - Zapomnij!

Nic nie odpowiedziała. Leochares chciał ją pogłaskać, uspokoić, ale odsunęła głowę.

- Jak sobie chcesz - powiedział Leochares, wstając. Zdjął z siebie ubranie, położył je na taborecie. Obmył twarz wodą, napił się trochę wina i położył. Lamia siedziała nieruchomo po drugiej stronie łóżka, gdy zasypiał. Była tam też, kiedy się obudził następnego dnia.

\*\*\*

Leochares spotkał się z Demoklesem w małej tawernie na tyłach mennicy, tuż przy agorze. Byli pierwszymi klientami, mało kto miał ochotę pić o tej porze.

- Daj no dwa kubki, wino pół na pół z wodą - zwrócił się Leochares do właściciela, niskiego faceta z włochatymi rękoma - i trochę chleba.

- Ostre picie od rana, co? To wszystko?

- Na razie tak, dzięki. No dobrze, mały, czego się dowiedziałeś o Kleiniasie?

- Niestety niewiele, chociaż sterczałem pod jego domem cały dzień - powiedział Demokles. - Mieszka z żoną, dwiema córkami i kuzynem, który wprowadził się na czas wojny. Kobiet w ogóle nie widziałem, z tego, co mówią sąsiedzi, w ogóle nie wychylają nosa poza próg.

- Czyli jednak są takie... - burknął Leochares, maczając kawałek chleba w winie. - No, a co z tym kuzynem?

- Nic ciekawego. Ma opinię głupka i chyba zupełnie zasłużenie, takiej tępej gęby dawno nie widziałem. Siedział przed domem i pół dnia grał sam ze sobą w kości.

- Faktycznie, nie wydaje się, żeby to miał być jeden z siedmiu mędrców... Ktoś do nich przychodził?

- Nikt.

- Dziwne. Spodziewałem się, że ktoś wpadnie zobaczyć, co się z nim dzieje...

- Nie chcesz przeszukać jego domu? - spytał Demokles.

- Nie, nie sądzę, żebyśmy tam coś ciekawego znaleźli. Nie mógł być na tyle głupi, żeby trzymać w domu cokolwiek, co mogłoby go obciążyć, a ja nie chcę im pokazać, jaki Kleinias jest dla nas ważny. Ale mamy co robić: Kleinias powiedział mi wczoraj, kto jest jego kontaktem. Pójdziemy zaraz złożyć wizytę pewnemu rzeźnikowi, Teopompusowi.

- To ten samotnik, który mieszka w Kerameikosie?

- Ten. No, dopijaj swoje wino i lecimy.

\*\*\*

Dom rzeźnika można było rozpoznać z daleka - pod drzwiami leżały trzy bure psy, czekając na ochłapy. Co jakiś czas jeden z nich podnosił uśliniony pysk i łapczywie wciągał powietrze. Widać kundle czuły zapach świeżego mięsa.

- Jesteś pewien, że we dwóch sobie poradzimy? - spytał Demokles.

- Jakich dwóch? Ty masz w ogóle zamiar tam ze mną wchodzić? - zdziwił się Leochares.

- Faktycznie, nie. Dasz sobie radę sam?

- No cóż, nie bardzo mam wybór. Licz do stu, jak nie wrócę, to leć po Scytów.

- Czemu od razu ich nie wzięliśmy?



- Bo pół miasta by na to zwróciło uwagę, a tego nie chcemy.

- Ale...

- Żadnych ale. Zaczynasz liczyć, w momencie kiedy wchodzę do środka.

Leochares podszedł do domu Teopompusa, psy niechętnie się odsunęły. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi. Zamknięte.

- Hej, jest tam kto? Teopompus? - zawołał Leochares, ale nikt nie odpowiedział. Zaniepokoił się. Było za wcześnie, żeby rzeźnik był już na agorze, a zatem albo uciekł, albo wiedział, kto do niego puka. Obydwie możliwości oznaczały kłopoty. Leochares postanowił porzucić grzeczności i z całej siły kopnął. Zamek puścił, drzwi gwałtownie się otwarły.

Teopompus leżał tuż za progiem, w korytarzu. Z pleców wystawał mu rzeźniczy tasak, ściany były obryzgane krwią. No tak, pomyślał Leochares, ta możliwość nie przysła mi do głowy.

Kucnął nad ciałem, kozikiem nadciął nadgarstek. Krew już nie leciała, a zatem Teopompus nie żył od dłuższego czasu. Tasak wszedł w ciało tak głęboko, że musiał go zabić od razu. Leochares wyszarpnął go z pleców rzeźnika, przeganiając stadko much. Teopompus miał w ręku gliniany uchwyt od lampki, która strzaskała się, kiedy upadał, ale nie widać było żadnych innych przedmiotów. Miał na sobie lekką tunikę, pewnie w niej spał.

Leochares podniósł się i spojrzał na rozwalony zamek. Był to prosty skobel, a zatem drzwi były zamknięte od wewnątrz. Ktokolwiek załatwił Teopompusa, musiał wyjść inną drogą. Ponadto na pewno był cały umazany we krwi, czyli zostawił jakieś ślady. Korytarz całe szczęście był wąski, już parę kroków w głąb widać było czerwone plamy. Patrząc z bliska, Leochares rozpoznał odcisk barku i ramienia. Napastnik pewnie poślizgnął się i podparł o ścianę. Sądząc po wysokości, na której zostawił ślady, musiał być niższy od Leocharesa co najmniej o głowę.

- No to już wiemy, co tak ładnie psom pachniało - odezwał się Demokles zza jego pleców. - Co tu się stało?

- Rozejrzyj się. - Leochares się wyprostował. - Ktoś zapukał w nocy do drzwi domu, musiało być jeszcze ciemno, skoro Teopompus wziął lampkę. Nie spodziewał się gości, więc zabrał jeden ze swoich tasaków na wszelki wypadek. Musiał znać napastnika i ufać mu. Wpuścił go do domu, a kiedy zamykał za nim drzwi, dał mu do potrzymania tasak. Nocny gość poczekał, aż rzeźnik się odwróci, i wbił mu go w plecy. Potem wbiegł w głąb domu.

- Co dalej?

- Wejdzmy, to zobaczymy.

Ślady krwi prowadziły po schodach do jedyne go pokoju na piętrze. Na łóżku leżała

zmięta, brudna pościel, skrzynia na ubrania była otwarta i wybebeszona. W kącie leżał poplamiony krwią himation, okiennice były otwarte.

- Reszta historii jest banalna - powiedział Leochares. - Napastnik znał dom, wiedział, że za oknem jest przybudówka, z której łatwo zejść na ulicę. Przedtem zdjął z siebie zakrwawione łachy i włożył coś czystego. Kropka.

- No dobrze, ale czemu? - spytał Demokles. - Czemu ten ktoś zabił Teopompusa? Przecież nie dla pieniędzy, w tej norze nie mogło być nic cennego.

- Rusz głową. Zabił go ten cały Proteusz. Dowiedział się, że Kleinias wpadł, i słusznie założył, że wsypie swój kontakt. Czasu było mało, więc Teopompusa należało usunąć jak najszybciej. Niepotrzebnie zwlekaliśmy.

- Nie rozumiem, dlaczego od razu mieliby go zabić? - dociekał Demokles. - Nie lepiej byłoby go ostrzec i gdzieś schować?

- Za duże ryzyko. A na nie sobie nie mogą pozwolić... No, nic tu po nas. Zajmij się tym Teopompusem, popytaj o niego sąsiadów, ludzi na agorze. Może się czegoś ciekawego dowiesz. Wpadnę do ciebie wieczorem, powiesz, co ci się udało znaleźć. Domu nie ma co przeszukiwać, jeśli było tam cokolwiek istotnego, to zabójca na pewno się tym zajął.

- A ty? Co będziesz robił?

- Myślał. No, do zobaczenia.

\*\*\*

Leochares postanowił pójść do gimnazjonu\*. Wysiętek pomagał mu zbierać myśli, a ponadto miał wrażenie, że ostatnimi czasy przestał dbać o swoje ciało jak należy. Przed wejściem kupił aryballos\* z oliwą i wszedł do przebieralni. Wszystkie wieszaki były zajęte, himationy i płaszcze walały się też po podłodze. Przed wojną o tej porze gimnazjon byłby pewnie pusty, ale teraz, kiedy większość Ateńczyków i tak nie mogła pracować, kłębiło się tu od ludzi.

Leochares zdjął ubranie i zaczął nacierać się oliwą. Zniesmaczony stwierdził, że jest perfumowana. Co za czasy, pomyślał, kręcąc nosem, żeby faceci się smarowali pachnidłami jak byle baba. Za mojej młodości, jeśli ktoś, wstając z ziemi w gimnazjonie, nie stał śladu pośladek na piasku, uchodził za puszczalskiego. Teraz chłopcy przychodzą na ćwiczenia w sandałkach, w miękkich ciuszkach, z lusterkami, siadają z rozwalonymi nogami, zamiast trzymać kolana razem. Mało tego, niektórzy faceci, od których jestem zresztą niewiele tylko starszy, golą się na gładko, żeby uchodzić za młodszych. Zeusie, że też widzisz te cioty i nie grzmisz!

Podszedł do wielkiego kamiennego naczynia, żeby obmyć twarz i zmoczyć głowę. Nachylając się nad taflą wody, krytycznie przyjrzał się swemu odbiciu. Włosy miał już mocno przerzedzone i przetykane siwizną, złamany nos zabrał resztki urody. Podniósł wargi i wyszczerzył się do odbicia. Brakowało mu kilku zębów, kolejny się ruszał. Leochares ze złością uderzył w powierzchnię wody i zaklął. Gdybym był koniem, pomyślał, to pewnie trzeba by mnie już było przerobić na kiełbasę!

Na placu gimnazjonu zebrało się kilkadziesiąt osób. Niektórzy ścigali się po krótkiej bieżni, inni, ściskając w rękach odważniki, szykowali się do skoków w dal. Nie wszyscy jednak byli zainteresowani sportem - część mężczyzn przyszła po prostu pogadać, inni łączywie spoglądali w stronę ćwiczących młodzieńców. Leochares udał się do miejsca, gdzie uprawiano zapasy. Na środku placu siedziało w kręgu kilkunastu mężczyzn, czekając na swoją kolej. Zasady były proste - ten, kto wygrał walkę, mocował się dalej, przegrany schodził na bok. Leochares usiadł pomiędzy mężczyznami, pozdrowił tych, których znał.

Leochares zamknął oczy i wsłuchał się w kakofonię gimnazjonu. Z pokoju sąsiadującego z placem dochodził go głos jakiegoś safandudy, który gadał na temat żywiołów. Po akcencie można było poznać, że pochodzi z Azji, która była istną wylęgarnią podobnych nudziarzy; na szczęście w Atenach mało kto zajmował się takimi głupstwami. Obok ktoś się śmiał ze sprośnego dowcipu, jakiś chłopak o łamiącym się jeszcze głosie oskarżał kolegę o oszukiwanie, jeszcze ktoś inny podśpiewywał piosenkę. Wszystko to kojarzyło się z młodością, z pierwszymi miłostkami. W tym gimnazjonie Leochares poznał swojego pierwszego erastes<sup>\*</sup>, który potem zupełnie oszalał na jego punkcie: spał pod drzwiami jego domu, mazał po ścianach jakieś kiepskie wiersze, w których porównywał go do Adonisa, płacił nawet malarzom wazowym, żeby pisali na wszystkich swoich garnkach: „Leochares jest piękny”. A teraz... No cóż, było, minęło.

Z ociąganiem wrócił do terażniejszości i do sprawy, którą się zajmował. Było oczywiste, że siatka spartańskich szpiegów jest dobrze zorganizowana. Płotki, takie jak Kleinias, nie wiedziały nic na temat Proteusza, tylko kontaktowały się z pośrednikami, na przykład z Teopompusem. Ścieżka, która wiodła do Proteusza przez tego rzeźnika, została już zapewne niestety przerwana. Mógł rzecz jasna zacząć wyłapywać wszystkich, których podejrzewał o kontakty ze Spartanami, ale nie miał na to czasu, a efekty takiej akcji byłyby wątpliwe. Prawdopodobnie dostałby w swoje ręce więcej nic nieznaczących osób, a Proteusz stałby się ostrożniejszy. W tej chwili pozostawało mu tylko obserwowanie podejrzanych, co było trudne, zważywszy że na dobrą sprawę mógł liczyć tylko na pomoc Demoklesa. Pozostawała jeszcze informacja na temat tej studni pod Pnyksem, gdzie Kleinias zostawiał

swoje zapisane bukłaki. Proteusz zapewne się domyślił, że ten punkt jest już spalony, ale może da się jakoś to wykorzystać. Pytanie, jak mu się udało tak szybko dowiedzieć o tym, że Kleinias został złapany. Zapewne jeden ze strażników, który otwierał bramy Leocharesowi i Scytom, nie potrafił trzymać języka za zębami...

Wreszcie nadeszła jego kolej. Leochares spojrział na przeciwnika, Aleksandrosa, z racji wzrostu i tuszy zwanego czasem Wielkim. Był rzeczywiście masywnym i tłustym mężczyzną; jego zarośnięty brzuch był tak ogromny, że zasłaniał mu krocze. Leochares starał się szybko znaleźć jakieś jego słabe strony. Pot leje mu się po czole do oczu, często mruga; będzie wolniej reagować. Za bardzo pochylony do przodu, ręce zbyt nisko.

Grubas ruszył ciężko w jego stronę. Leochares dał mu się złapać za rękę, a kiedy przeciwnik szarpnął go w dół, przechylając się jeszcze bardziej do przodu, gwałtownie ruszył w bok i podciął go. Aleksandros runął jak długi, wzbijając chmurę pyłu. Leochares wskoczył mu na plecy, próbując go przygniść, lecz grubas zrzucił go z taką łatwością, z jaką pies otrząsa się z wody. Leochares zerwał się na nogi i złapał gramolącego się przeciwnika za ramiona. Tym razem jednak nie był w stanie przycisnąć go do ziemi, ręce ślizgały mu się na pokrytej oliwą skórze. Aleksandros zapał się kolanami w piachu i odwzajemnił uścisk, chwytając Leocharesa za nadgarstki. Palce grubasa zacisnęły się z taką siłą, że Leochares rozwarł z krzykiem dłonie. Aleksandros, pewny zwycięstwa, zaczął powoli ściągać Leocharesa ku ziemi.

- I co, cwaniaku? - wycedził grubas. - Bez tych swoich Scytów nie jesteś już taki twardy?

- Odwal się - sapnął Leochares.

- A może pomoże ci ten mały dupodajek, co? Z nim to bym pouprawiał zapasy...

Leochares odchylił głowę do tyłu, po czym wyrznął Aleksandrosa czołem w nos. Nie było to do końca zgodne z przepisami, no ale w końcu nie byli na olimpiadzie. Grubas zalał się krwią i rozluźnił uścisk. Leochares złapał Aleksandrosa za włosy i pociągnął go w dół. Tłuscioch stracił równowagę, Leochares z łatwością przewrócił go, wykręcił mu rękę i przyparł przeciwnika do ziemi. Walka była skończona. Leochares miał ochotę na więcej, ale czuł, że następnym razem może już przegrać. Mimo tego, że z grubasem zmagał się tylko przez chwilę, serce tłukło mu w piersi, a ręce drżały. Całe szczęście był jeszcze szybki, ale nie miał już sił na długie walki. Splunął gęstą, zapiaszczoną śliną i wyszedł do przebieralni.

\*\*\*

Na resztę dnia Leochares nie miał pomysłu, godziny dzielące go od wieczoru spędził

więc na agorze. Poszedł do fryzjera, który podciął mu włosy, wyrównał brodę i uraczył kilkoma mało zabawnymi dowcipami o Spartiacie, który przychodzi do znachora. Potem poszedł na walkę kogutów, obstawił trzy obole\* i przegrał. Wreszcie od jakiejś ślepej baby kupił dwa placki z miodem i zjadł je na ławeczce pod tolosem\* .

Kiedy zaczęło się ściemniać, poszedł na spotkanie z Demoklesem. Chłopak mieszkał w małym domku, wciśniętym pomiędzy garbarnię i warsztat dekarSKI. Nie była to być może siedziba opływająca w luksusy, pomyślał Leochares, ale młody jest przecież tylko niewolnikiem i powinien zdawać sobie sprawę, że i tak ma szczęście.

- Czołem - powiedział Leochares, otwierając drzwi.

- Cześć - przywitał go Demokles, choć nie odwrócił głowy. Chłopak przycupnął na zydłu, tyłem do wejścia. Cała jego uwaga była skupiona na zającu\*, który siedział w drugim końcu pokoju. Demokles wabił go do siebie plastrem rzepy, ale zwierzak nadal strzygł tylko nieufnie uszami.

- Skąd go masz? - spytał Leochares.

- Dostałem. Piękny, prawda? Jak byś go nazwał? Może Ortros, wiesz, jak ten straszliwy pies Geriona? Albo lepiej Lamos, jak król ludożerców? Ha! To dobre imię dla zająca, nie?

- Pytałem, od kogo go masz.

- Od kogoś. Nie twój interes - odpowiedział Demokles, poważniejąc.

- Nie mój? Przepraszam bardzo, czy mi się tylko wydaje, czy jesteś moją własnością?

- No tak, nie może minąć dzień, żebyś mi tego nie przypomniał. Tak, oczywiście, panie. Jaśnie pan ma rację.

- Wydaje mi się, że mówiłem ci wielokrotnie: póki należysz do mnie, masz się nie puszczać, rozumiesz?

- Z nikim się nie puszczałem!

- Doprawdy? No to chyba będziesz pierwszym chłopakiem od czasów Erechteusa, który dostał od kogoś zająca i nie musiał w zamian dać dupy!

- Pozwolę sobie z jaśnie panem się nie zgodzić.

- Do kurwy nędzy! - wrzasnął Leochares, wywracając stojący przy drzwiach stolik. - Jeśli jeszcze raz mnie nazwiesz panem, to tak pieprzę tym zającem, że prędzej Syzyf wtoczy swój kamień, niż ty go zdrapiesz ze ściany! Wiesz, czemu zabraniam ci mieć kochanków?

- Oczywiście. Bo jesteś zazdrosny i...

- Nie, kretynie! Dlatego że ktoś to może wykorzystać! Nie przyszło ci do głowy, że może się do ciebie podwalać lakoński szpieg? Pytam ostatni raz, kto ci dał tego zająca?

- Jakiś Oksylos - odpowiedział Demokles, spuszczać z tonu.

- Kiedy?

- Dzisiaj. Zaczepił mnie, kiedy wracałem do domu. Przystawiał się do mnie, próbował mi wsadzić rękę pod himation, takie tam końskie zaloty. Powiedział, żeby go kiedyś odwiedził w jego domu w Pireusie...

- Dobra, weźmiemy się za tego Oksylosa i zobaczymy, o co mu chodziło. No, i żeby mi to było ostatni raz!

- Przepraszam, nie pomyślałem...

- No to na przyszłość pomyśl dwa razy. Do tego mi jesteś potrzebny - odparł Leochares. - Chodź, usiądziemy na podwórzu, pogadamy o tym Teopompusie.

Wąskim korytarzem przeszli na podwórze i usiedli na drewnianej ławie. Noc była oszałamiająco duszna, jazgot cykad mieszał się z lepkiem powietrzem. Leochares oparł się o ścianę, która zdążyła już oddać gorąc dnia, i rozgrzebał stopami piasek, szukając chłodniejszej ziemi. Demokles zadarł głowę, patrzył na rozsypane na niebie gwiazdy. Chłopak był mokry od letniego zaduchu, jego ciało opalizowało w bladym świetle księżyca. Jego pełne usta były lekko rozchylone, na delikatnym wąsie zawisły, niby rosa, kropelki potu.

- No dobrze... - zaczął Leochares, z trudem skupiając uwagę. - To czego się dziś dowiedziałeś?

Chłopak odwrócił się w jego stronę. Miał szeroko otwarte oczy i wielkie źrenice, jakby się bał albo był pijany. Zamiast odpowiedzieć, pochylił się w stronę Leocharesa i pocałował go. Usta Leocharesa stały się wszystkim. Podniecenie rozmyło resztę jego ciała i myśli w nicość, jego oczy przestały widzieć, świat przestał istnieć. Leochares czuł tylko parzący oddech Demoklesa, jego miękkie i słone wargi, pachnące trawą włosy, ciepło, smak młodości i pożądania.

Leochares wyrwał się chłopakowi z objęć, wstał z ławy.

- Nie - powiedział. - Tak nie może być. Nie rób tego więcej.

- Dlaczego? - zapytał cicho Demokles, spuszczać głowę. - Leo, dlaczego nie możesz być moim erastesem? Nie podobam ci się? Czy może gardzisz mną, bo jestem niewolnikiem?

- Nie. Po prostu jesteś mi potrzebny jako pomocnik, nie jako kochanek.

- Ale ja cię kocham...

- Tak ci się zdaje. To tylko żądza, taka sama jak ta, którą czujesz do byle kobiety. Wiem, co mówię, sam byłem młody i głupi. Gdybym cię wziął, bylibyśmy szczęśliwi miesiąc, może dwa. A potem byłoby to, co zawsze, złość i łzy. Nie mam na to ochoty. Za stary jestem.

- Czyli się boisz?

- Możesz to tak nazwać, jeśli ci wygodniej. Idź spać. Pogadamy jutro.

## β

Leochares machnął ospale ręką, odganiając kolejny raz natrętną muchę. Męczyła go tak od samego świtu. Coraz zlatywała mu na twarz - szczególnie upodobała sobie kąciki ust i powieki - budząc go w końcu. Półprzytomny Leochares odpędzał ją, mucha zrywała się do lotu i po chwili wracała w to samo miejsce. Próbował spać z kocem naciągniętym na twarz, ale nie mógł oddychać.

- Spróbuj to zrobić jeszcze raz - wymamrotał Leochares, otwierając przekrwione oczy - a pożałujesz!

Ignorując to ostrzeżenie, mucha znów wylądowała na jego ustach. Leochares zerwał się z łóżka, chwycił leżące na skrzyni Lamii brązowe lustro i wypatrywał upierdliwego owada. Oczywiście teraz nigdzie nie mógł go dojrzeć.

- Ech - westchnął, opuszczając gotową do uderzenia rękę. - I tak już miałem wstawać...

Spojrzał na Lamię. Leżała na plecach, z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit. Miała podkrążone oczy, usta zaciśnięte w wąską kreskę. Zastanawiał się, jak długo nie spała.

- Wychodzę - powiedział Leochares. - Jeśli chcesz, możesz wziąć parę oboli i pójść z Lydike na agorę, kupić, co tam ci potrzeba.

- Pójdę do archona\* - powiedziała cicho Lamia, nadal wbijając wzrok w sufit.

- Do archona? A po co?

- Poproszę go, żeby dał mi rozwód - odparła.

- Że co proszę?

- Chcę, żeby dał mi rozwód - powtórzyła.

- Odbiło ci? - zawołał Leochares. - A to niby czemu?

- Bo nie dbasz o mnie. Bo źle mnie traktujesz. Bo mnie nie kochasz. To mało? - zapytała Lamia, nie patrząc w jego stronę.

- Ja cię źle traktuję?! - krzyknął Leochares, łapiąc się za głowę. - Kobieto, chybaś na głowę upadła! Biję cię? Jeść ci nie daję?

- Naszego psa też nie biłeś i też dawałeś mu jeść - odpowiedziała Lamia. - A ja zasługuję na więcej. Choćby na szacunek.

- Darzę cię takim szacunkiem, na jaki zasługuje kobieta.

- W twoich oczach muszę zasługiwać na bardzo niewiele - odparła - skoro zamykasz mnie na klucz, odzywasz się do mnie tylko wtedy, kiedy musisz, i do tego ciągle chodzisz na



dziwki.

- Tak już jest - powiedział sucho. - Żony są od rodzenia dzieci, a dziwki od przyjemności.

- Ja już tego nie wytrzymam. Idę do archona.

- A idź nawet do Hadesu! - Leochares otworzył drzwi. - Może mają tam wakat na harpię!

\*\*\*

Leochares umówił się z Demoklesem w Stoi Poikile, ale jeszcze go tam nie było. Czekając na chłopaka, Leochares zaczął przyglądać się obrazom. Mimo że widział je już wielokrotnie, nadal robiły na nim wielkie wrażenie. Postacie były oddane z niezwykłą precyzją, aż trudno było uwierzyć, że wyszły spod ręki malarza. Miało się wrażenie, że ci wojownicy z malowideł musieli kiedyś oddychać, że ktoś tylko przemienił ich w obraz, tak jak bogowie zamieniają po śmierci niektórych ludzi w gwiazdy. Zdarzało się, że dzieci bądź cudzoziemcy, nieprzyzwyczajeni do malarstwa tak bliskiego naturze, brali te obrazy za rzeczywistość i uciekali od nich z krzykiem, przekonani, że wkroczyli w środek bitwy. Niektórzy ulegali temu samemu złudzeniu w przypadku pomników - parę lat temu na prośbę kapłana Ateny Leochares szukał mężczyzny, który zapalał tak gorącym uczuciem do pewnej rzeźby młodej kobiety ustawionej na Akropolu, że co noc ją bezcześcił...

Ciche skrzypnięcie. Leochares zdał sobie sprawę, że ktoś za nim stoi. Przestał patrzeć na obrazy, nie unosząc głowy, przeniósł wzrok na powieszony nad nimi brązowy tarcze. Zmrużył oczy, próbując dostrzec w zniekształconym odbiciu, co dzieje się za jego plecami. Ktoś skradał się powoli ku niemu, przemykając między kolumnami. Leochares oddychał powoli i głęboko, całe jego ciało było spięte, gotowe do błyskawicznego ruchu. Prawą rękę powoli wsunął za fałdę himationu i zacisnął na rękojeści sztyletu. Kiedy już miał się odwrócić, rozpoznał człowieka z odbicia: to był Demokles. W wypukłej tarczy jego nogi były długie i giętkie, brzuch szeroki, jakby wzdęty, a głowa śmiesznie mała, choć nadal piękna. Leochares uśmiechnął się. Puścił sztylet, rozluźnił mięśnie. Po chwili poczuł zapach chłopaka, słyszał, jak próbuje wyciszyć oddech.

- Cześć, mały! - powiedział, kiedy Demokles miał już położyć dłonie na jego ramieniu.

- A niech to! - wyszczał chłopak. - Znow mi się nie udało. Co zrobiłem źle tym razem?

- No, właściwie wszystko - odparł Leochares, odwracając się w jego stronę. - Po

pierwsze, w Stoi Poikile są nierówno położone płyty, więc cię słyszałem. Po drugie, wszędzie tu wiszą wypolerowane tarcze, więc cię widziałem. Po trzecie, próbowałeś mnie zejść od złej strony, więc czułem twój zapach. Pomijam już to, że jesteś wyperfumowany jak byk ofiarny...

- Następnym razem mi się uda. Zobaczysz.

- Mhm. Na pewno.

- Chcesz się założyć?

- Nie, nie chcę. Koniec wygłupów. Czego ci się udało dowiedzieć o Teopompusie?

Chłopak nic nie odpowiedział, patrzył mu tylko w oczy. Podniósł dłoń do jego twarzy, przesunął ją po zmarszczkach na policzku.

- Wszystko w porządku? - spytał wreszcie. - Wyglądasz na zmęczonego. I wkurzonego.

- Eee, nic takiego - powiedział, odsuwając powoli od niego twarz. - Lamia mi tylko zepsuła humor, znów ma muchy w nosie. Ale nie będziemy sobie teraz tym zawracać głowy. No to co wiesz o Teopompusie?

- Niestety, niewiele, choć dużo szukałem - odparł Demokles. - Jak wiesz, był samotnikiem, zresztą lekko zdziwaczałym. Do rodziny się nie odzywał, na agorze bywał tylko wtedy, kiedy miał towar. Ludzie, którzy mieli stoiska obok niego, nie zapamiętali nic szczególnego, mówią, że rzadko kiedy się do nich odzywał. Sąsiedzi nie mieli nic do dodania; sympozjonów\* nie urządzał, nie zaglądał do nich.

- Faktycznie, nie brzmi to wszystko obiecująco - odparł zrezygnowanym tonem Leochares. - Kolejny ślepy zaułek.

- Nie tak szybko! Najlepsze zostawiłem na koniec. Udało mi się zdobyć imię jego ulubionej porne\*. - Zgadnij, kto to?

- No, nie mam pojęcia. Oświeć mnie.

- Niobe, wiesz, ta dziewczyna, która pracuje w burdelu w Kerameikosie, przy bramie!

- Świetnie! - uradował się Leochares. - To bystra dziewczyna, pomagała mi już wcześniej. Dobra robota! Pójdę z nią pogadać, a ty przejdź się do Scytów i dowiedz się, co nowego.

\*\*\*

Burdel, w którym pracowała Niobe, był zarządzany przez Lysikratę. Kiedyś była piękną kobietą - pisywano o niej nawet wiersze, inspirowała też rzeźbiarzy, którzy próbowali przekuć jej wdzięk w kamień. Mimo że żyła z ciała, Lysikrata nie dopuszczała do siebie wszystkich. Zyskanie jej względów było powodem do przechwałek. Niektórzy mężczyźni

przepuszczali ogromne sumy, byle tylko znaleźć się w gronie jej „przyjaciół”.

Mysł o tym, że może się z nią spotkać, napawała Leocharesa niesmakiem. I on był kiedyś kochankiem Lysikraty, był gotów poświęcić każdą drachmę\*, by znów ją posiadać. Z dawnej piękności zostało niestety niewiele. Mimo to Lysikrata próbowała maskować to, co wyrządził jej czas - wciąż czerniła brwi, ciasno owijała zbyt duży biust, nacierała włosy miodem i żółtkami jaj. Efekty były żalosne, z dawnych adoratorów nie pozostał jej rzecz jasna nikt. Przywodziła mu na myśl starą sukę o wyciągniętych sutkach.

Kiedy Leochares otworzył drzwi, wpadł na stojącą w przejściu Lysikratę.

- Już jesteś? - zapytała.

- Jak to: już? - odparł zdziwiony Leochares.

- Przed chwilą posłałam po ciebie. Niobe nie żyje, a ty kiedyś...

- Co?! - przerwał jej. - Jak to, kiedy to się stało?

- Nie wiem, ja...

Leochares minął ją, starając się jej nie dotknąć, i wszedł do środka burdelu. Lysikrata spuściła głowę i poszła za nim.

Leochares odsunął burą kotarę wiszącą w drzwiach i zajrzał do pokoiku Niobe. Dziewczyna leżała na łóżku, była prawie naga - miała na sobie tylko cienką, półprzejrystą koszulkę z egipskiego lnu. W pokoju unosił się intensywny i gęsty zapach oliwy i kwiatów.

- Jeszcze raz: kiedy to się stało? - warknął do starej, która stała przy wejściu, międląc nerwowo kraniec szala. Była zdenerwowana. Wielkie, białe od pudru krople potu spływały jej po skroniach.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Wstała rano, jak zawsze. Przędła jakieś pół godziny, a potem poszła do siebie. Zawsze jest tu ruch po zebraniach rady, więc poszła się umyć i przygotować. Wtedy przyszedł pierwszy klient, taki starszy facet, miał ze czterdzieści lat. Wskazałam mu jej pokój, w chwilkę po tym jak wszedł, zaczął wrzeszczeć. Przybiegłam sprawdzić, co się stało, zobaczyłam, że Niobe nie żyje, i od razu posłałam po ciebie.

- I dobrze zrobiłaś - odparł sucho Leochares. - Wiesz, jak ten człowiek się nazywa? Był tu wcześniej?

- Nie mam pojęcia, jak miał na imię, nigdy o to nie pytam, to samo zresztą radzę moim chłopcom i dziewczynkom. Chyba był tu wcześniej, ze dwa albo trzy razy.

- Potem mi go opiesz. Czy ktoś dziś przychodził do Niobe? Któryś z bywalców coś jej posyłał?

- Nie, dziś jeszcze nie. Ze trzy dni temu dostała jakieś tanie błyskotki od takiego jednego pasterza, który często u niej bywa.

- Ktoś był u niej wczoraj?
- Tak, miała jednego klienta. Po akcencie sądząc, był z Lesbos, wyglądał na kupca.
- Możesz go opisać?
- Wysoki, ciemne włosy, miał bliznę na policzku. Bogato ubrany.
- Dobra, tyle mi na razie starczy. Rozejrzę się teraz po pokoju - powiedział Leochares.
- Masz zamknąć główne drzwi, nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać, choćby to był Perykles. Zapłacę ci za straty, nie bój się. A teraz idź mi stąd, popytaj swoje dziewczynki i chłopców, czy Niobe zachowywała się ostatnio dziwnie, czy była chora. Jeszcze z tobą pogadam.

Stara skinęła głową i wyszła. Leochares najpierw obejrzał ciało. Nie było widać żadnych sińców ani ran, nie licząc drobnych zacięć na nogach i pod pachami. Nie było też żadnych śladów walki - potłuczonych naczyń, przewróconych mebli. Oczy były otwarte, ale nie wybałuszone, jak to często bywa u uduszonych czy topielców. Ciemna skóra Niobe lekko błyszczała - widać natarła się pachnidłami tuż przed śmiercią. Ciało robiło się już zimne, sztywniało.

Na stoliku przy łóżku stał pusty alabastron po perfumach, dwa kielichy i dzban z winem. Jedynym meblem oprócz łóżka i stolika była duża skrzynia. Leochares wyrzucił jej zawartość na ziemię. Zawiedziony stwierdził, że nic ciekawego nie znalazł. Trochę biżuterii, ubrania - niektóre szaty miały wszyte kawałki gąbki, które zaokrąglały biodra - brązowe lustro i inne kobiece szpargały. Jedyną rzeczą, która mogła mieć jakieś znaczenie, był mały płócienny woreczek, pełen suszonych ziół. Leochares rozpoznał piołun, dziurawiec i koniczynę, ale było też wiele innych roślin, których nie mógł skojarzyć.

Leochares stanął na środku pokoju, patrząc na Niobe. Ze zdziwieniem stwierdził, że jej śmierć go zabolala, mimo że Niobe była tylko kobietą, a do tego zwykłą porne. Nie miał pojęcia, co ją zabiło. Oczywiście nie można było wykluczyć przyczyn naturalnych, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Całe szczęście Leochares znał kogoś, kto mógł mu pomóc.

\*\*\*

Menekrates był zajęty - przyjmował ojca z chorą córką. Dziewczyna siedziała na kamiennej ławie ustawionej na podwórzu. Menekrates zaglądał jej w gardło, dotykał nadgarstków, opukiwał plecy. Mimo pięćdziesięciu lat uwijał się szybko z pracą i nie przestawał gadać do stojącego obok ojca.

- Nie ma się czym przejmować - powiedział Menekrates, ścierając nadgarstkiem pot z

czoła. Był zupełnie łysy i upstrzony gęsto piegami, co sprawiało, że jego głowa wyglądała jak wielkie przepiórcze jajo. - Dziewczęta w tym wieku są szczególnie podatne na choroby. Widzisz, kobieta jest jakby gorszą wersją mężczyzny, upośledzonym samcem. Jej ciało, zamiast być krzepkie i suche tak jak nasze, jest wilgotne i miękkie. Kiedy osiąga jakieś trzynaście, czternaście lat - kontynuował Menekrates, unosząc ręce dziewczyny - zbiera się w niej tyle wody, że musi dać jej upust. Wtedy zaczyna się u niej krwawienie miesięczne, w ten sposób jej ciało wyzbywa się nadmiaru szkodliwej wilgoci.

- Tak - bąknął skonsternowany ojciec. - Żona mi mówiła, że u naszej Ejrene to już właśnie... No, że się to wszystko zaczęło. Temu się da jakoś zaradzić?

- Nie, nijak - odparł lekarz. - Ponadto to dla kobiety zdrowe; im więcej, tym lepiej. Mówiłeś, że twoja córka ma zawroty głowy, że się słabo czuje, miewa gorączki. Coś jeszcze?

- A bo ja wiem... W domu rzadko bywam, to trudno powiedzieć. Ale wiem, że kiepsko sypia, kręci się w nocy po domu.

- No tak, wszystko się zgadza. O, Leo, co za niespodzianka! - rzucił w stronę Leocharesa, dopiero teraz go zauważając. - Poczekaj, dokończę tylko z tą małą. Przede wszystkim, trzeba ją jak najszybciej wydać za męża. Dopóki dziewczyna nie zazna mężczyzny, część tej krwi miesięcznej, o której mówiłem, nie znajduje ujścia, zostaje w organizmie. Po jakimś czasie może zacząć się cofać, zalać płuca albo i dojść do głowy, powodując choroby i utratę rozumu.

- Coś takiego! - wykrzyknął ojciec. - Muszę w takim razie jak najszybciej znaleźć jej męża.

- To dobry pomysł, ale to nie wystarczy - odparł Menekrates, siadając obok dziewczyny na ławce. - Bezsensowność i duszności twojej córki są spowodowane przemieszczaniem się macicy.

- Ż-że co? - wyjąkał ojciec, wybałuszywszy oczy.

- Ach, widzę, że wiesz o kobietach tyle co Ganimed. Kobiety tu - lekarz wskazał ręką podbrzusze dziewczyny - mają macicę, miejsce, gdzie z męskiego nasienia wyrasta dziecko. Przy następnym święcie zwróć uwagę, jak kapłan patroszy owcę czy krowę, to taki jakby różowy worek. Otóż organ ten - powiedział Menekrates, ścisząc nieco głos - jest jakby osobnym zwierzęciem, mieszkającym w ciele kobiety. Macica, wabiona słowem, zapachem czy ciepłem, może przemieszczać się po ciele kobiety, naciskając na inne organy i powodując napady hysterii.

- Ach, rozumiem - powiedział wtajemniczony w arkana kobiecej anatomii klient.

- U twojej córki macica przesunęła się do góry, napierając na serce i płuca. Stąd te

problemy. Można temu zaradzić w sposób następujący: do nosa dziewczyny przystawcie kozie odchody, tylko świeże, a między nogami połóżcie miseczkę miodu. W ten sposób macica, wystraszywszy się odoru z góry, a czując piękne zapachy z dołu, zacznie się przesuwać ku dolnej części ciała.

- Zmyślne to całkiem. Dziękuję wam za radę. Ejrene, powiedz no dziękuję.

-...kuję - wymamrotała przerażona dziewczynka.

- Powiedz no wyraźnie, przecież gadać umiesz: dzię-ku-ję.

Dziewczynka spojrzała na doktora, po czym schowała twarz w fałdach ojcowskiego himationu i wybuchła płaczem.

- Ech, z kobietami to same problemy - powiedział ojciec, czochrając dziewczynkę po głowie.

- Pandory na pewno nie zesłano, żeby nam umilić życie. Należą się cztery obole, polecam się na przyszłość.

Ojciec skłonił się lekko i ciągnąc dziewczynę za rękę, opuścił dziedziniec.

- Potrzebuję twojej pomocy, przyjacielu - powiedział Leochares.

- Znowu coś złapałeś u tych dziwek z Kerameikosu? Mówiłem ci, żebyś tam nie łąził.

- Niezwykle zabawne. Nie, chodzi o coś innego. Pewna dziewczyna wyzionęła ducha.

Nie mam pojęcia dlaczego, a muszę wiedzieć.

- No, wreszcie coś ciekawego. Z chęcią ci pomogę, dość mam już na dziś wieśniaków i ich problemów.

\*\*\*

Po chwili byli na miejscu. Menekrates delikatnie podniósł ciało dziewczyny, obejrzał jej stopy, język, wymacywał coś pod pachami i w pachwinach. Szybko skończył oględziny, wytarł ręce w kotarę.

- Otrucie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Tego się obawiałem. Skąd wiesz?

- Opuchnięty język, nabrzmiące wargi. To niezawodne znaki.

- Myślisz, że to wino? - spytał Leochares, wskazując dzban na stoliku.

- Być może... Daj to jakiemuś niewolnikowi czy psu, to zobaczysz.

- A czemu ona jest tak pozacinana, o, patrz, tu, na nogach i pod pachą?

- Nie mów, że nie wiesz! - uśmiechnął się lekarz. - No przecież goliła sobie włosy.

- Aha... Myślałem, że kobiety wypalają sobie włosy węgielkiem.

- Większość rzeczywiście tak robi, ale niektóre, nie wiem, może te, co mają grubsze

włosy, wolą się golić.

- No dobra, a te zioła z woreczka?

- Hmm - mruknął Menekrates, rozcierając wysuszone rośliny między palcami. - Lubczyk, dziurawiec, koniczyna, liście młodej wierzby... Koktajl na poronienie. Raczej do przewidzenia u porne.

- Może to od tego ją szlag trafił?

- Wątpię, po przedawkowaniu takich ziół śmierć jest długa i bardzo bolesna. Raz próbowałem ratować dziewczynę, która chciała pozbyć się płodu i łyknęła za dużo naparu. Nikomu nie życzę takiej śmierci. Pół miasta słyszało jej wycie.

- Dziękuję, bardzo mi pomogłeś. A, jeszcze jedno...

- Tak? - spytał, stojąc już w drzwiach, Menekrates.

- Jeśli jeszcze raz wspomnisz o tej chorobie, którą złapałem w Pireusie... Połamię ci palce. Słowo.

Lekarz chciał coś jeszcze odpowiedzieć, otworzył nawet usta, ale w końcu się rozmyślił; pomachał na pożegnanie i wyszedł. Mimo że nie miał na to ochoty, Leochares poszedł jeszcze porozmawiać z Lysikratą. Siedziała w swoim pokoju, gręplując wełnę. Zdziwiło go, że w ogóle pracuje, ale w końcu ciałem zarabiać już nie mogła.

- Sprawdziłaś już to wino? - spytał.

- Tak, dałam psu. Nic mu nie jest.

- Hmm... A powiedz, co Niobe wczoraj jadła?

- To, co my wszyscy: chleb, figi, wędzone rybki. Jedliśmy z jednej misy.

- Aha. A słyszałaś, żeby miała jakieś problemy, no, nie wiem, na przykład była w ciąży?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, a pytałam wszystkich.

- Dobra. Nie mogę tu zmarnować całego dnia - powiedział, wstając. - Przygotuj pogrzeb, za wszystko zapłacę. Przyjdę za jakiś czas, może coś ci się przypomni. Masz tu drachmę.

- Wielkie dzięki, Leocharesie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - bąknął Leochares, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

\*\*\*

Drzwi domu Scytów otworzyły się z hukiem. Demokles wybiegł na ulicę, padł na kolana i zaczął rzygać. Ze środka dobiegał dziki rechot.

- Co ci się stało?! - krzyknął Leochares, podbiegając do chłopaka.

- Nic... takiego... - wybelkotał Demokles. Wyglądał koszmarnie: zielony na twarzy, pył kleił mu się do ociekającej śliną brody. - Daj mi lepiej wina...

Zza kotary wyszedł uśmiechnięty Scyles, w ręku trzymał ciężki, rzeźbiony ryton<sup>\*</sup>, wypełniony jakąś żółtawą cieczą.

- A mówił, że ci nie będzie smakować! - powiedział Scyta.

- Na bogów, zabierz stąd to obrzydlistwo! - krzyknął Demokles. - Od samego zapachu mi... - Nie dokończył. Zgiął się wpół i znów zwymiotował.

- No dobra, o co chodzi? - spytał Leochares, tracąc cierpliwość.

- Demokles chciał pokazać, że z niego dorosła mężczyzna - odparł Scyles, nie tracąc dobrego humoru. - I pić z nami mleko.

- Cokolwiek to jest - powiedział Leochares, marszcząc nos - to mlekiem nie jest już od dawna. To przecież cuchnie gorzej niż stopa Filokteta!

- Oj tam, od razu cuchnąć - powiedział z udawaną obrazą Scyles. - Nie znasz się. Zepsuta sok z winogron wam nie przeszkadza, a dojrzała mleko to już niedobre.

- Dobra, już dobra - machnął ręką Leochares. - Nie jestem w nastroju na te wasze barbarzyńskie wygłupy. Mały, wytrzymaj gębę i idziemy. A wam, widzę, się nudzi, bierzcie łuki i marsz na agorę, dzisiaj dzień sądowy, więc na pewno będą burdy. No, raz-dwa.

Scytowie w milczeniu przygotowywali się do wymarszu. Demokles wyprostował się, opierając się o ścianę. Oddychał głęboko i nierównomiernie, trzymał się jeszcze za brzuch.

- Co ci w ogóle odbiło, żeby brać to do ust? - spytał Leochares. - Mało ci było po tym, jak nas poczęstowali tym gulaszem z końskich flaków...

- Błagam, ani słowa więcej - powiedział Demokles, znów zginając się wpół. - Bo znowu się porzygam. Powiedz lepiej, co ci Niobe powiedziała.

- Nic. Nie żyje. Otruta.

- Co?! - Chłopak wyprostował się błyskawicznie.

- Słyszałeś: jest martwa.

- Niech to szlag - zaklął Demokles po chwili milczenia. - Szybki jest ten Proteusz, co?

- To muszę sukinsynowi przyznać.

- No to co teraz? - Demokles odgarnął włosy ze spoconego czoła.

- Chodźmy zobaczyć tę studnię pod Pnyksem, o której mówił Kleinias. Wątpię, żebyśmy coś tam w ogóle znaleźli, ale sprawdzić trzeba. Nadłożymy drogi, odetchniesz trochę i dojdiesz do siebie. Spacer dobrze ci zrobi.

Leochares postanowił przejść się aleją trójnogów. Choć bardzo ją lubił, rzadko na niej



bywał, nigdy nie była mu po drodze. Większość ateńskich ulic sprawia wrażenie, jakby nie stworzył ich człowiek, tylko jakiś bezrozumnie działający żywioł. Są zbyt wąskie, kręte jak koryto górskiego strumienia, krzyżują się w najmniej spodziewanych miejscach. Ludzie spoza Aten gubią się w nich momentalnie. Nic dziwnego, pomyślał Leochares, że ze wszystkich herosów to właśnie Tezeusz dał sobie radę z labiryntem Minosa, w końcu mógł trenować u siebie w domu.

Aleja, którą szli, była zupełnie inna: szeroka, prosta, dostojna. Z obydwu stron otaczały ją rzędy brązowych trójnogów, lśniących w ostrym słońcu wczesnego popołudnia. Każdy z nich był pamiątką po wygranej w jednym z teatralnych konkursów. Patrząc na te niezliczone trójnogi, można było sobie uzmysłwić, jak stare są Ateny. Teraz już nie pamiętano, które z naczyń było najstarsze - jedni skłaniali się ku trójnogowi Stefanosa, który wieńczyły dwie figurki gryfów, inni zaś wskazywali na ten wystawiony przez Aspidesa, częściowo zniszczony przez piorun.

Minęli teatr. W środku trwała próba, przecież niedługo miały się zacząć Dionizje. Leochares przez chwilę bawił się myślą, żeby odłożyć choć na chwilę obowiązki, usiąść na jednej z drewnianych ław i przyjrzeć się aktorom. Nawet z daleka widać było, że będą grać komedię - co prawda nie mógł dostrzec, jakie mają maski, ale wielkie skórzane fallusy noszone przez członków chóru nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Taaa, pomyślał kwaśno Leochares, ciekawe, czy w tym roku będę mógł pójść chociaż na jedną sztukę.

Bardziej niż komedie lubił oglądać tragedie. Mimo że był już w sumie na kilkudziesięciu przedstawieniach, za każdym razem wpatrywał się w scenę jak zaczarowany, zapominając o tym, że stoją przed nim aktorzy, a nie prawdziwi herosi i bogowie. Kiedy tragedia była naprawdę dobrze napisana i wystawiona, łatwo się w niej było zatracić... Doskonale pamiętał pierwszą sztukę, jaką widział - *Eumenidy*. Miał wtedy dwanaście albo może czternaście lat, rodzice po raz pierwszy wzięli go do teatru. Kiedy znad sceny zleciały Erynie - jak się później dowiedział, byli to prostu dwaj chłopcy owinięci w ciemne szaty, których zawieszono na sznurach kilkanaście stóp nad ziemią - tak się wystraszył, że wskoczył ojcu na kolana. Mało tego: kilka osób zemdlało, a jedna kobieta nawet poroniła...

- Leo?

- Tak? - Leochares odwrócił głowę od teatru.

- Skąd się właściwie w Atenach wzięli Scytowie?

- Perykles ich przywiózł kilka lat temu.

- Jak to, skąd ich w ogóle wytrzasnął?

- Ooo, z dalekich stron - odparł Leochares. Zatrzymał się, podniósł z ziemi patyk i

zaczął bazgrać nim po piasku. - Widzisz, tu mniej więcej są Ateny, prawda? Na północ stąd, u wybrzeży Tracji, jest wąska cieśnina. Wiedzie ona do morza zwanego Gościnnym, choć Scytowie nazywają je Czarnym. W sumie obydwie nazwy są głupie, bo nie jest ani czarne, ani tym bardziej gościnne. Pływa się tam strasznie ciężko, w ogóle nie ma wysp, a ponadto roi się od barbarzyńców, przy których Persowie wydają się szalenie sympatyczni. Na przykład ci, co mieszkają tutaj, zrzucają rozbitków z klifów, w ofierze dla jakiejś bogini. A tu, na wschodnim wybrzeżu, Jazon podobno znalazł złote runo\*. Na północy jest parę osad greckich, a nad nimi stepy, na których właśnie mieszkają Scytowie. Nad nimi podobno są Amazonki, jednoocy wojownicy i gryfy, ale Scyles mówi, że to gówno prawda.

- No dobrze - odparł Demokles, próbując dopatrzeć się tych wszystkich krain w bazgraninie Leocharesa. - Ale co tam robił Perykles?

- To co zawsze, prowadził wojnę. Chciał zająć jedno z tych greckich miast, początkowo nawet mu nieźle szło, ale koniec końców zawalił sprawę. Wreszcie doprowadził do rozejmu i jako oznakę dobrej woli dostał kilkudziesięciu scytyjskich niewolników. Nie bardzo miał co z nimi począć, więc zrobił z nich takich, no... jak by to powiedzieć. Porządkowych. Zresztą sam wiesz.

- Aha... A to prawda, że oni mają więcej niż jedną żonę? - zapytał chłopak.

- Eee, Scyles cię znów nabierał. Zapewniam cię, że z jedną jest dość problemów. No, chodźmy.

\*\*\*

- Dość głęboka ta studnia - powiedział Leochares, patrząc w ziejący stęchlizną otwór. Rzucił w dół kamień, po chwili usłyszał ciche mlaśnięcie. - Na dnie jest chyba jeszcze sporo błota. Wziąłem ze sobą linę, mam nadzieję, że będzie wystarczająco długa.

- Oczywiście to ja mam tam zejść? - zapytał Demokles.

- Oczywiście. No, chodź, zwiążę cię w pasie, tak będzie najwygodniej.

Po chwili Demokles powoli zsuwał się w dół studni. Na dnie było mnóstwo śmieci: potłuczonych naczyń, obłamanych terakotowych figurek, kości. Przy ścianie leżało truchło jakiejś kuny albo łasicy, łażyło po nim mnóstwo much i robaków; słodkawy smród rozkładającego się zwierzęcia mieszał się z ziemistym odorem błota. Po chwili, kiedy Demokles przyzwyczał wzrok do półmroku, zauważył utyłany gliną bukłak. Pociągnął kilka razy za sznur, Leochares dźwignął go ku powierzchni.

- Mamy chyba szczęście - powiedział Demokles, strzepując grudki ziemi z himationu.

- No, najpierw zobaczmy, co jest w środku...

Leochares wyciągnął krótki kozik i rozciął bukłak wzdłuż szwu. Skóra w środku była gładka i czysta, wytatuowane litery były wyraźnie widoczne.

- I co? Co tam jest? - pytał Demokles, zaglądając mu przez ramię.

- Poczekaj, przecież czytanie to nie dłubanie w nosie, muszę się skupić - odparł Leochares. - Hmm. Dziwne. Tu jest napisane: „Leocharesie. Jutro tuż przed świtem w Kerameikosie, na rozwidleniu głównej drogi. Przyjdź sam”.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na rozcięty bukłak. Leochares przeczytał wiadomość jeszcze raz, myśląc, że zrobił błąd. A potem jeszcze raz, i dla pewności następny. Wreszcie usiadł ciężko na ziemi i cisnął zapisaną skórą o studnię.

- Bogowie... - sapnął. - Myślałem, że to ja ich śledzę.

- Nie rozumiem - powiedział Demokles. - Może chodzi o jakiegoś innego Leocharesa, no wiesz, jakiegoś ich szpiega.

- Niemożliwe - odparł Leochares. - Nie mogą być takimi idiotami, żeby pisać do siebie po imieniu. Poza tym wskazują miejsce kontaktu, to też jest dziwne. Powinni mieć stałe miejsca spotkań.

- Czyli chodzi o ciebie.

- Tak. Raczej tak. Bardziej mnie ciekawi, kto to napisał.

- Proteusz?

- Wątpię. Raczej jeden z jego szpiegów, który albo chce mi z jakiegoś powodu pomóc, albo próbuje mnie wciągnąć w pułapkę.

- Główna droga Kerameikosu to kiepskie miejsce na zasadzkę.

- Też prawda. Pójdę sobie obejrzeć to miejsce dzisiaj, i tak miałem odwiedzić Eufanora. Idziesz ze mną?

- Nie, wiesz przecież, że go nie lubię. Masz dla mnie jakąś robotę?

- Nie - powiedział Leochares, wstając. Zwinął rozcięty bukłak w rulon. - Możesz iść do domu.

\*\*\*

Mimo że Leochares często odwiedzał warsztat Eufanora, prawie zawsze miał wrażenie, że go przeoczył, że poszedł za daleko. Ulica garncarzy zdawała się nie mieć końca. Wszędzie czuć było wilgotny, jakby gadzi zapach gliny i gryzący swąd palonych gałęzi drzewa oliwkowego. Skrzypiały garncarskie koła, huczały piece, ludzie targowali się, czasem kłócili. W czasach pokoju widywało się tu wielu ludzi spoza Aten, którzy kupowali za jednym razem po kilkaset waz. Podobno cieszyły się uznaniem nie tylko innych Greków, ale i

niektórych barbarzyńców, zwłaszcza tych mieszkających na zachodzie. Teraz ruch był mniejszy, ale i tak trzeba było się rozpychać łokciami.

Ulica była wąska i nie szło się nią przyjemnie - pod stopami czuć było ostre kawałeczki potłuczonych naczyń. Warsztaty ciągnęły się jeden za drugim, aż do bramy; przed każdym stały drewniane ławy obładowane wazami - kraterami\* do mieszania wina, hydriami na wodę, aryballosami na oliwę do ćwiczeń, lekytami na groby, pyksidesami na kosmetyki...

Warsztat Eufanora był wciśnięty pomiędzy dwa inne, większe budynki. Stary garncarz siedział przy kole obracającym powoli przez młodego niewolnika. Eufanora najłatwiej byłoby określić słowem: okrągły. Miał zupełnie okrągłą głowę, z głęboko osadzonymi, okrągłymi oczami i idealnie półkolistymi brwiami. Nos, najwyraźniej nie chcąc zakłócać tej sferycznej estetyki, był okrągły tak dalece, jak tylko w przypadku nosa jest to możliwe. Eufanor był już starszym człowiekiem i było to widać - jego rzadkie, krótko przycięte włosy były całkowicie siwe; kojarzyły się one Leocharesowi niezmiennie ze świńską szczecina.

Ten niezgrabny, powolny człowiek dokonywał nad kołem cudów. Był istnym herosem garncarstwa, bogiem gliny, której bezkształtne grudki przeistaczał delikatnym dotknięciem palca. Jego ręce znajdowały w burej grudzie ziemi całe naczynia, w mgnieniu oka na wirującym kole wzbijały się w górę smukłe szyje naczyń, pęczniały brzuszce, wyrastały znikąd uchwyty i przykrywki. Leochares pokręcił z niedowierzaniem głową. Wiele razy widział Eufanora przy pracy - po śmierci ojca ten warsztat był dla niego drugim domem - ale kunszt starego garncarza nadal go zaskakiwał.

Skończywszy, Eufanor podniósł łzawiące od dymu oczy. Zauważył Leocharesa, wstał, wytarł ręce w skórzany fartuch i zawołał:

- Witaj, Leo! Długo czekałeś?

- Nie, tylko chwilkę. Miło cię widzieć, staruszk.

- Trzeba mi było dać znać, że przyszedłeś, głupio mi, że...

- Daj spokój - przerwał Leochares. - Lubię patrzeć, jak pracujesz, wiesz o tym. Jak nowy niewolnik, zadowolony jesteś?

- Tak, pięknie maluje, sam tak nigdy nie potrafiłem. A jakie kobiety robi! Wolałbym taki jego rysunek od niejednej porne. Ale nie gadajmy na ulicy jak stare przekupy, poczęstuję cię czymś. Wiele nie ma, no, takie czasy niestety, ale trochę wina, sera, oliwek, to zawsze coś mam. Nawet mi zięć miodu przyniósł...

- Ja już jadłem, dzięki. Ale może byś się ze mną przeszedł do łaźni? Muszę z tobą pogadać, a tam nam nikt nie będzie przeszkadzał.

- No, i tak miałem na dziś kończyć, to czemu nie?

Eufranor zrzucił z siebie poplamiony gliną fartuch, włożył stary, o wiele za duży himation i był gotowy do wyjścia. Po krótkim spacerze dotarli do ulubionej łaźni Leocharesa, prowadzonej przez jego kolegę z czasów wojska. Główna sala była skromnych rozmiarów, pod ścianami znajdowało się zaledwie sześć wanien. Eufranor zanurzył się szybko w gorącą wodę, głośno parszcząc; jego ciało prawie momentalnie stało się czerwone. Leochares usiadł na brzegu wanny, wsuwając do środka tylko nogi.

- Uff! - wypuścił powietrze z ust. - Gorąca!

- Nie marudź, włącz! - zawołał Eufranor.

- Czekać no, do takiego ukropu to wolę wchodzić miarowo...

Zanim dokończył zdanie, stary garncarz szybkim ruchem wepchnął go do wanny. Leochares miał wrażenie, że zamiast do wody wpadł do kadzi z wrzącą oliwą; piekła go skóra, w piersi czuł nieznośne klucie. Trwało to jednak tylko krótką chwilę; kiedy wynurzył głowę nad powierzchnię, odetchnął już tylko z ulgą. Eufranor rechotał z radości, odsłaniając szczerbaty uśmiech.

- A podobno człowiek z wiekiem mądrzeje - powiedział Leochares kwaśno, próbując wylać gorącą wodę z ucha.

- Niestety, muszę cię rozczarować, z wiekiem się tylko dziecinnieje - odparł garncarz, nadal się szczerząc. - Co tam u ciebie słyszeć?

- Nic dobrego. Mam wrażenie, że Spartanie dobierają nam się do dupy.

- No, jeśli chodzi o dobieranie się do dupy, to przecież mamy do czynienia z ekspertami... I nie ty jeden masz takie wrażenie.

- Ja nie tylko mam wrażenie, ja to widzę. Szykują coś dużego, coś niebezpiecznego. Dwa trupy w ciągu dwóch dni i stawiam drachmy przeciw orzechom, że będzie ich więcej. No właśnie... Szukam kogoś.

- No? Kogo?

- Facet jest z Lesbos, przy kasie, wygląda na kupca. Podejrzewam, że otruł taką jedną dziewczynę, która pracowała u Lysikraty. Ciemne włosy, blizna na policzku. Imienia nie znam. Mówi ci to coś?

- Hmm... Tak... - wymamrotał Eufranor, drapiąc się po rzadko porośniętej głowie. - Chyba wiem, o kim mowa. Był u mnie jakiś facet z Lesbos parę dni temu, wypytywał o wazy, niby chciał kupić kilka skrzyń kielichów, ale już potem nie wrócił.

- Jeśli nie przyszedł po naczynia, to miał inny cel.

- No tak... Niech no sobie przypomnę - powiedział stary garncarz. - Zdaje się, że mnie

pytał, czy nie mam jakichś znajomych w porcie, bo traci mnóstwo czasu na formalności, jak on to powiedział, przeszukują mu pokład, wypytują załogę. Chciał to ominąć, pytał, czy mogę mu pomóc.

- Taak... Zdecydowanie chciałbym go poznać. Nie wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Pewnie w Pireusie, ale nic więcej nie wiem. Zresztą może już odpłynął.

- Być może... Słuchaj, jeszcze o jedną przysługę cię poproszę.

- No, o co chodzi?

- Ulepiłbyś mi lekyt, taki na pogrzeb? Wiem, że zazwyczaj ich nie robisz, ale mi zależy. Nie chciałbym kupować u kogoś innego.

- Cóż, w drodze wyjątku się zgodzę.

- Świetnie. Wpadnę za parę dni.

- Co, już idziesz?

- Takie czasy - odparł Leochares, niezgrabnie wylaząc z wanny. - Mam co robić.

\*\*\*

Resztę dnia Leochares spędził w Pireusie, pytając o Lesbijczyka. Parę osób nawet go sobie przypominało, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa ani gdzie można go znaleźć. Próbował szczęścia, szukając go w tawernach, które nawet w trakcie wojny roły się od cudzoziemców, ale niczego nie wskórał. Leochares miał ochotę odsapnąć trochę na nabrzeżu i pomoczyć obolałe stopy w morzu, ale port był tak odpychający, że szybko zmienił zdanie. Na plaży wały się gnijące, poprzetykane śniętymi rybami wodorosty, woda była spieniona i burozielona. Rzędy opustoszałych, przygotowanych do zimowania triem<sup>\*</sup> zasłaniały horyzont. Statki wpatrywały się w miasto oczami namalowanymi na dziobach i skrzypiały miarowo, zgodnie, jak jakiś upiorny chór. Cała ta scena była z jakiegoś powodu niepokojąca. Leochares odwrócił się od morza, poprawił potargane wiatrem włosy i zaczął iść w stronę miasta.

Do domu dotarł długo po zmierzchu. Zazwyczaj trasę między Pireusem a miastem pokonywało się dość szybko, o ile nie wpadło się na kolumnę wozów albo transport wojskowy. Teraz, kiedy trzeba było lawirować między chatkami przesiedleńców, trwało to wieki. Był to męczący i przygnębiający spacer. Roilo się tu od żebraków, natarczywych nawet jak na ateńskie standardy, cuchnących pijaków i nastoletnich kurewek ze zmęczonymi, nieumiejętnie umalowanymi twarzami. Leochares miał wrażenie, że cały ten brud lepi się do niego jak tłusta pajęczyna. Jediną ucieczką od tego miejsca było wchodzenie w głąb: droga prowadziła na wprost przez kilka ładnych stadionów<sup>\*</sup>, nie można było nigdzie odbić w bok.

W domu było ciemno i cicho; Lydike powitała go bez słowa. Postawiła lampkę oliwną na stole, wyjęła miskę z serem, oliwkami, chlebem i suszonymi na słońcu rybkami. Nie musiała nic mówić. Ze ściany przy wejściu zniknął ciężki perski dywan, który Lamia przyniosła w posagu. Jej ojciec zdobył go po którejś z wielkich bitew w trakcie perskich wojen\*, Leochares nie pamiętał już, czy chodziło o Salaminę, czy Plateje. Zresztą teraz to już naprawdę nie było istotne, dywan zniknął z jego życia razem z żoną. Dokończył posiłek, żując każdy kęs powoli i mechanicznie, nie czując smaku, po czym wszedł na górę.

Wielka skrzynia, w której Lamia trzymała ubrania i różne kobiece szpargały, leżała za łóżkiem z otwartą pokrywą. Chiton, który przędła przez ostatnie tygodnie, był nadal rozpięty na stelażu, niedokończony. Leochares przejechał po nim dłonią. Był trochę szorstki, węzły wyszły różnej grubości, wzór na lamówce był trochę krzywy... Lamia nie lubiła tej roboty. Leochares zdjął tkaninę ze stelaża, złożył i umieścił na dnie skrzyni.

Nie mógł zasnąć. Starał się myśleć o pracy, o następnym dniu. Kto się ma z nim jutro spotkać, po co? Co robi teraz Proteusz? Jaką przesyłkę przygotowali Spartanie? Ale, ku jego irytacji, myśli zbaczały mu do wspomnień ich ślubu. Przed oczami stanął mu znów jego orszak weselny: Eufranor z pochodnią w ręku, w wieńcu, już pijany, Agathokles, kumpel z wojska, wiodący konie za uzdę, i wreszcie oni sami, w wozie, na którym było tyle kwiatów, że ciągle chciało mu się kichać. Ona, zamiast spuścić oczy ku ziemi, jak nakazywała tradycja, patrzyła ciągle na niego, z mieszaniną zaciekawienia i strachu. Bardzo mu się to wtedy podobało. No i noc poślubna, dla niego oczywiście nie był to pierwszy raz, ale dla niej tak. Zdejmował z niej powoli całą biżuterię, potem sandały, chiton z delikatnego lnu. Miała piękne, kręcone włosy, w które jej siostry wpięły malutkie fiołki i niezapominajki. Miała pieprzyk na lewej piersi, tuż pod sutkiem, i małą bliznę na biodrze, której, jak się później dowiedział, dorobiła się jako dziecko, kiedy przydepnęła sobie skraj płaszcza, idąc po schodach. Kiedy w nią wszedł, wbiła mu paznokcie w plecy, przygryzła usta, ale nie krzyknęła...

I zostawiła go - mimo tego, jaki był dla niej dobry, ile na niąłożył pieniędzy! Żony jego znajomych, jeśli w ogóle wychodziły z domu, to tylko przy wyjątkowych okazjach, na jakiś festiwal albo czyjś ślub, ale żeby ot tak, przejść się na agorę? Ludzie pukali się w głowę, jak o tym mówił. No i on jej nigdy nie uderzył, podczas gdy wszystkie jej siostry ciągle chodziły z podbitymi oczami. I ona mówi o braku szacunku!

Leochares wstał z łóżka. Wspomnienia o nocy poślubnej z Lamią rozbudziły go i podnieciły, nie mógł zasnąć. Zszedł na dół, wziął trochę drobniaków i wyszedł na ulicę. Chętniej dziewczyny nie musiał szukać dłużej, kilka przecznic dalej zaczęła go mocno

wymalowana, chuda blondynka. Nie była w jego typie - wolał ciemnowłose kobiety i konkretniejsze kształty - ale nie chciało mu się szukać dłużej. Złapał ją za włosy i pociągnął je w dół, odginając do tyłu głowę; lizał jej szyję, była słona, pachniała jeszcze latem. Wsunął rękę pod jej chiton, przejechał po brzuchu, złapał za sutek, duży i miękki; ona jedną ręką gładziła go po pośladkach, a drugą złapała za członek, zaczęła nim szarpać - za szybko i za mocno; albo była niedoświadczona, albo jej się nie chciało. Leochares odwrócił ją, przyparł do ściany, zadarł chiton do góry i wszedł w nią; była mokra i ciepła, pewnie jeszcze po poprzednim kliencie. Uderzał o jej spocone pośladki, gryzł jej kark, miętosił piersi; z każdym jego ruchem jęczała głośniej. Wreszcie doszedł, wstrząsnął nim dreszcz przyjemności. Wyślizgnął się z niej szybko, zapłacił i poszedł do domu, bez słowa. Musiał przecież zdążyć się wyspać.

\*\*\*

Było jeszcze ciemno i zimno. Leochares opatulił się grubym, szorstkim płaszczem i ruszył w stronę Kerameikosu. Był niewyspany, kleiły mu się oczy; zboczył trochę z drogi, żeby minąć studnię. Wciągnął wiadro, zanurzył ręce w lodowatej wodzie, natarł nią twarz i szyję. Od razu go to ocuciło, zaczął myśleć trzeźwiej. Na wschodzie było już widać łunę wstającego słońca, więc przyspieszył kroku i poszedł prosto ku wyznaczonemu miejscu.

Zatrzymał się przy wylocie uliczki, która łączyła się z głównym skrzyżowaniem, i obserwował. Ruchu było jeszcze niewiele - ot, jakiś garbaty staruszek pchał powoli wózek wyładowany chrustem; okutana szalem kobieta, niosąca na głowie pustą hydrię, szła w stronę agory. Przed jednym z domów stał katafalk, na którym leżał owinięty w bogato zdobioną tkaninę trup. Wokół stało kilka rozpaczliwie zawodzących kobiet o wilgotnych od łez, zapłakanych twarzach. Jedna z nich próbowała suchą gałęzią odgonić kłębiące się wokół ciała muchy. Przy każdym ruchu spadało kilka liści, które, nim opadły na ziemię, wirowały przez chwilę w powietrzu.

Leochares odwrócił wzrok od żałobników, wyszedł z bocznej ulicy i stanął na środku skrzyżowania. Słońce zdążyło już wstać, co obwieszczały wszem i wobec ateńskie koguty. Rozglądał się za szpiegiem, z którym miał się spotkać. Nikogo nie było widać i Leochares zaczął się zastanawiać, czy coś mogło go wystraszyć. Co prawda kazał Scylesowi wdrapać się na jeden z okolicznych budynków i obserwować skrzyżowanie, ale sam nie mógł go nigdzie dostrzec.

Tymczasem żałobnicy zaczęli przygotowywać się do przejazdu na cmentarz. Starszy mężczyzna, którego wcześniej Leochares nie widział, zaprzęgał muła do wozu, a kobiety



odstąpiły od ciała i podniosły wiklinowe kosze pełne lektyów i kolorowych wstążek do przyozdabiania nagrobków. Dopiero teraz widać było dobrze samego zmarłego. Leochares mimochodem zbliżył się do katafalku. Błada, zapadnięta twarz martwego mężczyzny była przyozdobiona wieńcem, pod brodą miał ciasno związaną tasiemkę, która przytrzymywała opadającą szczękę. Kiedyś, jako dziecko, Leochares był na pogrzebie, na którym zapomniano o tym małym detalu. Kiedy wszyscy szli za wozem na cmentarz, na którymś z wybojów zmarłemu otworzyły się usta, z których wypadł napuchnięty, siny język. Śniło mu się to potem przez lata. Teraz zresztą też nie miał miłego widoku, bo kiedy kobiety odeszły od katafalku, muchy mogły bezkarnie łązić po twarzy zmarłego, spijając krople potu zbierające się na policzkach...

Zamarł. Szlag by to trafił, trupy się nie poca! Próbował się szybko wycofać, ale zdał sobie sprawę, że drogę odwrotu blokują mu żalobnicy. Starszy mężczyzna trzymał w ręku zakrzywiony nóż, kobiety wyciągnęły sztylety z wyłożonych wstążkami koszy. Leochares wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Zanim pojawi się tu Scyles, będzie już po wszystkim...

- Spokojnie, żadnych gwałtownych ruchów - odezwał się cicho leżący na katafalku mężczyzna, otwierając oczy. Związana pod brodą tasiemka sprawiała, że cedził słowa przez zęby. - Nikt tu nie chce ci zrobić krzywdy. Zbieram się z Aten, jak widzisz, i chcę powiedzieć parę słów na pożegnanie. Ten skurwysyn Proteusz wie, że wpadłeś na jego trop, więc wybija wszystkich swoich ludzi, których mógłbyś znaleźć. Ja byłem następny, podłożył mi zatrute wino, i od trzech dni udaję trupa. Wiadomość jest taka: przesyłkę od Spartan, czymkolwiek ona jest, Proteusz odbierze osobiście, jutro, gdzieś w Atenach. Więcej nie wiem. No, na mnie już czas, niech mi ziemia lekką będzie, a tobie życzę, żebyś dożył wiosny.

- Poczekaj, co... - zaczął Leochares.

Zanim dokończył, starszy mężczyzna złapał go od tyłu za włosy i przyłożył nóż do gardła.

- Nie ma czasu na pytania - odpowiedział niedoszły zmarły. - Na cmentarz trzeba jechać o świcie, więc i tak jestem spóźniony. Bywaj!

Staruch zaciągnął Leocharesa do drzwi i wepchnął kopniakiem do środka. Zanim zdołał wstać, usłyszał zgrzytanie obracającego się w zamku klucza. Leochares zerwał się i doskoczył do drzwi, ale było już za późno, ani drgnęły. Ruszył w stronę okien, ale za nic nie mógł ich otworzyć, musiały być zabite od zewnątrz deskami. Chciał wejść na piętro, ale drabina prowadząca na górę miała przepiłowane stopnie. Leochares rzucał się po pokoju, szarpał drzwi, próbował wyważyć okiennice. Kiedy wreszcie Scylesowi udało się go uwolnić,

Leochares dyszał ze zmęczenia, z porozcinanych palców kapała mu krew. Ulice Kerameikosu tętniły teraz życiem, a ślady kół pogrzebowego wozu zadeptały już setki stóp.

\*\*\*

Leochares zawijał poranione ręce bandażem. Pomimo bólu uśmiechnął się - przypomniał sobie swoje pierwsze zawody w pankrationie\*, wiele lat temu. Zgłosił się bez wiedzy rodziców. Matka nie znosiła tego sportu, więc za każdym razem, gdy wracał z gimnazjonu z rozkwaszonym nosem, szedł spać bez kolacji. Ojcu z kolei zależało, żeby nie stracił zwinności w palcach, niezbędnej w złotniczym warsztacie, a ponadto uważał pankration za rozrywkę dla przygłupów, na zawody nie puściłby go nawet jako widza.

Tego pamiętnego dnia Leochares wstał więc przed świtem. Zanim zszedł na dół, stanął przed pokojem rodziców, żeby upewnić się, że oboje śpią. Ojciec chrapał głośno, krztusząc się co chwila jak ktoś, kto opił się wody. Matka była dużo cichsza, ale w końcu, pomiędzy jednym sapnięciem ojca a drugim, udało mu się ją też usłyszeć. Zszedł powoli po schodach, omijając najbardziej skrzypiące stopnie. Spiżarnia była zamknięta na klucz, który ojciec zawsze kładł na noc pod swoją poduszką („matka podpija wino”, mówił), więc wyszedł bez śniadania.

Leochares doskonale wiedział, że nie ma na zawodach szans. Był najmłodszym z zawodników, nie miał dużego doświadczenia. Jego trener mówił, że ma talent, ale na razie częściej dostawał wciry, niż wygrywał. Wiedział, że rodzice będą wściekli, kiedy dowiedzą się, że poszedł do gimnazjonu bez ich zgody, chociaż mógł odpaść już w pierwszej rundzie, więc istniała szansa, że wróci, zanim na dobre się obudzą.

Wszedł do gimnazjonu, rozebrał się, nasmarował oliwą. Przywitał się z trenerem, który bezustannie ziewał i drapał się po nieogolonych policzkach, i zaczął nawijać skórzane pasy na ręce. Podobno niektórzy wsuwali pod nie podłużne kamienie albo kawałki metalu, ale Leochares miał problemy z utrzymaniem gardy nawet wtedy, kiedy musiał sobie radzić tylko z ciężarem skórzanych pasów.

Wreszcie przyszedł alytarch\*, w śnieżnobiałym himationie i z kosturem o rozdwojonym końcu, symbolem sędziowskiego autorytetu. Wyglądał bardzo dostojnie, ale czerwony, nabrzmiały nos zdradzał, że poza gimnazjonem zajmował się tymi samymi rozrywkami co reszta. Jego pomocnik niósł srebrną wazę, w której znajdowały się losy; zawodnicy podchodzili do niej kolejno i losowali. Zasada była prosta - ten, kto wyciągnął ostrakon z alfą, walczył z drugim zawodnikiem, który wylosował tę samą literę, i tak dalej. Okazało się, że liczba zawodników jest nieparzysta, więc sędzia oświadczył, że osoba, która

wylosuje kappę, przechodzi od razu do następnej rundy.

I wtedy wydarzyła się jedna z tych rzeczy, która każe myśleć, że bogowie mają bardzo specyficzne poczucie humoru. Leochares wylosował kappę. A potem jeszcze raz. I znowu. I ponownie. W ten sposób, nie walcząc ani razu, doszedł do finału. Do tego czasu był tak głodny, że ledwo powstrzymywał się, żeby nie zlizywać oliwy, którą był wysmarowany, i kręciło mu się w głowie od upału. Jego przeciwnikiem w finale był Kleitos, facet tak wielki, że patrząc z daleka, można by go było pomylić z wołem. Przez pierwsze kilka minut walki udawało się Leocharesowi unikać jego pięści, wielkich jak taran triremy, ale jego własne ciosy nie robiły na Kleitosie żadnego wrażenia, prędzej by sobie rękę złamał, niż zrobił mu krzywdę. W końcu Leochares oberwał prosto w twarz; słyszał, jak nos rozpada mu się na kawałki. Zdołał się jeszcze podnieść, ale kopniak Kleitosa dosłownie wyrzucił go z placu walki. Dochodził potem do siebie przez tydzień. Rzygał kilka razy dziennie, właściwie nie widział na lewo oko i jeszcze przez następne pół roku mógł oddychać tylko ustami. Ojciec zaczął się do niego odzywać dopiero parę miesięcy później, tuż przed swoją śmiercią, kiedy jedną nogą był już za Styksem.

- To co teraz robimy? - odezwał się Demokles.

- Nie wiem - powiedział Leochares, wiążąc końcówki bandaża. - Wiemy, że Proteusz ma odebrać przesyłkę jutro, ale nie mamy pojęcia gdzie. Innych tropów nie ma.

- To nie brzmi zbyt dobrze.

- Ano, nie brzmi - odpowiedział Leochares. - Mamy przerabane.

- Czyli po prostu czekamy? - zapytał z niedowierzaniem Demokles.

- No, chyba że masz lepszy pomysł. Ja mam jeszcze coś do załatwienia, a ty siedź w domu, jak na coś wpadnę, to się do ciebie odezwę.

\*\*\*

Przesiedleni z Attyki chłopcy budowali swoje chaty wszędzie: na podmokłym gruncie koło rzeki, na terenie sanktuariów, a nawet na zboczu Akropolu, które z jakiegoś zapomnianego już powodu było uważane za przeklęte. Ale przy chatce wiedźmy nikt nie zamieszkał, mimo że miejsca było mnóstwo, niedaleko stała studnia, a obok przebiegała główna droga. Dzieciom jakoś nigdy nie przychodziła ochota się tu bawić, co więcej, nigdy nie było tu widać psów, które uwielbiały przecież takie zapomniane przez ludzi zaułki. Leochares też nie lubił ani tego miejsca, ani samej wiedźmy. Po pierwsze, była jednocześnie odrażająco brzydka i lubieżna, co stanowiło wyjątkowo nieprzyjemną kombinację. Po drugie, wizyta u niej oznaczała przyznanie się do porażki: nie potrafił sobie poradzić ze sprawą,

potrzebował czyjejś pomocy. Z drugiej strony, pomyślał, tak naprawdę zadaje pytanie nie jej, ale bogom, którzy przez nią przemawiają, nie ma więc chyba powodu do wstydu...

Otworzył drzwi i natychmiast poczuł na twarzy gęste, ciepłe powietrze. Było przesycone stęchlizną i smrodem, rozpoznał w nim woń palonych włosów i paznokci, odór nieświeżego mięsa, gorzki zapach rdestu. Na powbijanych w ściany hakach wisały niegarbowane zwierzęce skóry, powiązane w pęki wysuszone traszki i inne obrzydlistwa. Najgorsza była jednak sama wiedźma: jej włosy roily się od owadów, twarz miała pożółkłą, oczy wielkie i zaropiałe. Szmaty, które owinęła wokół siebie, cuchnęły moczem i potem, jak pościel starego człowieka.

- Witaj, piękny - odezwała się. Jej głos nie pasował do niej, był miękki i dźwięczny, prawie dziewczęcy. - Już za tobą tęskniłam. Ty za mną też?

- Niespecjalnie, jeśli mam być szczery - odpowiedział Leochares, stawiając na ziemi kosz. - Przyniosłem ci coś.

- Ach, wiedziałam, że wcale nie masz takiego zimnego serca, jak udajesz, mój luby. Co my tu mamy... - Oblizła spierzchnięte usta. - Suszone figi, czosnek, ryby, i to nie jakieś podle sardynki, ale węgorz! Bogowie, kiedy ja miałam ostatnio w ustach węgorza...

- Chcę, żebyś mi pomogła.

- Czego ci trzeba, kochanieńki? - wymamrotała wiedźma, ściągając jednocześnie zębami skórę z węgorza. - Czy chłopiec, w którym się zakochałeś, gardzi twoimi podarkami i nie chce na ciebie patrzeć?

- Nie, wręcz przeciwnie... - odpowiedział Leochares. - Słuchaj, chodzi o coś zupełnie innego. Wiem, że jutro w Atenach pojawi się spartański szpieg. Nie wiem kiedy dokładnie ani gdzie. Ale muszę go złapać, muszę, rozumiesz? Powiedz mi, gdzie go szukać!

Wiedźma odłożyła kosz i bez słowa podeszła do stojącego na trójnogu piecyka. Uklękła i zaczęła miarowo dmuchać w tłące się węgielki, aż jej włosy i twarz przyprószył popiół. Piecyk wiedźmy był przepiękny i zupełnie nie pasował do reszty jej domu. Jego nogi zostały odlane w kształcie satyrów\*, a blacha spinająca palenisko była zwieńczona malutkimi figurkami ketosów. Jako syn złotnika Leochares był w stanie w pełni docenić kunszt, z jakim wykonano ten piecyk: na udach satyrów widać było pojedyncze włoski, ich zęby były posrebrzone, jako oczy miały wprawione drogie kamienie, z kolei łuski morskich potworów zrobione były z malutkich połączanych blaszek.

- Tak... - bąkała pod nosem wiedźma. - To zupełnie co innego, kochany, co innego... Tak... Weźmiemy dziewannę, korę brzozy, ziarna maku... No i oczywiście łysiczkę i suszone stożkogłówki...

Wiedźma związała wszystkie zioła w pęczek, po czym wrzuciła je do ognia. Wysuszone rośliny natychmiast zajęły się ogniem, buchnęły kłęby ciemnoszarego dymu. Leocharesa zaczęły piec oczy, gorące powietrze drapało w gardło i drażniło nozdrza; rozkaszał się i cofnął pod ścianę. Wiedźma tymczasem odgarnęła włosy z twarzy i nachyliła się nad piecykiem, prawie całkiem zniknęła wśród dymu. Oddychała głośno, głęboko, nucąc jakąś melodię. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał inaczej, był niższy i chropowaty.

- Ach... Szukaj... Szukaj... Khe, khe...

- Tak? Czego? Mówże!

- Szukaj... Szukaj... Świń - wychrypiąta wiedźma, po czym osunęła się na ziemię.

- Że co? - Leochares rozdziawił usta. - Świń?! Co to znaczy, świń, na Heraklesa?!

Podbiegł do wiedźmy, próbował ją ocucić, ale bezskutecznie. Nabral wody ze stojącej w kącie balii i chlusnął nią do piecyka. Ogień zgasł, dymu było więcej, ale nie miał już tak intensywnego zapachu. Leochares otworzył drzwi, po czym zdjął płaszcz i zaczął nim machać, rozpędzając sinoszare kłęby.

- Hej, obudź się! - wykrzyczał Leochares, potrząsając wiedźmą. - Co chcesz powiedzieć? O co chodzi ze świniami?

Wiedźma go jednak najwyraźniej nie słyszała. Leochares polizał palec i podstawił go pod nos kobiety - oddychała. Czoło miała rozgrzane, ale nie niebezpiecznie. Leochares westchnął i wstał. Wziął jeden z walających się na podłodze koców i trzymając go tylko koniuszkami palców, przykrył nim wiedźmę.

- Taa... - burknął pod nosem, zamykając za sobą drzwi. - Równie dobrze sam mogłem zjeść te węgorze

\*\*\*

- „Szukaj świń”? - powtórzył Demokles. - Jesteś pewien, że się nie przesłyszałeś?

- Jestem pewien, przecież stałem koło niej, tak jak teraz koło ciebie.

- No, czyli przyjmijmy, że rzeczywiście powiedziała „świnie”... Poczekaj, nawet nie spytałem, chcesz coś zjeść albo się napić?

- Nie, daruj sobie. Siadaj tu ze mną i pomyślmy.

- Hmm... - mruknął Demokles, usadowiwszy się na stołku. - Tak się zastanawiam... Wiesz, że słowo świnia\* ma też inne znaczenie?

- Co ty nie powiesz? Pewnie, że wiem, nie jestem tak stary, jak ci się wydaje... Też o tym myślałem, ale to nie ma sensu. Gdzie mamy szukać tego szpiega, w burdelu? Absurd.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Leochares gapił się na sufit, mnąc nerwowo połę

himationu. Demokles bawił się, przypalając ułamany uchwyt od amfory w płomieniu lampki.

- A gdybyśmy to odczytali dosłownie? - odezwał się chłopak. - No wiesz, na przykład, spotkają się tam, gdzie się trzyma świnie. Przecież musi być ich sporo teraz w mieście?

- No właśnie - powiedział Leochares, nie odrywając wzroku od sufitu. - Na każdym podwórku jest świnia. Równie dobrze możemy po prostu przeszukać wszystkie domy. Odpada.

Znów zapadło milczenie. Leochares skubał paznokcie i myślał o tym, że w belkach musiały się znowu zalęgnąć korniki. Demokles owijał sobie włosy wokół palca wskazującego, a drugą ręką bębnił palcami o stół.

- Możesz przestać? - warknął Leochares

- Przestać co?

- Walić palcami. Denerwuje mnie to.

- Pff - prychnął Demokles. - Jesteś nadęty jak Persefona na zimę. Jakoś jak ty mruczysz pod nosem albo żujesz brodę, to mi to nie przeszkadza. Mógłbyś czasem... Poczekaj! Mam!

- Co?

- Wiem, o co chodzi z tymi świniami! Dziś zaczynają się Wielkie Misteria, prawda? Widziałeś te tłumy przy Stoi Poikile?

- Tak, ale co...

- Poczekaj! Jutro, drugiego dnia, będzie rytuał oczyszczenia i ludzie pójdą obmyć się w Faleronie. I co wezmą ze sobą, jak co roku?

- Świnie! - wykrzyknął Leochares, zrywając się ze stołka. - Masz rację! Tak, to ma sens. Pierwszy raz od tygodni otworzą się bramy miasta, rytuał odbędzie się w Faleronie, tam się łatwiej przekraść niż pod same Ateny, będzie mnóstwo ludzi, szybko się można wmieszać w tłum... Tak, to musi być to!

Leochares złapał Demoklesa za policzki i pocałował go w czoło.

- Dobrze się spisałeś. Jutro pójdziemy do Faleronu, razem z całą resztą. Załóż jakieś odświętne ciuchy i pójdz przed świtem na agorę. Kup dwa prosiaki i dwa wianki. Tylko nie zaśpij, bo potem będą straszne tłumy. Spotkamy się tuż po świcie, przy bramie. No, to ja lecę do siebie.

- Pójść z tobą? - zapytał Demokles.

- Nie - powiedział Leochares. - Obaj musimy się wyspać. Do jutra.

\*\*\*

Tylu świń naraz Leochares jeszcze nie widział. Zgodnie z wymogiem misteriów każdy z uczestników procesji niósł ze sobą prosiaka, wraz z którym przystąpi do rytualnej kąpieli w morzu. Zwierzaki rzecz jasna nie wiedziały, że wieczorem cała ta wyprawa skończy się na ofiarnym ołtarzu, więc bawiły się świetnie: kakofonia chrumknięć i kwiczeń zagłuszała rozmowy, prosiaki lizały ludzi po twarzy, żuły poły ich ubrań albo ciągnęły za włosy. Jedna ze świnek zdołała nawet wyrwać się z rąk właściciela, jakiegoś łysiejącego grubasa o spoconej twarzy, który teraz, sapiąc, rozpychał się między ludźmi w daremnej pogoni.

Procesji przewodził kapłan Demeter z Eleusis, staruszek o długiej, żółtawobiałej brodzie i dobrotliwym uśmiechu. Był ubrany w ceremonialne purpurowe szaty, które lśniły lekko w ostrym porannym świetle. Pozostali uczestnicy procesji też ubrani byli odświętnie, na biało, z wieńcami na głowach. Całe szczęście, do Wielkich Misteriów mogli przystąpić też cudzoziemcy i niewolnicy, więc obecność Scytów nie wzbudzała niepokoju ani podejrzeń. Leochares jednak chciał, żeby nie wybijali się z nadmiaru z tłumu, musiał więc przekonać Scylesa i jego chłopców do włożenia normalnych ubrań zamiast swoich barbarzyńskich fatalaszków. Nie było to łatwe. Jednym z wielu scytyjskich dziwactw było przeświadczenie, że prawdziwy mężczyzna chodzi tylko w spodniach. Mimo wielu prób Leocharesowi nie udało się ich przekonać do ateńskiej mody. Co prawda teraz, kiedy wyjątkowo zgodzili się założyć himationy, też nie prezentowali się dobrze - ciągle trzymali ręce przy biodrach, na wypadek gdyby wiatr miał im podwiać ubranie, wyglądali więc dość pokracznie.

Leochares rozpoznawał w tłumie wielu znajomych. Metrofilos, który przepuścił cały ojcowski majątek, grając w kości w Pireusie, nie prezentował się zbyt dobrze. Widać było, że Chairos się do niego nie uśmiechnął już od dawna: nawet jego odświętne ubrania były postrzępione i sprane, a prosiak, którego niósł, wyglądał, jakby mógł nie dożyć wieczora. Eudoksję, jedną z najpopularniejszych w mieście heter<sup>\*</sup>, jak zawsze otaczał wianuszek podlizujących się mężczyzn. Oczywiście udawała, że nie zwraca na nich uwagi, i skupiała się na drapaniu za uchem swojego prosiaka, przewiązanego szeroką żółtą wstążką. Efekiara, uśmiechnął się w myślach Leochares. Włożyła chiton tak cienki, że jak tylko wejdzie do wody, stanie się przezroczysty... Niedaleko od niej szedł Sokrates, straszny brzydał i mądrała. Znali się przez rodziców, jego ojciec też był rzemieślnikiem, tyle że pracował w kamieniu. Leochares niezbyt za nim przepadał, bo na sympozjonach zamiast pić i się bawić, wygadywał jakieś dyrdymały. Zresztą kolejna impreza będzie jutro, u Dourisa... Obrócił głowę w drugą stronę i zobaczył Eufranora. Przyspieszył kroku i zrównał się z nim.

- Hej, staruszkule! - powiedział, klepiąc go po łysinie.

- Leochares? O, nie spodziewałem się ciebie tutaj! - wykrzyknął garncarz. - No ale jak

to, przecież ty nie możesz brać udziału w misteriach od czasu tej historii z marynarzem...

- A kto powiedział, że biorę, tak sobie świnie na spacer wyprowadzam.

- A no chyba że tak. Pewnie nie jesteś jedyny, ludzie mają tak dosyć siedzenia za zamkniętymi drzwiami, że wyszliby pod każdym pretekstem. Ale ciebie chyba tu nie sprowadza nuda?

- Nie, tu mnie masz. W sumie jestem tu służbowo.

- Ta? A o co chodzi? - zapytał Eufranor, mocując się z prosiakiem, który zaczął gryźć mu brodę.

- Powiedzmy, że jestem na polowaniu.

- Ach tak? - powiedział staruszek, podnosząc głowę. - No tak, to by tłumaczyło, czemuś tu przytargał tych swoich barbarzyńców. Może potrzebujesz mojej pomocy, co? Jak byłem w twoim wieku, nie miałem sobie równych w zapasach...

- Nie wątpię - odparł Leochares, dźgając starym palcem w brzuch. - Że jak już na kogoś wlałeś, to walka była skończona. Myślę, że jakoś sobie poradzimy, nie przejmuj się. A teraz cicho sza, bo jeszcze ktoś nas usłyszy.

- Ach tak, już milczę! - teatralnym szeptem powiedział garncarz. - Na starego Eufranora możesz liczyć. Nic nikomu nie powiem.

- Świetnie. Trzymaj się! - powiedział Leochares.

Droga prowadząca do Faleronu była równa i szeroka, szło się nią przyjemnie. Na chwilę można było zapomnieć o wojnie - Spartanie nie dotarli do tej części Attyki, a zapach spalenizny, który przypominał o mniej szczęśliwych demach, rozwiewała morska bryza. Dobrze było odpocząć i od innych zapachów, od których nie sposób było uciec w Atenach - fetoru zapchanych latryn, pełnego gnijących śmieci Eridanosu, wszechobecnego odoru ludzkiego potu. Wreszcie można było iść, patrząc przed siebie, a nie pod nogi, poczuć wiatr we włosach, zobaczyć morze. Nic dziwnego, że ludzie zachowywali się inaczej niż w mieście - byli uśmiechnięci, czyści i serdeczni wobec siebie.

Leocharesowi nie udzieliła się ta radosna atmosfera. Krążył wśród uczestników procesji, szukając czegoś podejrzanego. Rozglądał się, czy ktoś nie chowa broni pod połami ubrań, próbował wyłapać obce akcenty, ludzi szczególnie małomównych lub przesadnie gadatliwych. I nic. Z tego, co widział, rozproszeni w procesji Scytowie i Demokles nie mieli wiele więcej szczęścia - wodzili wzrokiem wokół siebie, przepychając się między ludźmi, coraz bardziej zmęczeni. Leochares wiedział, że muszą czuć się podobnie jak on - co chwila znajdowali jakiś sekret w odwróconym spojrzeniu czy szepcie, oblewał ich zimny pot, kładli dłoń na rękojści sztyletu, byli już gotowi do skoku, po czym w ostatniej chwili przychodziła



trzeźwiająca myśl - znów tylko im się wydawało... Leochares zdawał sobie sprawę, że szansa na rozpoznanie w tłumie spartańskiego łącznika jest nikła. Miał jednak nadzieję, że kiedy zobaczy, że go szukają, popełni jakiś błąd, może zacznie uciekać albo kogoś zaatakuje. Jednak jak na razie albo wykazywał się mocnymi nerwami... albo go tu po prostu nie było. No tak, mam za swoje, pomyślał Leochares, uśmiechając się kwaśno, skoro pytam dzieciaka, jak rozumieć słowa wariatki.

Morze było tego dnia spokojne; fale wybrzuszały się dopiero przy samym brzegu, a otwarte wody przypominały tafle lodu. Plaża była kamienista i pełna ostrych kawałków muszli i jeżowców; ludzie chodzili po niej niezdarnie, chybocząc się jak gęsi. Na wezwanie kapłana Demeter „Ku morzu!” ludzie weszli do wody. Świnie najwyraźniej nie doceniały podniosłości tego momentu, bo na obmywanie zareagowały jeszcze głośniejszym kwiczeniem.

Leochares nie mógł uczestniczyć w misteriach, stał więc na brzegu. Tak jak przypuszczał, wokół Eudoksjii zgromadził się tłumek mężczyzn, których bardziej niż mistyczne przeżycia interesowało boskie ciało kurtyzany. Scytowie, którzy uwielbiali wszelkiego rodzaju tajemnice i krwawe rytuały, wyglądali na nieco zawiedzionych, ponadto ciągle oglądali się na sąsiadów, żeby się upewnić, czy robią wszystko jak należy.

I wtedy go zobaczył. Z prawej strony, zza skały, jakieś pół stadionu od brzegu, wyszedł smukły mężczyzna. Poruszał się z trudem, woda sięgała mu do piersi. Był całkiem mokry, jego włosy lśniły w słońcu, na ramieniu wisiał mu wodorost. Prosiak, którego trzymał, był chyba martwy. W drugim ręku niósł wiklinowe pudło, z czymś białym u dołu, co wyglądało jak nadmuchany rybi pęcherz. Nie przyszedł tu. Przyplynał.

Leochares podniósł się i wszedł do wody. Złapał spojrzenie Scylesa, dał mu znać szybkim gestem, co się dzieje; Demokles zorientował się po chwili i dołączył do nich. Szli powoli, ostrożnie, pewni swego. Leochares sięgnął pod himation i wyciągnął sztylet, schował go w dłoni.

I wtedy minęli Eufanora. Leochares nawet na niego nie spojrzał, odsunął go tylko. Stary garncarz obrócił się zdziwiony, a potem zobaczył, w którą stronę idą. Zrozumiał. Otworzył szerzej oczy, broda zaczęła mu drgać, usta wygięły się w okropnym grymasie.

- Ludzie! - wrzasnął. - Tu jest szpieg! Spartański szpieg!!! Tam! To ten tam! Ten pod skałą! Biercie go! Zabijcie!

Spartański łącznik zaczął uciekać i to był jego błąd. Ludzie, którzy normalnie zaczęliby zadawać pytania, stracili rozum, byli jak zwierzęta, jak bakchantki\*. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, rzucili się w stronę szpiega. Biegli przed siebie niezdarnie, wrzeszcząc,

zadzierając wysoko nogi, rozbryzgując wodę. Cały ich strach, zmęczenie i nienawiść wypłynęły na powierzchnię; spokojnym, ciepłym morzem zawładnął ludzki sztorm.

Zanim Leochares zdążył choćby zbliżyć się do szpiega, woda była już czerwona od krwi. Kiedy wraz ze Scylesem zdołał odepchnąć ludzi, nie było już czego zbierać. Rozerwano go na kawałki, gołymi rękoma. Po pudle nie było ani śladu.

- Kurwa mać! - wrzasnął Leochares, ciągnąc ludzi za ubrania, za włosy. - Wypierdalać mi stąd! W tej chwili!

Kiedy szpieg był już martwy, ludzie nagle zbaranieli, zastygli. Scytowie bez trudu wypchnęli ich z wody. Leochares już na nich nie patrzył, szukał zawartości pudła. Chodził wokół skały, odsuwając pływające na powierzchni kawałki materiału i wikliny, zanurzając co chwila głowę pod wodę.

Scyles złapał go za ramię.

- Leo, chodź. Tu mnóstwo, mnóstwo krwi, jego i świni. Tu zaraz będą źli ryby. Musimy wyjść.

- Zostaw mnie - wycedził Leochares przez zaciśnięte zęby. - Muszę wiedzieć, co było w pudle!

- Nie, nie można. Tu będą źli ryby.

- Odczep się - szarpnął się Leochares. - Jak mi nie chcesz pomóc szukać, to spieprzaj!

- Patrz. Trójkąt, tam, nad wodą. Zły ryba. Wychodź, teraz.

Leochares obejrzał się. Trzy rekiny, coraz bliżej. Zaklął, uderzył pięścią w wodę i ruszył ku brzegowi.

## γ

- Już idę, już idę - wymamrotał Leochares, schodząc na parter. Pukanie obudziło go już jakiś czas temu, ale miał nadzieję, że jeśli nie odpowie, to dadzą mu spokój. Niestety, niespodziewany gość był raczej natarczywy. Leochares zarzucił himation, który cisnął na ziemię poprzedniego wieczoru, i odciągnął rygiel. Przed domem stał Eufranor.

- A, to ty - powiedział Leochares. - Czego chcesz?

- No wiesz... Przeprosić cię.

- Aha - odparł, stojąc cały czas w przejściu. - No, to dawaj.

- A mogę wejść?

Stary garncarz wzruszył ramionami i uśmiechnął się niepewnie. Leochares rzucił mu ponure spojrzenie. Podrapał się po szorstkiej od porannego zarostu szyi, zaczął oglądać swoje paznokcie. Ale stary najwyraźniej nie zrozumiał subtelnego sygnału.

- Wchodź, jak musisz - odparł wreszcie Leochares. - Poczęstowałbym cię, ale nie mam nic do jedzenia.

- No właśnie, tak myślałem, mały, tak myślałem. Jak w domu nie ma... no... A, nieważne. Przyniosłem tu w koszu trochę jęczmiennych placków, jeszcze są świeże, trochę miodu od mojego zięcia i kiełbaski.

- Mhm. Dzięki.

- Słuchaj, no nie gniewaj się tak na mnie, przecież chyba nic wielkiego się nie stało...

- Ech - machnął ręką Leochares. - Masz łeb pusty jak te twoje garnki. Nic się nie stało?! Gdyby nie twój wyskok, to może byśmy złapali Proteusza, przecież on miał tam być... Nie mówiąc już o tym, że przesłuchalibyśmy tego spartańskiego łącznika, wiedzielibyśmy, co było w tym pudle, co na nas szykowali...

- Ja wiem, masz rację - odparł szybko Eufranor. - Stary ze mnie pierdoła. Powiedziałeś mi coś w zaufaniu, a ja tak...

- Spieprzyłeś - dokończył Leochares.

- Nawet nie wiesz, jak mi głupio... Ale jak ja zobaczyłem tę gnidę, jak wychodzi z za tej skały, no to jakby mnie jakiś daimon\* opętał. Wiesz, ja parę lat temu kupiłem w Acharniach takie małe gospodarstwo, wszystkie moje oszczędności na to poszły, jeszcze pożyczkę wziąłem od takiego jednego kupca...

- Nigdy o tym nie wspomniałeś - przerwał mu Leochares.

- Nie mówiłem ci nic, Leo, bobyś mi jeszcze chciał pieniądze dawać... Teraz to

nieważne, podobno kamień na kamieniu nie został. Ja nawet nie chciałem pójść, no nie przeżyłbym tego, zięć sprawdził. I widzisz, ja zobaczyłem tego szpiega i mi się to przypomniało, i to, ilu chłopców już zginęło, ile tu wdów, ile nieszczęścia... No i nie wytrzymałem, po prostu nie mogłem...

- No, uspokój się już - powiedział Leochares. - Bo mi się tu popłaczesz. Nadal mam ci za złe, ale może jeszcze ci kiedyś wybaczę.

- Ja mam jeszcze taki mały prezent... - Eufranor sięgnął do kosza. - O, to taki tam kubeczek, moim zdaniem niczego sobie...

Leochares musiał się zgodzić, kielich był wspaniały. Perfekcyjnie symetryczny, o pięknych proporcjach. Uchwyty były tak zgrabne i tak idealnie łączyły się z czaszą, że trudno było uwierzyć, że nie wyrosły z niej niczym gałązki z drzewa. Czarny firnis, perfekcyjnie gładki i lśniący, sprawiał, że kielich wyglądał jak wykonany z jakiegoś nieznanego ludzom metalu. Ale najpiękniejsze były rysunki: na zewnętrznej stronie Eufranor namalował tańczące menady, a w środku, na dnie - starego satyra śpiącego na kamieniu, z bukłakiem wina pod głową. Postacie były przepiękne, pełne życia; odnosiło się wrażenie, że ich ubrania falują lekko na wietrze, że ich oczy śledzą ludzkie ruchy, że gdyby było absolutnie cicho, można by dosłyszeć upojny śpiew menad i lekkie brzmienie kitary...

- Bogowie - wyszeptał Leochares, obracając kielich w dłoniach. - To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Wszystkie te świecidełka po moim ojcu przy tym bledną... Sam to malowałeś?

- Tak, ale dawno temu, teraz bym już tak nie potrafił.

- Powinieneś być malować obrazy, a nie garnki... Przepiękny jest ten kielich.

- Cieszę się, że ci się podoba. Niech ci dobrze służy. Słuchaj, nie chcę ci przeszkadzać, pewnie masz co robić...

- Niestety masz rację, muszę zaraz iść na Akropol.

- No, to ja już uciekam.

To powiedziawszy, stary garncarz wstał, wybąkał jeszcze parę przeprosin, polecił ponownie miód i wyszedł. Leochares oglądał jeszcze przez chwilę prezent, po czym ostrożnie powiesił go za uchwyt na wbitym w ścianę gwoździu.

\*\*\*

Zawsze czuł się na Akropolu nieswojo, zwłaszcza po tym, jak za jego przebudowę wziął się Perykles. Resztki starych świątyń zniszczonych jeszcze przez Persów, które Leochares pamiętał z dzieciństwa, rozebrano, a na ich miejscu wzniesiono budowle, których

mogliby Ateńczykom pozazdrościć olimpijscy bogowie. Świątynia Ateny Partenos była gigantyczna. Mimo że skończono ją już jakiś czas temu, Leochares nadal nie mógł się do niej przyzwyczaić, nie mógł uwierzyć, że to ludzie zbudowali coś tak ogromnego. Ładnych parę lat temu, kiedy dopiero co zaczęto ją wznosić, Leochares wykonywał jakieś drobne prace na budowie. Nadal pamiętał wrażenie, jakie wywarły na nim wtedy porozkładane na ziemi bębny kolumn. Były tak wielkie, że wyglądały jak pogruchotane żebra jakiegoś pradawnego potwora. Kiedy był w Tesalii, pokazywano mu takie kości, znalezione w górach; były ciężkie i twarde jak kamień. Niektórzy mówili, że to szkielety cyklopów, inni - że szczątki tytanów, którzy onegdaj ośmielili się stanąć do boju przeciw bogom...

Dookoła samej świątyni stały setki posągów. Były lśniące w słońcu rzeźby z brązu i figury z malowanego marmuru, bogowie i atleci. Posągi, które dopiero co wyszły spod dłuta, stały koło starych, sztywnych przedstawień kobiet, które jakimś cudem przetrwały perski najazd. Patrząc na nie, Leochares nie mógł się nadziwić, jak bardzo zmieniły się obyczaje w Atenach. Teraz kobiety ubierały się skromnie, w proste szaty, biżuterię zakładały tylko na specjalnie okazje, włosy nosiły związane. Na tych starych rzeźbach wyglądały zupełnie inaczej - kolorowe, bogato zdobione tkaniny opinały ich ciała tak mocno, że wyraźnie było widać pod nimi zarys pośladków i piersi, włosy miały długie, czasem nawet sięgające bioder, uszy przekłute kolczykami. Jeśli wierzyć kolorom farb, pomimo upływu tylu lat nadal widocznym, to musiały nosić makijaż jak najgorsze zdziury z Pireusu. Usta były krwistoczerwone - pewnie malowały je sokiem z buraka - a brwi ciemne jak węgiel. Leocharesowi nie mieściło się w głowie, że jego dziadek wypuszczał tak babcię na ulicę.

Mimo tego, że była wojna, ze wszystkich stron dobiegały obce akcenty - przebywający w mieście kupcy i posłowie ze sprzymierzonych z Atenami miast zawsze znajdowali wolną chwilę, żeby odwiedzić Akropol. Niektórzy patrzyli na rosnące świątynie z zachwytem - pokazywali sobie palcami świeżo wykute, jeszcze niepomalowane rzeźby, zadzierali do góry głowy, podziwiając wykonane z niezwykłym pietyzmem zdobienia gzymsów. Inni mieli wąsko zaciśnięte usta i dłonie złożone w pięści; obserwowali ten wielki plac budowy ze złością i poczuciem bezsilności. Ateny płaciły bowiem za te ekstrawagancje nie z własnej kiesy, lecz ze składek sojuszników, które ustanowiono przed laty, by pokryć koszty wojen przeciw Persom. Teraz, kiedy król królów\* został pobity i trzymał się z dala od greckich miast, sprzymierzeńcy mieli po dziurki w nosie tych opłat, ale Ateńczycy za nic nie chcieli ich znieść i nierzadko używali siły, żeby je uzyskać; dobrowolne składki zamieniły się w daninę.

Znalazł wreszcie Peryklesa niedaleko bramy wejściowej. Towarzyszyło mu dwóch

architektów, którzy walcząc z wiatrem, próbowali rozwinąć przed nim jakieś plany naszkicowane na egipskim papirusie. Jeszcze coś chce zbudować? - pomyślał z niedowierzaniem Leochares. Bogowie, za co? I gdzie on chce coś tu jeszcze wetknąć? Już teraz ludzie się tu ledwie mieścili w trakcie Panatenajów, w zeszłym roku był taki tłok, że bodaj czworo ludzi zdeptano...

- Hej! - zawołał Leochares. - Trudniej cię znaleźć niż złote runo.

- O, jesteś wreszcie! - odezwał się Perykles, odwracając się w jego stronę. - Dobrze, bo mamy do pogadania. Poczekaj chwilę, muszę tu coś dokończyć.

Leochares usiadł i czekał. Perykles coś tam gadał o jakichś entazach i telamonach, stosunku dolnej średnicy kolumny do czegoś tam i innych takich. Dwaj architekci zgodnie kiwali głowami, czasem dodawali pełne aprobaty chrząknięcia. Najwyraźniej Perykles miał dużo własnych pomysłów, zresztą podobno przy budowie Partenonu też się strasznie mądrył. W ostatniej chwili wymyślił sobie, że nad wewnętrzną kolumnadą powinien być jeszcze jeden fryz. Architekci ciągle mu powtarzali, oczywiście owijając w ładne słówka, że to kiepski pomysł i że płaskorzeźb w ogóle nie będzie jak oglądać, bo będą za wysoko, i do tego wewnątrz. Perykles oczywiście postawił na swoim, fryz zrobiono, tyle że do tej pory nikt tak naprawdę nie wiedział, co miał przedstawiać - jedyne, co można było w nim dojrzeć, to końskie nogi.

- Jeszcze bym chciał, żebyście zrobili taki kamienny płotek dookoła, dobrze? Najlepiej z płaskorzeźbami. Tak? No, to do zobaczenia - powiedział Perykles i pożegnał się z architektami. - No, wreszcie. Ładny dzień, co?

- Nie bardzo, zaraz będzie lać... - odpowiedział zdziwiony Leochares.

- No właśnie, piękny. Tośmy sobie pogadali, a teraz do konkretów. Możesz mi powiedzieć, co się, do kurwy nędzy, działo wczoraj w Faleronie?

- Zabiliśmy szpiega.

- Pięknie, no pięknie. A czemu tam? W trakcie kąpieli? Czy ty wiesz, na czym polega rytuał oczyszczenia? Może na wspólnym rozrywaniu faceta na kawałki i zdeptywaniu świń?

- Nie, sytuacja się po prostu wymknęła spod kontroli...

- No, tu masz rację. Kapłan Demeter się chyba jeszcze trzęsie z gniewu, dzisiaj rano mi groził, że odwoła całe misteria, że je sprofanowano. Wyobrażasz sobie, co by się działo? Całe szczęście, przekonałem go, że to jednak kiepski pomysł. Ale ludzie i tak gadają, że to zły omen i niedługo Ateny spłyną krwią, że obraziliśmy boginię... Ja specjalnie ludzi wypuszczam za mury, żeby sobie odetchnęli, zapomnieli trochę o wojnie, a ty mi urządzasz krwawą łaźnię, no zwariować można!

- Posłuchaj no - powiedział Leochares, wstając. - Zrobiłem, co trzeba było. Cokolwiek znajdowało się w tym pudle, było dla zdrajców ważne. Nie dostali tego, i to się liczy. Ludzie pogadają o omenach, znakach, innych takich i zapomną. Przecież do niedawna jeszcze szeptali po kątach, że skoro Pelasgikon został zamieszkały wbrew woli bogów, to czeka nas nieszczęście, a teraz nikt już nawet o tym nie pamięta. Zresztą jeszcze dziś zapłacę takiemu jednemu dziadowi, żeby rozgłaszał ludziom, że to najpomyślniejszy z możliwych znaków, i jeszcze się będą cieszyć.

- No, lepiej, żeby tak było... Masz jakieś podejrzenia, co mogło być w tej skrzynce?

- To musiało być coś raczej małego i lekkiego. Na pewno nie pieniądze ani biżuteria czy srebrne naczynia. Może jakieś listy czy inne pisma. Trudno powiedzieć.

- I nic nie znaleźliście na plaży?

- Wczoraj pojawiły się rekiny, więc nie mogliśmy wejść do wody aż do wieczora. Wtedy zrobiło się już ciemno, trudno nam było szukać, a w nocy pogorszyła się pogoda, fale musiały zmyć wszystko w głąb morza. Scytowie mieli jeszcze dziś szukać, ale wątpię, żeby cokolwiek znaleźli.

- A jeśli w pudełku nic nie było?

- Słucham?

- Może to po prostu podpucha? Rzucili na pożarcie szpiega, tylko po to, żeby uspić naszą czujność.

- Niemożliwe - pokręcił głową Leochares. - Nie mogli przecież wiedzieć, że wpadnie, i tym bardziej nie mogli zakładać, że pudło nie dostanie się w nasze ręce.

- Masz rację. No dobrze, to co będziesz teraz robił? Jeśli miałbyś na przykład ochotę łapać następnego szpiega w Telesterionie, to może wymyśl coś innego...

- Mhm. Nie mam na razie żadnych planów. Nie mamy żadnego tropu wiodącego do Proteusza, więc musimy po prostu czekać na jego następny krok i dalej się rozglądać.

- Świetnie, świetnie. Słuchaj, wygląda na to, że masz wolną chwilę... Mam dla ciebie sprawę. Ten Filoksenos mi strasznie bruździ, oskarżylibyśmy go o zaniedbanie ojca.

- Przecież to nieprawda... - odparł Leochares.

- A od kiedy ci to przeszkadza? Ojciec nie żyje, więc nie zaprzeczy. Ty mi tylko skombinuj jakichś świadków, a resztę się już załatwi, przegłosują mi to. Jego dużo osób nie lubi, mogą nawet wiedzieć, że jest niewinny, a i tak mu dołożą. No, to na mnie pora, muszę się spotkać z jakimś perskim posłem, Megabazosem czy innym Hiperbazosem. Oni nie lubią czekać. Trzymaj się!

- Poczekaj, jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Leochares. - Ludzie się strasznie

irytują, że nie zwołujesz posiedzeń Zgromadzenia. Może byś tak je zarządził? Mogliby się wyzalić, może by się wtedy trochę uspokoili.

- Drogi Leocharesie, powinieneś wiedzieć, że ja, jako strateg, nie jestem uprawniony, by zwoływać Zgromadzenie.

- Dobra tam, każdy przecież wie, że bez twojej zgody nic się nie może ruszyć.

- No ale po co mi to Zgromadzenie? - Perykles mrugnął. - Żeby mi jakiś histeryk wpuścił spartańskich posłów do miasta? Dziękuję bardzo, mnie się rządzi wygodnie bez tego. No, to na razie!

Perykles odwrócił się i ruszył w stronę Propylejów. Szedł pewnym krokiem, na ukłony odpowiadał zdawkowo, bez zatrzymywania. Ciekawe, pomyślał Leochares, on wydaje się tak przystojnym człowiekiem, kiedy się na niego patrzy z daleka, ale z bliska... Okazuje się, że piękna, miedzianozłota broda zakrywa twarz pełną blizn, a z ust, które potrafią przemawiać tak pięknie, cuchnie jak z garbarskiego kotła.

Leochares odwrócił wzrok i spojrzał na Ateny. O ile idąc ulicami, widziało się głównie brudną biel ścian, o tyle z góry miasto było jasnoczerwone, koloru wyblakłych na słońcu dachówek. Leochares poczuł, że na ramię spadła mu kropla deszczu. Potem następna, i jeszcze dwie, i się rozpadało, słychać było, jak deszcz bębni o dach świątyni. Nagle niebo przecięła błyskawica, zagrzmiało. Leochares cmoknął głośno, żeby odegnąć zły urok, i podniósł się z ziemi. Trzeba się było zbierać.

\*\*\*

Leochares stał przed drzwiami do domu Myrine i mókł. Himation był coraz cięższy, zaczął się lepić do ciała, woda spływała po włosach na plecy. Zamknął oczy. Nienawidził się w tej chwili. Czuł do siebie obrzydzenie, takie, jakie uderza człowieka na widok padliny. Otworzył oczy, wbił wzrok w drzwi; zacisnął ręce w pięść, aż czuł, że paznokcie wbijają mu się w dłoń. Wreszcie zapukał.

- O, Leochares! Ależ zmokłeś - powiedziała Myrine, zasłaniając twarz szalem. - Wchodź, dam ci wina... Tylko nie hałasuj, proszę, bo dziadek śpi.

Leochares zdjął płaszcz, usiadł na zydlu, przy piecyku, i grzał dłonie. Palce miał już pomarszczone jak po długiej kąpeli. Myrine mieszała mu wino z wodą. Byłaby ładną kobietą, gdyby nie to, że całe jej ciało porastały gęste włosy. Krzaczaste brwi łączyły się w jedną grubą kreskę, która odciągała uwagę od jej ładnych ust i dużych orzechowych oczu.

- Co cię sprowadza? - spytała, podając mu kielich.

- Nic przyjemnego - odparł Leochares, odgarniając z twarzy zimne włosy. - Pamiętasz,



kiedy ci pomogłem z twoim bratem, przy spadku?

- Oczywiście. Jak mogłabym zapomnieć...

- Pamiętasz też, jak ci wtedy powiedziałem, że mogę cię kiedyś poprosić, żebyś mi się odwdzieczyła?

- Tak...

- Chcę, żebyś namówiła dziadka do zeznawania przeciw Filoksenosowi.

- Ale... Przecież dziadek ledwo kojarzy, co się wokół niego dzieje. A Filoksenos to kuzyn... z jakiego powodu miałby go niby skarżyć?

- Zaniedbanie ojca.

- Ale jak to, przecież... no, zgoda, może nie dawał mu tyle pieniędzy, ile powinien, ale wuj mógł wydać, ile tylko chciał, na konie...

- Co dokładnie Filoksenos robił, to mnie nie obchodzi. Chcę, żeby przeciw niemu zaświadczyć w sądzie.

- Ale... Tak nie można! - Myrine podniosła rękę do głowy. - To rodzina!

- Tak, to prawda - odparł Leochares. - Twój brat też jest rodziną, a jak przejął majątek, to powiedział, że nie dostaniesz nic na posag, bo i tak nikt się z tobą nie ożeni. I Filoksenos ci wtedy nie pomógł, prawda?

- Bogowie, to się nie godzi...

- Bogowie... - prychnął Leochares, idąc do drzwi. - Hefajstos był synem Hery, a ona zrzuciła go z Olimpu tylko dlatego, że był brzydki. Hades jest bratem Demeter, a porwał jej córkę. Kronos chciał żywcem zjeść Zeusa, swojego syna, a Zeus obciął mu jaja. Myślisz, że bogowie się zatruwają, jak nabruździsz kuzynowi? Pomagaj tym, którzy ci pomogli.

- Ale...

- Nic nie mów. Zastanów się, a ja wrócę za parę dni.

\*\*\*

-...i wtedy - powiedział teatralnym szeptem Scyles - kiedy nasza wódz zmarł, wszystkie ludzkie w plemienu zjechali w jedno miejsce. I wtedy kopie się dziurę w ziemi, jak borsucza norę, i tam kładzie króla. A potem otwiera się szyja jego przybocznego i jego koniuszy, i jego wszystkich żony i kładzie się ich razem z nim. I każdy z nich ma strój ze złoto, i miecze są ze złoto, i nawet kołczany. A potem zabija się konia, dużo, dużo konia...

Chociaż Leochares słyszał już tę historię, nie przerywał Scylesowi i usiadł przy ognisku. Oczywiście, kiedy Scytowie dostali ten dom, były w nim piecyki, ale to im się nie spodobało. Zamiast tego wybili dziurę w dachu, a na środku największego pokoju zrobili

palenisko. Jakby to nie było wystarczająco dziwne, to zamiast wyrzucać popiół do rzeki, jak wszyscy inni, zbierali go na podwórku, aż usypał im się mały kopiec. Wtedy zaczęli składać tej stercie popiołu ofiary - wrzucali do niej kości zwierząt, naczynia, figurki z wypalanej gliny, raz nawet zakopali w niej żywcem psa...

-...a potem - ciągnął Scyles - kiedy już w grobie stoją kotła pełne jedzenia, zamykamy grób i zasypujemy ziemią, aż będzie góra. Mnóstwo, mnóstwo tej ziemia, a najlepiej takiej czarnej jak kruk. A potem...

Demokles siedział naprzeciwko, z głową na kolanach, zasłuchany. Musiał przyjść niedawno - skóra lśniła mu jeszcze od deszczu, ubranie lepiło się do ciała. Scyles, który nie znosił takiej pogody - mówił, że kiedy pada, bołą go kości - okutał się grubym pledem i włożył spiczastą czapkę z barwionego filcu. Co jakiś czas poprawiał polana pogrzebaczem i wtedy w górę strzelały dziesiątki, setki malutkich iskierek, które jarzyły się przez chwilę w powietrzu jak świetliki. Jego twarz wyglądała jeszcze bardziej niezwykle niż zazwyczaj: tatuaże pokrywające policzki pojawiały się i znikały w migotliwym blasku ognia, poryta zmarszczkami skóra kolejno ciemniała i jaśniała.

-...i wtedy, kiedy wszystko skończone, siadamy wszyscy na zboczu kurhany, i pijemy, i jemy, i wspominamy czyny król. I tak przez siedem dzień, i potem każdy wsiada na koń i wraca w swoje strona...

- Chciałbym kiedyś zobaczyć to wszystko - powiedział Demokles, wpatrując się w rozżarzone węgle. - Jak duże są te wasze stopy? Jak Attyka?

- Phi - machnął ręką Scyles. - Attyka to nic. My mieszkać na morzu trawa. Można jeździć po nim całe życie i nigdy nie wrócić w to samo miejsce. Dwie armia mogą się tam minąć. Kiedy Dareios, król Persów, wyprawił się...

- No, nie chcę wam psuć zabawy - wtrącił się Leochares - ale muszę przerwać na chwilę. Znaleźliście coś na plaży?

- A wiesz, że tak? - odpowiedział Demokles, odrywając wzrok od ogniska. - Ten jeden chłopak, co to niby nie jest prawdziwym Scytą...

- Pewnie, że nie jest - obruszył się Scyles. - On jest Sindianin, rybojad...

- Nieważne - przerwał mu Leochares. - Jak dla mnie może być i Hiperborejczykiem. Co dalej?

- No więc okazuje się, że ten chłopak świetnie pływa i nurkuje - kontynuował Damokles. - Naprawdę, on dłużej może siedzieć pod wodą, niż ja biegać... W każdym razie długo wyławiał same śmieci, wiesz, parę kawałków sieci, amfor, nic ciekawego. Aż w końcu znalazł to, fragment jakiegoś dziwnego garnka.

- I to ma być ciekawe? - spytał z niedowierzaniem Leochares. - Przecież tu się wszędzie roi od skorup.

- Ale ta jest inna. I coś na niej jest. Zobacz.

Leochares wziął skorupę do ręki. Od razu zauważył, że była cięższa i grubsza niż kawałki ateńskich naczyń. Kolor też był inny, dużo ciemniejszy. Zewnętrzna strona była szorstka, ale wewnętrzna - gładka i śliska, jakby pokryta woskiem. I faktycznie, były na niej jakieś znaki, ale na pewno nie greckie, składały się z prostych linii i trójkątów. Leochares widział coś takiego pierwszy raz w życiu.

- Ktoś wie, co to za szlaczki?

- Ja nie mam pojęcia - powiedział Demokles. - Scyles mówi, że kiedyś widział coś podobnego, ale nie może skojarzyć gdzie.

- To niech przestanie głądzić o tych ich wariactwach i się zastanowi - powiedział Leochares. - Ja zabiorę tę skorupę do Klemachosa, on jest obyty w świecie, może nam zechce pomóc. Aha, idę potem na sympozjon do Dourisa, więc się widzimy dopiero jutro.

\*\*\*

- Kogut Mnasosa musi wygrać. Zobacz, jaki ma dziób, bogowie, prawie jak gryf! A te pazury! Do tego przed chwilą wepchnęli mu do gardła parę ząbków czosnku, patrz, jak się miota! Gdyby Herakles musiał wykonać trzynastą prac zamiast dwunastą<sup>\*</sup>, to, na bogów, musiałby się zmierzyć z tą bestią!

- No a ten drugi, Pamfilosa? - spytał Leochares, próbując ukryć uśmiech. - Też wygląda niczego sobie.

- Chyba żartujesz! - Karczmarz złapał się za głowę. - Ten wypłosz? Zdziobałyby go jego własne kurczęta!

- Ale ma takie piękne lśniące pióra, nie jak ten Mnasosa...

- Nic dziwnego, skoro ten oszust Pamfilos go przed chwilą wysmarował oliwą!

- No dobrze, przekonałeś mnie. Stawiam obola na tę bestię Mnasosa. A tak przy okazji, jest tu może gdzieś Klemachos?

- Tak, jest, tam pod oknem stoi - odpowiedział mężczyzna, skrobiąc coś na skorupie. - Masz tu ostrakon, „mi” jak Mnasos, i „alfa”, to znaczy, że postawiłeś jednego obola.

- Dzięki - odparł Leochares i przeszedł na dziedziniec.

Pod ścianami stało kilkadziesiąt mężczyzn w różnym wieku. Byli tu starcy o białych brodach i twarzach pomarszczonych jak suszone daktyle, faceci w kwiecie wieku, narzekający na żony i pogodę, i chłopcy, którzy przeciskali się między dorosłymi, próbując

dojrzyć koguty. Obydwa ptaki były jeszcze uwiązane. Ich właściciele robili, co mogli, żeby doprowadzić je do szału - dźgali zaostrozonymi kijkami pod skrzydła, szczypali w grzebienie.

Klemachos stał pod okapem, jak zawsze w cieniu. Kilkanaście lat temu statek, na którym płynął, rozbił się. Klemachos zdołał wleźć na jakiś potrzaskany kawałek pokładu i dryfował na nim bite trzy dni, zanim go uratowano. To było, jak mówił, w środku najgorętszego lata, jakie pamiętano. Wysychały rzeki, sosny zgubiły igliwie, z kurników wyciągało się jajka, które były już ścięte. I Klemachos leżał na tym słońcu, w tym skwarze, bez ubrań, pokryty solą. Najpierw zrobiły mu się bąble, potem skóra zaczęła mu pękać, schodzić całymi płatami. Kiedy go wreszcie wyciągnęli, krzyczał z bólu nawet wtedy, gdy przykryto go nasączonym oliwą prześcieradłem. Od tego czasu nie mógł wychodzić na słońce, nawet na jesieni nie pojawiał się na mieście bez parasolki - stąd mu się wzięło przydomkiem, „Satrapa”<sup>\*</sup>. Ta przypadłość nie przeszkodziła mu jednak stać się bardzo bogatym kupcem.

- I raz, dwa, trzyyy! - zakrzyknął karczmarz. Spuszczone ze sznurów koguty rzuciły się na siebie i chwilę później w powietrzu unosiły się zakrwawione pióra. Ptaki tarzały się na rozmiękłej od deszczu ziemi, natychmiast całe pokryły się błotem. Dziobały na ślepo, gdacząc i trzepocząc skrzydłami, a otaczający je mężczyźni huczeli, krzyczeli i wyli. Po chwili, dużo szybciej, niż spodziewał się Leochares, walka się skończyła. Jeden z kogutów, oblepiony ziemią, leżał bez ruchu w kałuży krwi.

- Kogut Pamfilosa wygrał! - zakrzyknął karczmarz, który jeszcze przed chwilą zachwalał „gryfa” Mnasosa. Leochares uśmiechnął się kwaśno i rzucił ostrakon na ziemię. Tłum zaczął się rozrzedzać, ci, którzy dobrze obstawili, poszli odebrać wygraną, gratulując sobie nawzajem. Reszta mężczyzn - zdecydowana większość - szła w stronę wyjścia, mamrocząc coś pod nosem z niezadowoleniem. Tylko dzieci przyjęły wynik bitwy obojętnie, były za to wielce zainteresowane truchłem koguta. Wyrzywały z niego pióra, otworzyły dziób i zaglądały do środka, a największy chłopczyk próbował wydłubać martwemu ptakowi oczy. Dopiero po chwili przegonił ich Mnasos - w końcu kogut na rosół się jeszcze nada.

- Hej, Satrapa, miło cię widzieć! - Leochares przywitał Klemachosa, który zbierał się już do wyjścia.

- Ech - westchnął kupiec. - Więc jednak... Miałem nadzieję, że to nie mnie tu szukasz.

- No naprawdę, przyjemny jesteś jak podagra.

- Och, mam nadzieję, że nie zламаłem ci serca. Mów, czego chcesz, i spadaj.

- Chcę, żebyś mi z czymś pomógł.

- To już wiedziałem, zanim się odezwałeś, nie jestem głupi. O co chodzi?

- Wiesz, co to może być? - powiedział Leochares, pokazując skorupę. - Ty jesteś taki światowy człowiek.

- Nie, niestety, strasznie mi przykro, do widzenia - odparł Klemachos i ruszył w stronę wyjścia.

- Hej! - zawołał Leochares, łapiąc go za ramię. - Nie tak szybko. Może chociaż znasz kogoś, kto mógłby mi pomóc?

- A czemu niby miałbym ci pomagać, co?

- No nie wiem... - Leochares zawiesił głos i podrapał się po głowie. - Może dlatego, że jeszcze nie doniosłem, jak handlujesz z Megarą pomimo zakazu? Ale wiesz co, od dawna miałem to zrobić, więc może po prostu pójdę do Pireusu i pogadam, z kim trzeba.

- Cicho! - syknął Klemachos. - Zamknij się! Skąd o tym wiesz?!

- Nie rozumiem, to mam się zamknąć czy ci powiedzieć, skąd wiem? - spytał Leochares, trzepocząc rzęsami.

- Bardzo, kurwa, zabawne. Gadaj, skąd wiesz?

- Powiem ci, jak się postarasz i znajdziesz kogoś, kto wie, co to za skorupa.

- Dobra, dawaj. - Klemachos wysunął spod płaszcza poparzoną dłoń. - Możemy się tu umówić jutro.

- Świetnie. To miłego dnia życzę.

- Wiesz co? - powiedział Klemachos, idąc w stronę drzwi. - Fajnie by było, jakbym cię już potem nigdy nie zobaczył. Wkurzasz mnie.

- Zobaczą, co da się zrobić - odparł Leochares z szerokim uśmiechem.

\*\*\*

- Na simpozion to mozie ten wianusiek - wymamrotała przekupka. Mówiła strasznie niewyraźnie, ostatni ząb jej pewnie wypadł jeszcze w czasach wojen perskich, a do tego trzymała drobniaki\* pod językiem. Nawet w trakcie rozmowy nie przestała wic kolejnego wianka; jej powykrzywiane palce całe były zielone od gałązek oliwek.

- No, może być ten. A powiedz, babciu, skąd ty masz teraz takie piękne gałązki, jak bramy są zamknięte?

- Bogom dziękować, mój wnusiek ma służbie psi bramie, to ciasem wichodzi ż miasta i dla mnie te gałązki żriwa.

- Ach, bardzo ciekawe... No, to bywaj zdrowa!

Leochares założył wieniec na głowę i pogwizdując, ruszył w stronę domu Dourisa. Zaczęło się już ściemniać i kupcy powoli składali swoje stragany - handlarz starzyzną ładował

związane bele ubrań na wychudzonego osła, perfumiarz wrzeszczał na swojego syna, który upuścił na ziemię skrzynkę alabastronów, jakiś golibroda wylał kubel pomyj. Tak zaśmieconej agory Leochares nie widział od dawna: wszędzie wały się zdeptane figi, ości, pestki wszelkich rozmiarów i rodzajów, obierki cebuli i czosnku. Ale do rana nie zostanie po tych resztkach nawet ślad - kiedy tylko rozejdą się ostatni handlarze, zacznie się cowieczorna uczta. Najpierw pojawią się bezdomni - starzy ludzie, którzy zawadzali komuś w domu, sieroty, wariaci. Będą szukać i wyrywać sobie z rąk kawałki zapiaszczonych, cuchnących ryb, których handlarze już nie zdołali opchnąć, kości, z których można wyssać szpik, gnijące owoce, w części wyjedzone już przez muchy i osy. Po nich przyjdą wynędzniałe ateńskie kundle, mewy i rybitwy i będą walczyć o te żalosne resztki resztek. Wreszcie tuż przed świtem agorę uprzętną myszy i szczury, a najmniejsze kawałki zostaną pozbierane przez mrówki. Kiedy pojawią się pierwsi kupcy, na ziemi nie będzie nic poza wyprażonym piaskiem.

Hmm, pomyślał Leochares, kiedy ja ostatnio byłem na sympozjonie? Chyba na wiosnę, zanim jeszcze się pojawili Spartanie. A tak, u Kalliasa... Który się tak spił, że wydawało mu się, że jest na statku, i leżąc na ziemi, wiosłował kijem od szczotki. Dziś raczej tak dobrze nie będzie. Douris jest już stary, Menekrates nigdy nie miał głowy do picia, nawet za czasów kiedy jeszcze rosły na niej jakieś włosy, a Sokrates będzie pewnie głądził, zamiast pić.

Leochares skręcił w kolejną uliczkę, starając się nie wejść w kałużę. Zabawne, pomyślał, jak intensywnie miasto pachnie po deszczu, jakby się budziło. Czuć było woń mokrej słomy, rozmięklej ziemi - zupełnie jak po orce - i suszących się ubrań. Pomimo tego, że unosiło się tyle zapachów, powietrze było jednak czyste i świeże. Leochares wdychał je z przyjemnością, pełną pierś - jutro Ateny znów będą spocone, będą śmierdzieć zjełczałym tłuszczem i nieświeżymi oddechami.

Wreszcie dotarł na miejsce. Dom Dourisa był duży, chyba największy na ulicy, miał piękne drzwi wejściowe - zrobione z dębu, z okuciami i ciężką kołatką w kształcie głowy jakiejś maskary. Leochares poprawił sobie wieniec, przeczesał palcami włosy, po czym zastukał. Dawno, dawno temu Douris się w nim podkochał i chociaż teraz obaj byli zdecydowanie za starzy na takie miłostki, to Leochares chciał się dobrze prezentować.

- Hej, Leo! - zawołał Douris, otworzywszy drzwi. - Miło cię widzieć!

- I ciebie też! - odparł Leochares z uśmiechem, wchodząc do środka. - Chłopaki już są?

- Sokrates pewnie jak zwykle się spóźni, a Menekrates przyszedł już jakiś czas temu,

chyba żeby mnie zanudzić na śmierć...

- A o czym gada?

- Ech - machnął ręką Douris. - To co zawsze, jakieś lekarskie dyrdymały. Teraz mi klarował, że zimny wiatr wywołuje zatwardzenie i skłonność do wymiotów.

- Jeśli wieje od strony Eridanosu, to na pewno...

- Błagam, już ty z nim nie dyskutuj - powiedział Douris. - Po prostu jak wejdiesz, to zmień temat, dobrze? Bo inaczej będziemy słuchać o flegmach, krwotokach i zmazach do końca wieczoru.

Weszli do andronu\* i Leocharesowi zaparło dech w piersiach. Mimo że był już tu wiele razy, piękno i przepych tego pokoju nie przestawały go zachwycać. Na ścianach porozwieszane były srebrne kielichy, łoża były wyłożone purpurowymi poduchami wypchanymi pierzem, a podłoga - wyścielona puszystym dywanem, miękkim jak mech. Sam stoliczek, który ugiął się od talerzy pełnych ryb i ciast, wart był chyba więcej niż cały posąg Lamii. Leochares przywitał się z Menekratesem i spojrzał pytająco na Dourisa.

- O co chodzi? - odezwał się zdziwiony gospodarz.

- No, gdzie mam się położyć?

- A wiesz co, gdzie chcesz. Pijemy z kumplami, więc nie będę się bawił w te wszystkie konwenanse. Ludzie tak się tym podniecają, czy się ich położy z tej, czy z tamtej strony gospodarza, a to w sumie bez znaczenia.

- Aha - powiedział Leochares. - To ja biorę to łoże przy drzwiach... No, widzę, że ci się nadal nieźle powodzi, co?

- Chyba żartujesz - wymamrotał Douris, żując kawałek flądry. - Beznadziejnie mi się powodzi.

- Oj tam, nie słuchaj tego pieprzenia - powiedział Menekrates, ocierając usta. - Nawet gdyby Douris był bogatszy od Krezusa, mówiłby ci, że nie ma co do ust włożyć.

- Co ty tam możesz wiedzieć - obruszył się Douris. - Po pierwsze, wojna, wiadomo, długów nikt teraz nie spłaca. Ponadto mam teraz w domu tyle bab, że ktoś mógłby pomyśleć, że zajęło go jakieś plemię Amazonek...

- A skąd te wszystkie kobiety? - spytał Leochares.

- Krewne, niech je szlag wszystkie trafi. - Douris sięgnął po kolejny kawałek ryby. Aha, pomyślał Leochares, to stąd się wziął ten drugi podbródek... - Dwie kuzynki, których mężowie polegli na początku wojny, a one nie mają co ze sobą zrobić, mieszkają już ze mną od roku. Teściowa ze swoją siostrą, zezowatą starą panną, mieszkały na wsi, koło Pentelikonu, w mieście nie mają żadnych krewnych poza mną. I do tego żona mojego brata,

który w zeszłym roku popłynął handlować z Trakami i słuch po nim zaginął. Nic, tylko plotkują, piją i żrą, jeszcze trochę i będę chodził od domu do domu po prośbie...

- No a nie możesz ich zagonić do pracy? - zapytał Menekrates, dłubiąc sobie w zębach. - Moja żona teraz przędzie i sprzedaje płótna, całkiem nieźle jej idzie.

- Eee, to niemożliwe - machnął ręką Douris. - Jakimś cudem wszystkie kobiety w moim domu pochodzą albo od maciory, albo od klaczy.

- Że co? - spytał zdziwiony Leochares.

- Oj, młody człowieku, za dużo czasu spędzasz z tymi barbarzyńcami w rajtuzach - powiedział Douris. - Przecież to z Semonidesa.

- Semonides...Taak. - Leochares podrapał się po głowie. - Imię kojarzę, ale...

- Bogowie, z kim ja się zadaję. - Douris pokręcił głową z teatralną przesadą.

- Oj, przestań się już wygłupiać - zachnął się Menekrates. - Niektórzy ludzie muszą pracować, a nie tylko przejadać pieniądze ojca i bawić się w poezję. Co to za wiersz?

- Bardzo życiowy. O różnych rodzajach kobiet.

- No, brzmi ciekawie - zauważył Leochares. - Dasz radę powiedzieć z pamięci?

- Całogo to nie... W każdym razie Semonides pisze, że kobiety pochodzą od różnych zwierząt albo żywołów. Jedne od lisa - te są cwane i nie można im ufać; inne wywodzą się od psa, te ciągle marudzą i narzekają, ciągle węszą i chcą wszystko wiedzieć. Potem są kobiety zrobione z ziemi, które nie potrafią nic, tylko jeść, i te z morskiej wody, które są zmienne i nigdy nie można odgadnąć, o co im chodzi. No i właśnie są kobiety-maciory i kobiety-klacze, te zwrotki akurat pamiętam.

- To zacznij może od świni, brzmi ciekawie - zaproponował Menekrates.

- Proszę bardzo:

*Jeden typ kobiet - to te stworzone z włochatej świni,*

*W której domu, oblepionym błotem,*

*Wszystko porozrzucane leży na podłodze,*

*A ona sama, umorusana i w brudnych ubraniach,*

*Poleguje w górze gnoju i obrasta tłuszczem* 2. - No nie - powiedział Leochares. - To już jest obrzydliwe. Jak to ma być poezja, to ja już chyba wolę scytyjskie przyśpiewki.

- Daj spokój - zawołał Douris. - Od kiedy ty taki delikatny jesteś? Zresztą moja teściowa naprawdę taka jest. A teraz będzie zwrotka, która jak ulał pasuje do mojej żony:

*A następna - urodzona z wybrednej klaczy o falującej grzywie,*

*Która unika wszelkiej pracy, młyńskiego kamienia nawet nie tknie,*

*Nie weźmie do rąk sitka, gnoju nie wyniesie*



*Ani nawet przy palenisku nie usiądzie, bojąc się ubrudzić,*

*I dotyka męża wtedy tylko, kiedy musi,*

*Myje się każdego dnia, czasem nawet dwa razy albo i trzy.*

*Na taką żonę się patrzy z przyjemnością, ale dla męża jest przekleństwem!* 3 - Ha, ha, to jest dobre! - zawołał Menekrates, klepiąc się w udo. - Rzeczywiście, zupełnie jak twoja Eumele!

- Żebyś ty wiedział, ile ja na nią wydaję! Szafran do pudrowania, płaszczyki z Miletu, buciki z Lakonii... A równie dobrze mógłbym sobie w sypialni rzeźbę postawić, tyle samo miałbym z niej radości.

- No, Leo, a twoja żona to od czego pochodzi? - zawołał Menekrates.

- Odczep się od Lamii. Jest człowiekiem, i tyle.

- Eee, ale z ciebie nudziarz - machnął ręką lekarz. - Musimy cię chyba najpierw spić, żebyś się na żartach poznał.

- Ja myślę, że Leochares by wołał pogadać o tym swoim chłopcu. Widziałem cię z nim na mieście. Jak on się nazywa, ten twój Adonis?

- Demokles.

- No i czemu go nie przyprowadziłeś? - spytał Douris. - Chowasz go w jakiejś ruderze jak dzikie zwierzę. Tak to chociaż by z ludźmi trochę poprzebywał, nauczyłyby się czegoś...

- Tak, na pewno to ci właśnie chodzi po tej twojej łysej głowie. - Leochares nerwowo poprawiał poduszki. - Ja jeszcze pamiętam, jak mnie próbowałeś uczyć. Musiałem cię kopnąć między nogi.

- A, stare dzieje - powiedział Douris z uśmiechem. - Teraz to już się tak za chłopcami nie uganiam, za stary jestem... Zresztą są tak samo niewdzięczni jak kobiety. Jak pisał Teognis z Megary, chłopiec jest jak źrebak: kiedy tylko zabraknie siana w twojej stajni, pobiegnie gdzie indziej...

- Słowo daję, na Heraklesa - zaśmiał się Leochares. - Może jesteś stary i kulawy, ale jak jeszcze raz zacytujesz jakiegoś poetę, to cię chyba pieprznę. Jakbym chciał wykładu, tobym poszedł do gimnazjonu. Czemu właściwie nie zaczniemy pić, co?

- Nie wiem, tak jakoś się zagadaliśmy - odparł Douris. - No, skoro się upomniałeś, to ty będziesz sympozjarchą. Ej, Andanos! - krzyknął. - Przynieś no wino i zawołaj tancerki!

- Andanos? - zapytał Menekrates.

- A tak, kupiłem go niedawno. Karyjczyk. Zaraz zobaczycie.

Otworzyły się drzwi i do andronu wszedł nagi chłopak niosący krater na wino odlany z brązu. Miał ciemne kręcone włosy i mięsiste, pełne usta. Za nim weszło jeszcze dwóch chłopców, niosących amfory pełne wina, hydrie z wodą i srebrne chochle z uchwyty w

kształcie łabędzich główek.

- Oj tak! - Leochares wodził oczami za młodym Karyjczykiem. - Rzeczywiście, widzę, że już zupełnie przestałeś się uganiać za chłopcami.

- No, to się nie liczy - uśmiechnął się Douris. - Jest mój, więc za nim się nie muszę wcale uganiać. Mów lepiej, jak pijemy?

- Jedna część wina na jedną wody - zawyrokował Leochares.

- Ooo, chyba chcesz nas upić! - zawołał Menekrates. - Albo może ty ze Scytami żłopiesz czyste wino i się już odzwyczaiłeś od picia jak człowiek?

- Nie, po prostu jakoś się mnie uczepiliście, więc im szybciej będziecie pijani, tym szybciej się zamkniecie. No, Andosie czy tam Andanosie, lej, jeden na jeden.

- A powiedz, skąd to wino? - zapytał Menekrates, sięgając po kielich.

- Jak to skąd, z Chios. Przecież bym wam jakichś sików nie dawał.

Andanos przechylił amforę i wino chlusnęło z bulgotem do krateru, z drugiej strony inny chłopiec lał wodę. Kiedy już opróżnili naczynia, młody Karyjczyk zaczął mieszać trunek. Co jakiś czas chochła uderzała o ściany krateru i rozlegał się przytłumiony, metaliczny dźwięk. Na wewnętrznej stronie krawędzi krateru wyrzeżane były malutkie stateczki, które teraz, kiedy krążące coraz szybciej wino obmywało ściany naczynia, wydawały się unosić na wzburzonym czerwonym morzu. Andanos wyciągnął chochlę i napelnił kielich Dourisa.

- Dla bogów - powiedział gospodarz i ulał wina na podłogę. - No, to teraz nalej gościom.

Leochares wpatrywał się w pochylającego się nad kraterem Andanosa. Był rzeczywiście przepięknym chłopakiem o smukłych nogach i zgrabnej, jędrnej pupie. Kiedy wrócił z pełnym kielichem, Leochares złapał go za dłoń i przytrzymał. Drugą ręką przejechał mu po plecach i ramionach; czuł, jak pod delikatnym dotykiem jego palców Karyjczyk pokrywa się gęsią skórką. Leochares spojrzał mu w oczy, młody niewolnik spuścił wzrok.

- I jak, co sądzisz? - spytał Douris.

- Faktycznie - powiedział z uznaniem Leochares, puszczając Andanosa. - Muszę powiedzieć, że znalazłeś sobie prawdziwego Ganimeda.

- Prawda? Te chłopaki z Azji to prawdziwe skarby.

- Nic dziwnego - powiedział Menekrates, odstawiając od ust kielich; całe wąsy świeciły mu się już od wina. - Oni są prawie jak kobiety.

- A to niby czemu? - spytał Leochares, ignorując błagalne spojrzenie Dourisa.

- Wszystko to tłumaczy medycyna - odparł lekarz, powstrzymując czkawkę. - U nas,

w Europie, pory roku się zmieniają, raz jest zimno, a raz gorąco. Kiedy świeci słońce i jest pora zbiorów, wszystkiego jest pod dostatkiem...

- Chyba że właśnie jest wojna... - mruknął Douris.

-...i człowiek wie, że życie wolne od trosk - kontynuował niezrażony Menekrates. - Ale potem nastają zimne miesiące, ziemia prawie nic już nie rodzi, nie można wypływać w morze na połów. Życie staje się ciężkie i trudne, często chodzi się o pustym żołądku. Ale to nas hartuje, czyni wytrzymałymi i dzielnymi. A w Azji jest wiecznie ciepło, po jednych zniwach nadchodzą kolejne, drzewa rodzą owoce okrągły rok. I ludzie wiedzą życie proste, przyjemne, robią się leniwi, tchórzliwi. I co się dzieje? Faceci się stają zniewieściali, delikatni. Z drugiej strony, na dalekiej północy, w krainie Hiperborejczyków...

- Oj, przestań już pieprzyć - zachnął się Douris. - Już ja cię znam, zaraz znów przejdiesz do stolca i ropy i mi popsujesz apetyt.

- Nie wiem, co cię w tym brzydzi, przecież to czysta nauka!

- Dobry wieczór, panowie! - zakrzyknął Sokrates, wchodząc do pokoju. Otworzył drzwi z takim rozmachem, że te uderzyły w łożo Leocharesa; jego kielich zsunął się z materaca i z trzaskiem rozbił o podłogę.

- No, brawo, pierdoło - mruknął Leochares, patrząc na kałużę wina. - Nawet się nie zdążyłem napić... I to taki piękny kielich był!

- O, dlatego właśnie wolę metalowe naczynia - wtrącił Douris.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że łożo jest tak blisko drzwi. Zresztą może da się ten kielich poskładać ołowianym drucikiem...

- Ciebie chyba ktoś poskładał ołowianym drucikiem - zrzędził Leochares. - Przecież on się rozleciał w drobny mak, nawet nie będzie na czym pisać.

- Oj, przestań się tak mazgać - powiedział zdenerwowany Douris. - Jak chłopiec, któremu chrząszcz\* się urwał ze sznurka. Potłukło się, i tyle. Witaj, Sokratesie, nie przejmuj się tym jęczybułą i kładź się, proszę.

- A co to za kundel? - spytał Leochares, wskazując na kulawego psa, który wczłapał przez otwarte drzwi.

- A, to mój stary Łapaj, nie przejmuj się, położy się tu i nie będzie przeszkadzał. Andanos, nalej no Sokratesowi. I daj nowy kielich Leocharesowi, bo się nam tu popłacie.

- Przepraszam za spóźnienie - mówił Sokrates, gramoląc się na łożo. - Ale dyskutowałem z takim facetem z Azji i się zagapiłem zupełnie.

- A o czym gadaliście? - spytał Menekrates.

- A, taka tam rozmowa. Zastanawialiśmy się, co to jest dobro.

- O czym tu gadać. - Leochares wzruszył ramionami. - Każdy wie, czym jest dobro.
- Tak? - spytał Sokrates, poprawiając sobie poduszki. - To może nam powiesz. Myśmy gadali chyba pół dnia i mało co wymyśliliśmy.
- To wino jest dobre, to jedzenie jest dobre.
- No tak, ale to nie jest odpowiedź na pytanie. Faktycznie wszyscy wiedzą, co jest dobre, ale chyba nikt nie wie, czym jest samo dobro.
- Ja bym powiedział, że dobro to coś, co sprawia, że człowiek jest szczęśliwy - odezwał się Menekrates.
- No dobrze, a powiedzcie mi, czy rybak może być szczęśliwy?
- Pewnie, że tak - odparł Douris.
- A tyran też może być szczęśliwy?
- Głupie pytanie. - Leochares machnął ręką. - Pewnie, że może.
- I jego szczęście jest takie samo jak szczęście rybaka?
- Hmm... no, chyba tak - powiedział po chwili zastanowienia Menekrates.
- A co uszczęśliwia rybaka?
- No, na przykład dobry połów albo jak przeżyje sztorm.
- A co czyni szczęśliwym tyrana?
- No... - Douris podrapał się po swoich podbródkach. - Jak włada miastem, nikt mu nie podskakuje, ludzie się go słuchają...
- A żeby, jak mówisz, nikt mu nie podskakiwał, tyran musi używać siły?
- No, albo musi, albo musi nią grozić...
- A zatem, czy jego szczęście jest dobre?
- Na Zeusa, masz rację! - zawołał Menekrates. - Głupio powiedziałem.
- Poczekajcie, ja wiem. - Douris uniósł się na łokciu i odstawił kielich. - Dobro to coś, co jest miłe bogom.
- No tak. - Sokrates pokazał Andanosowi, żeby nalał mu więcej wina. - A czym dzieckiem jest Herakles?
- Proste, Zeusa i Alkmeny.
- A czy Zeus był mężem Alkmeny?
- Nie, oczywiście, że nie...
- Czyli Zeus zaliczył Alkmenę, mimo że nie była jego żoną. Ale czy to się Zeusowi podobało?
- Pewnie tak. - Douris pokręcił głową.
- A czy cudzołóstwo jest dobre?

- Nie, rzecz jasna nie...

- Czyli bogu podobało się coś, co nie było dobre.

- Rzeczywiście, jesteśmy głupi jak kukułki\*! - zakrzyknął Douris. - No dobrze, my już próbowaliśmy i zupełnie daliśmy ciała. To teraz ty, Leo, co myślisz?

- Ja myślę - powiedział Leochares, ocierając wino z brody - że to całe odwracanie kota ogonem wpakuje kiedyś naszego Sokratesa w niezłe bagno.

- Och, ale jesteś nudziarz, naprawdę - odparł naburmuszonym tonem Menekrates. - O babach z tobą pogadać nie można, o chłopcach też nie bardzo, w zagadki się nie chcesz bawić.

- Oj, jak tak chcesz zagadek, to powiedz, co to jest - powiedział Leochares. - Mężczyzna-nie-mężczyzna rzuca kamieniem-nie-kamieniem w ptaka-nie-ptaka, który siedzi na gałęzi-nie-gałęzi.

- Chyba żartujesz! - zaśmiał się Douris. - Tę zagadkę to mi mamka opowiadała, jak siedziałem na nocniku!

- No właśnie, i to wasze gadanie, co jest dobre, a co nie, to taka sama głupota.

- Tak ci się wydaje - powiedział Sokrates. - Ale ja...

- Hej, poczekaj, co to? - przerwał mu Douris. - Co to za odgłosy?

Wszyscy ucichli, a Leochares faktycznie usłyszał, że spod jego łóżka dochodzą jakieś dziwne dźwięki, coś jakby rżenie. Mężczyźni spojrzeli po sobie zdębiali. Leochares przesunął się na skraj materaca i zajrzał pod łożo. Na ziemi leżał Łapaj, cały umorusany w winie i kurzu. Jego język był wielki i siny, wypadał mu z pyska, ślepia zasły krwią.

- Co mu jest? - spytał zaniepokojony Douris.

- Umiera - powiedział spokojnie Leochares, siadając na łożu.

- Jak to, mój Łapaj umiera? Od czego?

- Od trucizny. Dokładniej mówiąc, od zatrutego wina. Douris, każ zamknąć drzwi do domu. Obawiam się, że impreza się skończyła.

## 8

Menekrates z trudem rozwarł szczęki psa. Obejrzał dziąsła, dotknął języka, wreszcie wepchnął dwa palce głęboko do gardła. Po chwili wyjął umazaną śliną i winem rękę, powąchał ją. Obejrzał jeszcze dokładnie truchło, po czym wytarł dłonie w kraj płaszcza.

- Jestem pewien - powiedział z przekonaniem lekarz. - To ta sama trucizna, która zabiła Niobe.

- Coś więcej? - dociekał Leochares.

- No, poza tym, że miał robaki, to nic.

Leochares zaczął chodzić w kółko po pokoju. Podłoga lepiała się już od wina, pod stopami chrzęściły kawałki potłuczonego kielicha.

- Co się tu właściwie stało? - zapytał Douris, przecierając spocone czoło.

- Akurat to jest jasne - odpowiedział Leochares. - Ktoś mnie próbował otruć.

- Ale kto? - zapytał Menekrates, nerwowo międląc brodę.

- Ktoś, kto jest w domu. Jeden z niewolników albo któryś z was.

- No, ja jestem chyba poza podejrzeniem - zauważył Sokrates. - Przecież wino musiało być zatrute, już jak tu wszedłem. Jakbym się jeszcze trochę spóźnił, to Menekrates by grzebał w twoim gardle.

- Chyba nie myślisz, że to mogłem być ja albo Douris! - wykrzyknął Menekrates, zrywając się z łoża. - Przecież piliśmy wino z tego samego krateru!

- Bogowie... - Douris złapał się za głowę. - Czyli to jednak musiał być Andanos, to on podawał ci kielich.

- Ale gdzie by schował truciznę, co? - zapytał Sokrates. - Przecież był zupełnie nagi, a kiedy wchodził do andronu, ręce miał zajęte naczyniami.

- Jeśli była silna - odparł Leochares - Andanos mógł w nią wsadzić koniuszki palców, a potem niby przypadkowo umoczyć je w winie. Kurwa, że też zamiast na ręce gapilem mu się na tyłek!

Leochares usiadł ciężko na łożu. Mimo że nie wziął do ust ani kropli wina, szumiało mu w głowie, dyszał. Przycisnął palce do skroni, starał się zebrać myśli. Truciznę faktycznie musiał podać Andanos, ale ktoś mu ją wcześniej dostarczył. Leochares rozejrzał się po pokoju. Sokrates z irytującą obojętnością żuł kawałek ryby i przyglądał się, jak jakaś ćma leci w stronę lampki, zataczając coraz węższe kręgi. Nie, to nie mógł być on. Douris siedział zgięty w pół, z rękoma na głowie, blady jak trup. Leochares próbował przypomnieć sobie, jak

się zachowywał, kiedy Andanos podawał mu kielich. Czy patrzył w jego stronę, czy był nerwowy? Nie mógł sobie przypomnieć, rwały mu się myśli. Menekrates stał w rogu pokoju, jedną ręką opierał się o ścianę, drugą wiązał sandały. On znał się na truciznach jak mało kto, ale czemu miałby to zrobić? Trzeba będzie go wy badać. Potem.

- Dobra, gdzie on teraz jest? - zapytał Leochares.

- Kto? Andanos? - spytał Douris.

- No a o kogo mogę pytać? O lwa nemejskiego?

- Kazałem go zamknąć na podwórzu - odparł Douris.

- Co?! - wrzasnął Leochares. - Na podwórzu?! Porąbało cię?

- O co ci chodzi! - obruszył się Douris. - Przecież tam prowadzą tylko jedne drzwi, mur jest wysoki, a ponadto...

Leochares nie czekał, aż Douris dokończy zdanie, odepchnął go od siebie i pognął w kierunku podwórza. W połowie korytarza usłyszał jakieś krzyki, przyspieszył. Drzwi były uchylone, skobel odciągnięty.

Wbiegł na podwórze. Przez chwilę nie widział nic, oczy przyzwyczajały się do ciemności.

- Hej, złaż no! - usłyszał głos jakiegoś starszego mężczyzny. - Jak pan się dowie, będzie wściekły!

Teraz już ich widział. Na krawędzi dachu wisiał Andanos, próbował się podciągnąć. Charmion, odźwierny, usiłował go ściągnąć kijem do zbierania oliwek.

- Leo! - zawołał Charmion. - Dobrze, że jesteś! Patrz, co ten chłopak robi! Jak tylko usłyszałem hałas, to tu przybiegłem, patrzę, na ziemi potłuczone dachówki, a on...

Leochares nie słuchał. Za wysoko, pomyślał, nie doskoczę...

- Hej, gnojku! - darł się dalej odźwierny, machając na oślep kijem. - Złaż w tej chwili, bo jak nie, to... Heeej!

Leochares pociągnął Charmiona za włosy. Stary sapnął, zdziwiony, po czym upadł na rozmiękłą ziemię. Kiedy próbował się dźwignąć, Leochares wskoczył mu na plecy, odbił się i zawisł na gzymsie. Podciągnął się z wysiłkiem, przerzucił nogę przez krawędź. Kiedy wreszcie wstał, z trudem łapiąc równowagę na spadzistym, mokrym dachu, chłopak był już na rogu budynku. Zanim Leochares zdążył otworzyć usta, niewolnik wziął rozbieg i przeskoczył na dom po drugiej stronie ulicy.

- Hej, stój! - krzyknął Leochares, gnając niezdarnie w jego stronę. - Nic ci nie zrobię!

Andanos zatrzymał się i powoli odwrócił; Leochares dobrze go widział w świetle księżyca. Oddychał bardzo szybko i głośno, ale skórę miał suchą, mięśnie mu nie drgały. Nie

był zmęczony. Był przerażony.

- Spokojnie, mały, spokojnie - powiedział Leochares, podchodząc powoli do krawędzi dachu. - Wiem, że ktoś ci kazał mnie otruć, że to nie twój pomysł. Po prostu powiesz kto, i po sprawie, dobra?

Widać było, że chłopak się waha. Nie uciekał, ale był napięty, gotowy do skoku.

- No, powolutku. Kto ci dał truciznę? Ktoś z domu czy...

- Nic nie wiem, ja żadna trucizna, żadna! - przerwał mu Andanos piskliwym krzykiem. - Ja nic nie zrobiłem!

- W porządku, nic nie zrobiłeś - odpowiedział Leochares. - Ja ci wierzę. To może zamiast siedzieć na dachu jak rybitwy, zejdziemy na ziemię i pogadamy, dobra? Patrz, ja schodzę pierwszy...

Zaskrzypiały drzwi. Na ulicę wybiegł utyłany błotem Charmion, nadal z kijem w rękach.

- O, tu jesteście, pieprzeni dowcipnisie! - zawył starzec. - Już ja wam obydwu wygarbuję skórę!

Andanos zerwał się do biegu, Leochares skoczył za nim, na przeciwległy budynek. Nie utrzymał się na nogach i wyrznął kolanem o coś ostrego, zaklekotały dachówki. Ból był przeszywający, łzy napłynęły mu do oczu. Słyszał ciche, coraz dalsze klaśnięcia bosych stóp Andanosa. Zdusił jęk, dźwignął się i biegł dalej. Kolejna krawędź, kolejny skok. Leochares spojrzał pod nogi, dwoiło mu się w oczach. To było jakieś dziesięć, nie, czternaście stóp odległości. Dużo. Ale nie było czasu do namysłu; skoczył.

Wydawało mu się, że wisi w powietrzu całą wieczność. Przeciwległy dach, zamiast się zbliżać, jakby się oddalał. Leochares wyciągnął ręce w stronę krawędzi. Za daleko. Zdążył jeszcze zakląć w myślach i zamknąć oczy. Ostatnim wspomnieniem z tego wieczoru był ból, straszny ból, i smak krwi w ustach.

\*\*\*

Rybak z trudem wepchnął łódź na plażę, kadłub z chrzęstem zarył się w piasku. Bogowie mu sprzyjali - sieci miał pełne ryb, i to nie jakichś nędznych kabryli albo wargaczy, które miały więcej ości niż mięsa, ale dorodnych labraksów, makrel i krewetek, tłustych jak czerwcowe pędraki.

Wyciągał sieci na plażę, łuski i sól posrebrzyły mu ręce. Kiedy otworzył ostatnią sieć, zobaczył zaplątaną w wodorosty ośmiornicę. Była jeszcze żywa - jej głowa pulsowała, ruszały się zamglone oczy. Cóż, na targu wiele się za nią nie dostanie, pomyślał rybak, ale na



zupę się zawsze nada. Złapał ją za macki, wziął zamach, po czym uderzył z całej siły o skały. Głowa ośmiornicy trzasnęła o kamień z mokrym, nieprzyjemnym dla ucha plaśnięciem. A potem znów, i jeszcze raz, i ponownie, aż głowa zaczęła boleć, okropnie boleć... Wreszcie rybak ją podniósł i patrząc w ociekające krwią oczy, wyszeptał zaskakująco wysokim i miękkim głosem:

- Panie, pora wstawać...

- Daj mi spokój - odburknął Leochares, budząc się ze snu. - Głowa mi pęka.

- Ale wczoraj kazał mi się pan obudzić tuż po świcie - powiedziała cicho Lydike.

- No tak, ale to było, zanim spieprzyłem się z dachu - odparł, nadal nie otwierając oczu. Usta miał suche, spękane. - A to trochę zmienia moje plany. Jak się tu w ogóle znalazłem?

- Przynieśli pana Charmion i Menekrates, tuż po północy. Pan Menekrates powiedział, że kości ma pan całe.

- No, dobrze wiedzieć. Bo ja mam wrażenie, że połamałem wszystkie. Dobrze... Zrób mi jakieś śniadanie, co? Tylko takie, żebym nie musiał żuć za dużo. I przygotuj balię!

Kiedy Lydike wyszła z pokoju, Leochares spróbował otworzyć oczy. Z jednym udało się bez problemu, ale drugie rozwarło się tylko częściowo. Obmacał twarz. Lewa strona była spuchnięta i gorąca, miał zdartą skórę na czole. Ręce działały bez zarzutu, nogi i plecy były obolałe, każdy ruch był bolesny i nieprzyjemny, kości tarły o siebie jak nienaoliwione zawiasy. Wreszcie usiadł na łóżku - i syknął z bólu; w głowie przewalały mu się setki ostrych igiełek.

Leochares wstał z trudem, podpierając się o skrzynię; drżały mu nogi. Rozprostował się powoli, czuł, jak kręgi wracają niechętnie na swoje miejsce. Bogowie, pomyślał, czy taka właśnie jest starość? Teraz jeszcze z tego wyjdę, wyliżę się, ale za parę lat będę tak wstawał każdego dnia... Zszedł do kuchni, krok po kroku, stopień po stopniu. Na stole leżała już miska z rozgotowanym owsem osłodzonym miodem. Nadal czuł w ustach krew, ruszały mu się chyba zęby. Przetykanie było bolesne, jakby jadł pokruszone szkło.

Mogło być gorzej, pomyślał, żując ostrożnie. Mogłem skończyć jak Fokas, który po tym, jak zleciał z rydwanu w trakcie Panatenajów, nigdy już nie stanął na własnych nogach. A taki był dumny, kiedy to właśnie jego wybrano do udziału w procesji, i to w roli apobatesa\*. Leochares bardzo dobrze pamiętał ten wypadek. Fokas nie miał żadnych trudności ze wskoczeniem na pędzący rydwan, zrobił to z taką gracją, że ludzie zaczęli wiwatować i bić mu brawo. Przy zeskoku miał jednak mniej szczęścia - postawił krzywo stopę, przewrócił się, a kolejny wóz przejechał mu po nogach... Już bodaj piętnaście lat był przykuty do łóżka.

Marne to było życie, jak u kobiety: zamknięty w czterech ścianach, czas zabijał przedzeniem i tkaniem; nigdy już nie poszedł na Zgromadzenie, nie zasiadł w sądzie, nie był na wojnie.

Usłyszał kroki. Znajome, lekkie. Szlag by to trafił, zdążył pomyśleć Leochares, zanim otworzyły się drzwi, nawet nie zdążyłem się umyć!

- Hej, jest tu kto? - zawołał Demokles, wchodząc do środka.

- Ciszej, na bogów - syknął Leochares.

- Przepraszam... Jesteś cały? Jak się czujesz?

- Koszmarne, dziękuję - odparł, wygrzebując z miski ostatnią łyżkę owsianki. - Skąd wiesz, co się stało?

- Douris powiadomił Scylesa, a on mnie, dzisiaj rano. Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem.

Demokles usiadł przy stole. Wyglądał przepięknie. Promienie słońca, które wpadały do pokoju przez szczelinę między drzwiami a framugą, roziskrzyły mu oczy, rozświetliły delikatne włosy na policzkach. Leochares zauważył, że chłopak wbił w niego wzrok, patrzył po kolei na wszystkie jego zadrapania i fioletowe siniaki, na grudki błota we włosach i brodzie.

- Już, napatrzyłeś się? - warknął Leochares, odwracając twarz.

- Przepraszam - bąknął Demokles. - Ja się po prostu martwię, że...

- Dobra, dobra, skończmy z tym uzalaniem się nade mną. - Leochares wstał z trudem, który próbował ukryć. - Umyję się i pogadamy.

Leochares zrzucił z siebie ubranie i wszedł do parującej balii. Na początku wszystkie zadrapania i otarcia szczypały ze zdwojoną siłą, ale po chwili ból zelżał, jakby rozpuścił się w gorącej wodzie. Demokles usiadł na stojącym obok zydeltu, założył nogę na nogę.

- Kto chciał cię otruć?

- Nie mam pojęcia. - Leochares sięgnął po gąbkę. - To znaczy wiem, kto mi podał truciznę, to był ten mały dzikus. Ale sam by przecież tego nie wymyślił, widział mnie wczoraj pierwszy raz na oczy.

- Scyles mówił mi, że wypytał pozostałych niewolników - powiedział Demokles. - Andanosa kupiono jakieś dwa miesiące temu, ledwie mówi po grecku. Nie miał prawa wychodzić z domu.

- Nie dziwię się, na miejscu Dourisa bym go nie tylko z domu nie wypuszczał, ale nawet z sypialni... No nic, chłopak się prędzej czy później znajdzie, wybiegł wczoraj, tak jak stał, na golasa, no i nie zna miasta. Bardziej mnie w tej chwili interesuje, czego się dowiemy od Satrapy. Jak wyglądam, mały, mam gdzieś jeszcze błoto? Nie? No to lecimy.

Leochares wygramolił się z balii i sięgnął po ręcznik. Wytarł najpierw twarz, potem ramiona i brzuch. Kiedy jednak okręcił się, żeby wysuszyć plecy, potłuczone stawy odmówiły posłuszeństwa - przeszył go ostry ból, ramiona zastygły w połowie drogi.

- Daj - powiedział cicho Demokles. - Ja to zrobię.

Zamiast trzeć ręcznikiem o plecy, chłopak delikatnie przyciskał płótno do mokrej skóry, omijając sińce i zadrapania. Zaczął od karku, potem wziął się za barki i łopatki. Leochares zamknął oczy, jego wilgotne ciało chłonęło ciepły oddech chłopaka, dotyk jego palców. Przyjemne, pomyślał Leochares, oj tak, nawet bardzo. Ale nie powinienem tego robić. Nie mogę.

- Starczy - powiedział szorstko Leochares. - Już jestem suchy.

- Mhm. To zamiast na mnie warczeć, mógłbyś na przykład powiedzieć dziękuję. - Demokles zawiesił ręcznik na krześle.

- Przepraszam... - odparł zmieszany Leochares. - Po prostu nie chcę, żebyś myślał, że coś między nami... no wiesz.

- Świetnie, więc zamiast powiedzieć, o co ci chodzi, wyżywasz się na mnie.

- Daj spokój, widzisz, że miałem ciężki dzień...

- Tu nie chodzi o dziś ani o zeszły tydzień, ani nawet o rok - przerwał mu Demokles; miał łzy w oczach. - Tak jest od zawsze. Masz na mnie ochotę, ale z jakiegoś powodu nie chcesz się do mnie dobrać, więc jak tylko coś ci drgnie między nogami, zaczynasz się zachowywać jak idiota!

- Zamknij się! - ryknął Leochares, waląc pięścią w stół. - Chyba coś ci się we łbie poprzewracało, jak ty się do mnie odzywasz?! Podnieś jeszcze raz na mnie głos, to będziesz bardziej potłuczony ode mnie, rozumiesz? Powinieneś mi być wdzięczny, gnojku! Oczywiście, mógłbym tu i teraz cię przelecieć, i robić to codziennie, albo nawet cię wypożyczać kolegom, czemu nie, kto mi zabroni? Ale ja bym chciał, żebyś ty coś ze sobą zrobił, żebyś do czegoś doszedł, a dupodajkom się to nie udaje!

- Wszyscy i tak myślą, że ze mną sypiasz...

- To, co wszyscy myślą, nie ma znaczenia - tłumaczył Leochares. - Chodzi o to, co ty myślisz o sobie. Jak ci wejdzie w nawyk zalecanie się do starszych facetów, jak przywykniesz do myśli, że możesz swoim tyłkiem szafować na prawo i lewo, to ludzie zaczną cię traktować jak szmatę, rozumiesz?

Demokles stał bez słowa, ze wzrokiem wbitym w podłogę; drżała mu dolna warga. Po chwili podniósł wzrok, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się na pięcie bez słowa i wybiegł z domu. Leochares rzucił się do drzwi, ale już po pierwszym

kroku przeszył go oszałamiający ból, ugięły mu się nogi. Opadł na kolana, z trudem powstrzymując wymioty; było mu na przemian zimno i gorąco.

Pięknie, pomyślał, próbując wyrównać oddech, po prostu pięknie. Najpierw Lamia, teraz on. Dobrze, że jemu przynajmniej posagu nie muszę zwracać.

- Czy coś się stało, panie? - zapytała Lydike. Nie usłyszał, jak weszła do pokoju; jak zawsze poruszała się tak cicho, jakby nie do końca istniała, jakby była mniej niż całą osobą. Leochares poczuł przez chwilę ulgę, że ktoś przy nim jest, że chce pomóc, ale to wrażenie momentalnie wyparowało, kiedy spojrzał w jej oczy. Nie było w nich śladu troski ani nawet zmartwienia, jeśli widać w nich było jakiegokolwiek uczucie, to tylko umiejętnie skrywaną, zimną pogardę.

- Wszystko w porządku - odpowiedział Leochares, przelitykając gęstą, gorzkawą ślinę.  
- Wszystko w porządku. Dziękuję za owsiankę. Wychodzę, muszę się z kimś spotkać. Do zobaczenia.

\*\*\*

Daktyle z Egiptu. Rodzynki i orzeszki z Chios. Szafran z Baktrii. Na targu w Pireusie można było dostać wszystko; chodząc wśród wiecznie uginających się od owoców i warzyw straganów, można było zapomnieć o porach roku. Leochares uwielbiał to miejsce. Tylko tu można było w ciągu jednego popołudnia spotkać trackiego najemnika, lekarza z Sycylii i czarnego jak węgiel kupca z Libii; jednocześnie czuć zapach morza i wschodnich przypraw, gotującej się smoły i koziego sera. Tutaj właśnie uciekał z warsztatu ojca, kiedy był młody; spędzał cały dzień, obserwując ludzi, podsłuchując ich rozmowy, ściągając jedzenie ze straganów nieuważnych kupców.

Teraz jednak Leochares nie miał czasu na przyjemności, na przechadzanie się wśród kramów czy wysłuchiwanie opowieści o niebywałych zamorskich podróżach, przy których bładły wyczyny Odyseusza. Dojście do Pireusu zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał, potłuczone kości nadal dokuczały, kręciło mu się w głowie. Miał nadzieję, że Satrapa nadal na niego czeka. Wreszcie udało mu się przepchnąć przez kolorowy tłum i dotrzeć do tawerny, w której byli umówieni.

Pomimo upału Klemachos siedział w środku. Miał na sobie chiton z długimi rękawami i słomiany kapelusz z szerokim rondem; jego grube, popękane dłonie były jak zawsze posmarowane oliwą.

- O, Leo! No proszę, a już myślałem, że o mnie zapomniałeś - powiedział Satrapa. - Poczekaj, poczekaj, co tak kuśtykasz? I coś z buzią nie tak? Czyżby ktoś ci wreszcie gębę

obił?

- Obawiam się, że cię rozczaruję - odparł Leochares, siadając przy stoliku. - Po prostu spieprzyłem się z dachu.

- Taa, jak moja siostra miała posiniaczoną twarz, to też mówiła, że się przewróciła, a okazało się, że ją tak mężulek urządził. No, powiedz, kto cię tak sprzął, żebym wiedział, komu gratulować?

- Mąż twojej siostry - rzucił sucho Leochares. - Czego się dowiedziałeś o tej skorupie?

- Masz szczęście! - Klemachos sięgnął do sakwy. - Jeden z moich dostawców handluje sporo z Persją, widział u nich takie szlaczki, to ich pismo. On nawet coś z tej bazgraniny rozumie, a przynajmniej tak mówi...

- No i co tu jest napisane?

- Nie tak szybko. Pamiętasz, jaka była umowa: nigdy więcej nie będziesz mi już dupy zawracał, tak?

- Tak, tak, przysięgam na Heraklesa, Zeusa i wszystkie muzy - powiedział szybko Leochares. - Co jest napisane na tej skorupie?

- Zaczyna się od słowa „złoty”, a dalej jest już utracone.

- „Złoty”? - spytał z niedowierzaniem Leochares. - Jesteś pewien?

- No, ja nie jestem, ale ten mój znajomy mówił, że głowę daje. Co jak co, ale słowo „złoty” to on rozpoznaje. Aha, i jeszcze jedno. Gadałem z takim jednym astynomosem\*, który sprząta w Pireusie, pytałem się, czy nie widział takiej skorupy. Odłamał kawałek i powiedział, że pokaże swoim niewolnikom, ale już nie wiem, co z tego wyszło, jak się chcesz dowiedzieć, to z nim pogadaj.

- Dzięki.

- No to skąd wiesz, że handluję z Megarą?

- Znikąd. Strzelałem.

- Co?!

- Wszyscy handlarze to robią, więc uznałem, że ty też.

- Kurwa, powinienem nająć jakichś łobuzów, żeby ci łomot spuścili! - zawołał Satrapa, wstając. - Tym razem ci odpuszczę, ale dobrze ci radzę, nie denerwuj mnie już... No dobra, czas na mnie. Gospodarzu, zapłaci za mnie ten przystojniak. Do niezobaczenia!

- Mhm, dzięki - mruknął Leochares, nie podnosząc oczu znad dziwnej skorupy. Obrócił ją w dłoni, przejechał po niej palcami. Napis był wyskrobany czymś ostrym, może patyczkiem, zanim glina została wypalona; poszczególne znaki wyglądały jak małe gwoźdźki. Nagle przypomniało mu się, jak on sam wydrapywał litery na skorupach.

Uśmiechnął się do siebie. Kiedy to było? Jakies dziesięć lat temu albo i więcej. To była jedna z pierwszych fuch, jakie zrobił dla Peryklesa. Przeszkadzał mu wówczas Temistokles, nadęty arystokrata i sztywniak, który wszystkich biedaków najchętniej wykopałby ze Zgromadzenia. Perykles chciał się go pozbyć, więc doprowadził do głosowania w sprawie ostracyzmu\*. Temistokles i tak miał największe szanse znaleźć się na wylocie, ale Perykles chciał być pewien, że wszystko pójdzie po jego myśli. W noc przed Zgromadzeniem Leochares napisał imię Temistoklesa na setkach skorup - cienkich ściankach kielichów, grubych kawałkach amfor, malutkich uchwytach, okrągłych denkach... Theta, epsilon, mi, sigma, tau, omikron, kappa, lambda, eta, sigma - i tak bezustannie, przy mrugającym świetle lampki, aż po świt. Potem trzeba było już tylko przekonać przeliczających głosy urzędników, by uwzględnili dodatkowy worek czy dwa skorup, i mieli Temistoklesa z głowy na dekadę...

Dobra, starczy tego rozmyślania, skup się, powiedział do siebie Leochares. „Złoty...”, „złoty...” Ale co? Coś tu się nie zgadzało. Spartański łącznik przepłynął do Faleronu wpław, pewnie z jakiejś łodzi, która wysadziła go gdzieś niedaleko, i ciągnął za sobą wiklinowy kosz obwiązany nadmuchanymi pęcherzami. Złoto w większych ilościach - a musiało chodzić o większe ilości, bo przecież Spartanie nie ponosiliby takiego ryzyka dla paru pierścionków - byłoby zbyt ciężkie, by dało się je przewieźć w ten sposób. No i dlaczego ktoś w ogóle chciałby przewozić złoto w garnku?

Leochares odłożył skorupę na stół, wbił wzrok w sufit; przez chwilę siedział bez ruchu, zamyślony. Ten konkretny kawałek garnka nic mu już nie mógł powiedzieć, ale jeśli by założył, że było ich w Atenach więcej...

\*\*\*

Astynomosów można znaleźć bez trudu - wystarczy podążać za nosem i kierować się w stronę najgorszego smrodu. Każdego dnia w Atenach powstawały góry odpadów: odchody, gnijące, poskręcane obierki warzyw, lśniące, splątane rybie wnętrzności, zdechłe psy, wychudzone i zeszywniałe, i wreszcie ludzkie ciała, po które nikt się nie zgłaszał. Cały ten brud i szlam trzeba było z miasta wywieźć - niewdzięczne zadanie, które przypadało właśnie astynomosom. Większość ludzi, widząc ich wyładowane cuchnącymi odpadkami wozy, przechodziła na drugą stronę ulicy. Leochares wręcz przeciwnie, nigdy nie przegapił okazji, by ich zaczepić, można się było od nich wiele dowiedzieć.

Najpierw poczuł charakterystyczny odór, mieszankę zapachów, z których najbardziej wybijały się fetor gnijącego mięsa i smród fekaliiów. Potem zauważył paru wrażliwych przechodniów o bladozielonych twarzach, którzy oddalali się szybkim krokiem, szukając

świeższego powietrza; wreszcie usłyszał niskie, wibrujące brzęczenie setek owadów. Zza rogu wyłonił się wóz wyładowany brunatną, ociekającą masą najeżoną kawałkami garnków, z której wystawała para nienaturalnie wykręconych ludzkich nóg. Astynomos szedł z przodu, trzymając przy twarzy naperfumowaną chustę; za nim kroczyli trzej niewolnicy z szerokimi drewnianymi szuflami.

- Czołem - zaczepił go Leochares. - Jak idzie?

- O, witaj, kopę lat! - odparł astynomos, odejmując chustę od nosa. Leochares kojarzył tego człowieka, już go kiedyś spotkał; jak on się nazywał, Teodoros? Teofilos? - A, nic ciekawego. No, może poza tym jednym trupem i piątką noworodków.

- Tak... trupa widzę - powiedział Leochares, próbując oddychać tylko ustami. - A noworodki?

- Trzy już nie żyły, gdzieś tam są w środku... - Machnął ręką astynomos. - A dwa jeszcze dychały, to oddałem je komu trzeba, jeśli do wieczora ktoś je przygarnie, to mają szansę, albo może się je odchowają na niewolników...

- Aha, aha... Słuchaj, Satrapa mi mówił, że ci pokazywał tę skorupę, miałeś spytać swoich niewolników, czy widzieli gdzieś podobną.

- Noo, ja tam nie zwracam uwagi na takie rzeczy - powiedział Teodoros albo Teofilos, odganiając z twarzy wielką, tłustą robacznicę o złotym odwłoku. - Ale może któryś z chłopaków coś tam wie.

Trzej niewolnicy wpatrywali się tępo w skorupę. Jeden z nich podrapał się po głowie, pogmerał w ucho, po czym wybąkał:

- Ja... ja chyba bardzo podobny garnek widziałem dzisiaj... Taki dziwny był, jakiś ciężkawy, tom zapamiętał, a pan Satrapa mówił, że jak zobaczymy coś podobnego, to żebyśmy zapamiętali, bo...

- Tak, tak, a gdzie dokładnie takie coś widziałeś? - przerwał szybko Leochares.

- Hem, hem... No chyba w Kerameikosie, tak, no, przy takiej szopie, tam zazwyczaj prawie śmieci nie ma, na tyłach warsztatu Hermolaosa, który robi lampki...

Leochares podbiegł do niewolnika, uściśnił go i wyczałował w obydwie umorusane i lśniące od potu policzki, po czym pokuśtykał w stronę dzielnicy garncarzy. Oslupiały astynomos podążał za nim przez chwilę wzrokiem, wreszcie wzruszył ramionami i z powrotem przycisnął do twarzy chustę. Ulice się same nie sprzątną.

\*\*\*

- Jesteś pewien, że to ten szopa? - Scyles wychylił się zza porośniętego bluszczem

murku.

- Tak, przecież tylko jeden Hermolaos ma tu warsztat... - odpowiedział Leochares.

- Tam żaden nie przychodził od paru dni. Patrz, nie ma ślady przed wejściem.

- Jak długo tu już siedzimy? - zapytał Leochares, odkręcając bukłak z winem.

- Hmm - mruknął Scyła, wpatrując się w słońce zmrużonymi oczami. - Długo. Jakaś trzecią część dnia.

Leochares usiadł w cieniu, napił się. Wino było gorące, smakowało kurzem i rozgrzaną skórą. Położył dłonie na skroniach, próbował rozmasować ból. Nie przestawało mu się kręcić w głowie, nie mógł się skoncentrować. Taak, powiedział do siebie, dwa razy się zastanowię, zanim znów będę biegał po dachach.

- Dobra - powiedział, wstając. - Nie ma co dłużej czekać, wchodzimy.

Scyles skinął głową i ruszył za nim. Drzwi do szopy były solidne, ale zamek okazał się słaby; wystarczyło trochę w nim pogmerać drutem i puścił. Wnętrze było poprzecinane wąskimi promieniami światła, które przeciskały się między nierównymi deskami; w powietrzu unosiły się leniwie drobinki pyłu. Pod ścianą stał stół zbity z dwóch beczek i jakichś starych sztachet, na ziemi wałała się sucha, wyblakła słoma i trociny. Czuć było, że od ładnych paru dni nikt tu się nie pojawił, powietrze było nagrzane i gęste.

- Patrz - Scyles kucnął na środku szopy i odgarnął na bok kruche żdźbła - tu są takie same skorupa jak ta twoja, tylko bez napisów.

- Czyli znaleźliśmy leże Proteusza. - Leochares porównał obydwie skorupy. - Musiał takie garnki dostać wcześniej, cokolwiek w nich było. Szkoda tylko, że nie ma tu nic innego...

Leochares podszedł do stołu. Z jednej strony leżały na nim jakieś pordzewiałe, ułożone jedno na drugim narzędzia - młotek, dłuta, pogięte gwoździe. Druga część była pusta, ale w zalegającym na blacie kurzu widać było trzy odcisnięte okręgi, jak po denkach garnków. Leochares poślinił palec i przejechał nim po szorstkim, nieheblowanym stole, po czym zbliżył rękę do oczu. Na obklejonej kurzem opuszce leżał krótki siwy włos.

Aha, pomyślał Leochares, oglądając go ze wszystkich stron. No to już trochę wiem, jak wyglądasz, Proteuszu. Jestem coraz bliżej, stary kurduplu. A jak już cię znajdę, to będziesz żałował, że cię nie rozszarpali razem z twoim kolegą w Faleronie.

- Dobra - powiedział na głos. - Nic więcej tu nie znajdziemy, spadamy.

- I co teraz?

- Teraz to ja muszę zjeść, bo inaczej się przewrócę... Słuchaj, co ty teraz będziesz robił?

- Ja? - zapytał zdziwiony Scyles, zamykając za sobą drzwi. - Będę robił farba.



- Farbę? Jaką farbę?

- Czerwona.

- He? A po co?

- No wiesz - odparł Scyles. - Ten nowy pomysł Peryklesa. On mówi, że ludziom nie chce się iść z agory na Zgromadzenie, i powiedzieć, że tych, co się ociągają, mamy spychać sznurem pomazaną czerwonym farbą. Potem każdy, kto będzie miał czerwone ubranie, płacić karę.

- A tak, obito mi się o uszy. Słuchaj... Twoi chłopcy sobie poradzą bez ciebie z gotowaniem farby, poszedłbyś ze mną coś wrzucić na ząb? Jest tu taka fajna tawerna naprzeciwko.

- Ty tu szef! - powiedział Scyles, zacierając ręce.

Kiedy weszli do tawerny - małej, niepozornej budki z trzema stolikami, gdzie dawali najlepsze w całych Atenach sardele z czosnkiem - głowy wszystkich gości obróciły się w stronę Scyty. Scyles zignorował nieprzyjemne spojrzenia i szepty, rozsiadł się i zamówił zupę fasolową i czyste wino. No tak - pomyślał Leochares - mogłem się spodziewać, że nie będzie tu mile widziany... Ateńczycy uważali Scytów za prymitywnych przygłupów i czuli się znieważeni, że to właśnie tym barbarzyńcom przypadło zadanie dyscyplinowania mieszkańców miasta. Wyśmiewano ich w komediach i sympozjonowych piosenkach, niektórzy spluwali na ich widok. Ostatnio jakiś gnojek wypisał nawet węglem na ich domu: „Chuj w dupę Scytom”. Całe szczęście Scyles i jego chłopcy nie potrafili czytać, więc nie tylko nie poczuli się urażeni, ale wręcz chodzili dumni jak pawie - jakiegokolwiek pismo kojarzyło im się z oficjalnymi dekretami, więc i ten bazgroł uznali za wyraz uznania, pewnego rodzaju wyróżnienie.

Kiedy Leochares zetknął się ze Scytami po raz pierwszy, miał o nich równie niepocholebne zdanie. Wytatuowani, długowłosi, śmierdzący, składający ofiary ogniskom, obwieszani skalpami - byli tak różni nie tylko od wszystkich Greków, ale wszystkich innych ludów, z którymi miał styczność, że nie sposób było ich zrozumieć. Szybko jednak się okazało, że można się od nich mnóstwo nauczyć - o tym, jak bezgłośnie się poruszać, jak strzelać z łuku na odległość trzech stadionów, którymi ziołami uśmierzyć ból, a którymi wywołać sen - a kiedy przywykło się do ich rozlicznych dziwactw, nie można ich było nie polubić.

- Faj - mruknął Leochares. - Mucha mi wpadła do wina. Wrzucisz ją do paleniska, jest tam za tobą? Dzięki... Słuchaj, Scyles, nigdy mi nie powiedziałeś, jak to się właściwie stało, że wylądowałeś w Atenach?

- Proste - odparł Scyta, nalewając sobie wina. - Mój przyjaciel, Oirimpates, popadł w długie.

- W długie?

- No, wziął pieniądze i nie mógł oddać...

- Aaa, popadł w długi, chciałeś powiedzieć.

- No, właśnie. I nasz wódz postanowiła go sprzedać. Ja, jako jego przyjaciel, pojechałem za nim. On zmarł na łódź, zanim dopłynęliśmy do Ateny, ale już musiałem zostać.

- Jak to, poszedłeś dobrowolnie w niewolę? - wykrztusił Leochares. - Nie wierzę!

- Tak było - odparł Scyles, poważniejąc nagle. - Dla nas przyjaźń jest święta, przyjaciel więcej niż brat. Wypijamy nawzajem swoją krew i przyrzekamy być na zawsze. Mój pierwszy przyjaciel oddał za mnie życie, drugi zginął, jak ścigał człowieka, który zgwałcił moja siostra. Oirimpates był trzecim przyjacielem, i ja pojechałem za nim.

- Niesamowite... - powiedział Leochares, wyciągając ości z sardelek. - Ja się do mojego najlepszego przyjaciela nie odzywam od pięciu lat, bo pokłóciliśmy się, jak go przylapałem na oszukiwaniu w kości... A z innym straciłem kontakt, bo miał wypadek i nie wychodzi z domu.

- I wy mówicie, że my dzikusy - mruknął Scyles, dopijając wino.

- Dobra, dobra, my przynajmniej nie składamy ludzi w ofierze, cwaniaku! - Leochares wyłożył na stół parę oboli. - Idź gotować farbę, a ja się dowiem, do kogo należy ta szopa. Trzymaj się!

\*\*\*

Przy Enneakrounosie jak zwykle kłębiło się mnóstwo ludzi. Do każdego z dziewięciu kranów ustawiły się długie kolejki kobiet; niektóre z nich balansowały na głowach poobijane gliniane hydrie, inne przyniosły skórzane bukłaki bądź wiadra. Wokół nich, niczym wilki wypatrujące najsłabszej owcy w stadzie, przechadzali się grupkami młodzi mężczyźni. Większość kobiet ignorowała ich zaczepki i odwracała wzrok lub zasłaniała twarz skrajem płaszcza. Jednak niektóre odpowiadały uśmiechami bądź ciętą odzywką, a w końcu wdawały się w pełne dwuznacznych mrugnięć pogaduszki. Staruszkowie siedzący nieopodal w cieniu nędżnych poskręcanych sosenek kiwali z dezaprobatą głowami, wzdychając nad upadkiem moralnym młodzieży.

Leocharesowi udało się ustalić, że szopa, w której znalazł perskie skorupy, należała do Neoklesa, ojca Elpis, wdowy słynącej z niezwyklej urody. Z Neoklesem nie było sensu

rozmawiać; wszyscy wiedzieli, że odkąd spadł z drabiny, był niespełna rozumu i całym jego skromnym mieniem zarządzała tak naprawdę córka. Nie było tajemnicą, że Elpis pomnażała majątek swoimi wdziękami, przyjmując w domu bogatych Ateńczyków, którzy gotowi byli rozstać się z kilkudziesięcioma drachmami w zamian za wieczór pełen inteligentnej konwersacji - i nie tylko...

Jej drzwi nie stały jednak otworem dla wszystkich - żeby przejść przez próg, trzeba było wpięrcz przekonać do siebie gospodynię odpowiednimi podarkami. Ponadto niezwykle rzadko pojawiała się w mieście - co, rzecz jasna, dodatkowo rozpałało ciekawość i żądę ateńskich mężczyzn - a nawet wówczas okutana była od stóp do głów i skrywała twarz za paradną parasoleczką z barwionego na niebiesko lnu i kości słoniowej. Leochares nie miał wątpliwości, że w obecnym stanie, z obitą gębą i ramionami w strupach, nie ma co liczyć na zaproszenie do jej domu, nawet gdyby przyniósł wszystkie skarby perskiego króla królów - Elpis znana była też z tego, że daje się rozpieszczać tylko tym mężczyznom, którzy jej się podobają.

Zawsze można się było jednak wprosić... Leochares poznał kiedyś jej niewolnicę, Dranis - wytatuowaną, postawną Traczynkę o rudych włosach. Spodziewał się, że pod koniec dnia pojawi się w mieście, by przynieść swej pani wody na kąpiel - i to na pewno nie z byle jakiej studzienki, pełnej larw i kijanek, ale właśnie ze słynącego z krystalicznie czystych strumieni Enneakrounosu.

Nie przeliczył się. Dranis pojawiła się przy fontannach tuż przed zmierzchem i bezceremonialnie przepchnęła się do kranów. Przepłukała dwa duże skórzane bukłaki, po czym napełniła je po brzegi, aż wyglądały jak olbrzymie, nabrzmiące kleszcze. Leochares ruszył za nią, idąc szybko i cicho, chowając się za przechodniami.

Kiedy Dranis dotarła do domu, rzuciła bukłaki przed progiem, po czym otworzyła na oścież drzwi i weszła do środka, nawołując kogoś. Leochares policzył w myślach do pięciu i poszedł za nią. Wąski, ciemny korytarz prowadził prosto na obsadzony iglastymi krzaczkami dziedziniec. Głos Dranis słychać było z lewej strony - kłóciła się z jakąś kobietą mówiącą z ciężkim, obcym akcentem, najpewniej inną niewolnicą. Z okien na piętrze nad prawym skrzydłem dochodziły go zgoła odmienne dźwięki - słyszał, jak ktoś stroi kitarę. Elpis była oczywiście biegła w grze na instrumentach, to mogła być ona... Leochares przemknął w stronę schodów, omijając wysypane żwirkiem alejki; chrzęst kamyczków mógłby go zdradzić.

Na piętrze był jeden tylko pokój, na końcu wyłożonego dywanami korytarza. Świetnie, pomyślał Leochares, nic lepiej nie tłumi odgłosu kroków. Podkradł się pod drzwi,

kucnął. Nadal było słychać ciche brzękanie gitary, dało się też wyczuć jakieś delikatne, fiołkowo-migdałowe pachnidło. Tak, to musi być pokój Elpis, powiedział sobie w myślach. Byle niewolnica, nawet dobra muzykantka, się tak nie perfumuje. Leochares zajrzał do środka przez szczelinę między deskami - widać było jakąś kobietę, siedzącą tyłem do wejścia. Obmacał drzwi. Dolna krawędź była równa, nie stykała się z podłogą, a zawiasy dobrze naoliwione; można się było bezgłośnie wślizgnąć.

- Złooooodziej! - usłyszał nagle Leochares za swoimi plecami. Zanim zdążył się odwrócić, coś ciężkiego rypnęło go w potylicę. Upadł bezwładnie na ziemię, poczuł na twarzy miękkie, wełniste dywan. Głupku, stary głupku, przeszło mu przez myśl. Nie tylko twoje kroki wycisza...

Próbował przeturlać się na bok, ale był wolny, strasznie wolny. Kiedy tylko obrócił się na plecy, dostał kopniaka między nogi - natychmiast wypuścił ze świstem powietrze i zgiął się z bólu; na wpół strawione, palące przelyk jedzenie podeszło mu do ust. Chwilę później czyjeś rude włosy opadły mu na twarz i poczuł, jak drobne, ale zaskakująco silne palce zaciskają się na jego szyi. Usiłował się wyswobodzić, ale bez skutku; spocone dłonie ślizgały mu się tylko po ramionach napastnika. Zaczęło go mroczyć, płuca stopniowo wypełniały się bólem.

- Dranis, kochanie, dajże już spokój - usłyszał kobiecy głos. - Przecież zaraz udusisz tego biedaka.

Kleszcze na szyi wreszcie osłabły, Leochares odtoczył się na bok, łapiąc haustami powietrze.

- No proszę, przecież to nikt inny, tylko słynny Leochares, popychadło Peryklesa... Dranis, to ty go tak obilaś?

- Nie, pani, ja go uderzyłam z tyłu, patelnią...

- Faktycznie, to stare strupy. Pewnie próbował podpatrywać jakieś inne biedne wdowy, z równie mizernym skutkiem... Nie wiesz, że bogowie krzywo patrzą na podglądaczy? Chcesz skończyć jak Akteon?

- Nie - wycharczał Leochares. - Chociaż chyba wolałbym, żeby się na mnie rzuciły wszystkie psy Artemidy niż ta twoja harpia Traczynka...

- Ach, Dranis to złota dziewczyna - zaśmiała się Elpis. - Szkoda, że nie widziałeś, co zrobiła takiemu jednemu elegantowi, który nie chciał uwierzyć, że „nie” znaczy „nie”; mogę się założyć, że do tej pory musi kucać, jak go dopada potrzeba... No dobrze, ale po co tu w ogóle przylazłeś, co?

- Porozmawiać... Sprawy najwyższej wagi, państwowe.

- Doprawdy? A co ja, puch marny, mogę mieć do powiedzenia w tych kwestiach? No, ale to ciekawe. Chociaż maniere masz nieszczególne, to może faktycznie warto, żebyśmy porozmawiali. Proszę, proszę, wchodź - a ty, Dranis, chodź z nami, na wypadek gdyby nasz gość znów się zapomniał.

Leochares wtarabanił się do środka ciężkim krokiem, sapiąc i chrypiąc. Pękającej głowy i zgrzytających stawów, które tak mu doskwierały przez cały dzień, nie czuł teraz wcale; wszystko to stłumił jeszcze ostrzejszy ból, który rozchodził się po całym ciele z pulsującego, opuchniętego krocza. Jednak bardziej niż obolała męskość dokuczały mu czerwone uszy: chyba nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony, jedna kobieta go właśnie sprąła, druga obśmiała, a on nie mógł nic im zrobić. Zupełnie stracił rezon, czuł się jak nadmuchany rybi pęcherz, z którego właśnie zeszło powietrze. Weź się w garść, kretynie, mówił do siebie w myślach, najważniejsze, że możesz od niej wyciągnąć, czego potrzebujesz, nie spieprz tego!

Usiadł na wyściełanym dziczą skórą taborecie, na próżno szukając jakiejś wygodnej pozycji. Okna były szczelnie zasłonięte półprzejrzystymi zasłonkami z niebieskiego materiału, więc cały pokój Elpis zalewało stłumione bladobłękitne światło. Pod jedną ze ścian stało masywne, szerokie jak wóz łoże, zasłane wyszywanymi kocami i kobiercami; stojące obok krzesła i stoliczki zbite były z dziwnego, ciemnego jak smoła drewna, jakie widział tylko u etiopskich kupców. Zapach w pokoju był gęsty, nasycający nozdrza - perfumy Elpis mieszały się z aromatem kadzideł i napływającą z podwórza wonią rozgrzanego w słońcu igliwia.

- Proszę, proszę, rozgość się - powiedziała hetera, sama rozsiadając się w masywnym, podobnym do tronu fotelu wyłożonym poduchami. - To będzie długa rozmowa czy krótka?

- Raczej długa - wychrypiał Leochares, rozmasowując obolałą grdykę.

- To jeśli nie masz nic przeciwko, popracuję trochę - rzuciła Elpis, sięgając do wiklinowego koszyka wypełnionego po brzegi kłębkami wełny. - Wiesz, my, biedne wdowy, musimy w dobie wojny spędzać każdą chwilę, próbując zarobić parę oboli.

- Jestem sobie to w stanie wyobrazić - mruknął Leochares.

Elpis postawiła lewą stopę na taborecie, podciągnęła kraj chitonu - wysoko, bardzo wysoko... - i położyła na kolanie gliniany epinetron<sup>\*</sup>. Miała piękne, gładkie nogi ze smukłymi stopami i kostkami, na których pobrzękiwały bransolety z cienkiego złotego drutu. Hetera chwyciła kłębek wełny i zaczęła go gręplować, przesuwając nim powoli o szorstką tarkę epinetronu. Leochares widział wiele kobiet wykonujących to zajęcie, w tym matkę i własną żonę, ale aż do tej pory nie wydawało mu się ono ciekawe...

- Ojej, auć! - syknęła Elpis. - Strasznie chropowaty ten epinetron. No nic, praca sama się nie robi. Chyba chciałeś coś powiedzieć?

- Tak. Twój ojciec jest właścicielem szopy w Kerameikosie, tej położonej koło warsztatu z lampkami Hermolaosa?

- Zgadza się. Odnajmuję ją.

- Pracował tam spartański szpieg, bardzo niebezpieczny, zabił już wiele osób.

- Straszne, co też się w tym mieście wyprawia - westchnęła hetera głęboko. - Nic, tylko wznosić modły do bogów.

- Właśnie, właśnie. To komu dałeś klucze do szopy?

- Ach, niestety, nie mam zamiaru ci tego mówić - powiedziała, poprawiając ramiączko.

- Co? - wykrztusił Leochares, zrywając się z krzesła. - Jak to, nie masz zamiaru?

- A czemu niby miałabym to zrobić? I uspokój się, proszę, bo Dranis będzie ci musiała zrobić krzywdę.

- Nie strasz mnie tą rudą suką! - warknął Leochares. - I jak możesz się w ogóle pytać, czemu masz mi powiedzieć? Losy wojny od tego zależą, ba, całych Aten, a ty się pytasz czemu!

- Nie lubię mężczyzn, którzy podnoszą na mnie głos - odpowiedziała spokojnym, płaskim głosem Elpis, sięgając niespiesznie po nowy kłębek wełny. - Jak chcesz sobie na kogoś powrzeszczyć, to idź na agorę. Jeśli chodzi o wojnę, gównu mnie ona obchodzi. To wasza wojna, mnie nikt o zdanie nie pytał. Wszystko mi jedno, wygracie czy przegracie, mnie to nie dotyczy.

- Tak ci się tylko wydaje. Jeśli Spartanie wygrają, nas wytłuką, a was sprzedadzą w niewolę.

- Wątpię. - Elpis nie patrzyła nawet w jego stronę. - Zabiją Peryklesa, to na pewno, jego synów, może i ciebie, wielka mi strata. A potem rozpędzą Zgromadzenie, tych wszystkich niedomytych chamów i prostaków, i dadzą władzę grupce najmniejszych idiotów z was wszystkich, i będzie spokój. Prawda, Dranis?

- Nie znasz Spartan, ty nie wiesz, do czego oni są zdolni, do jakich okrucieństw...

- Błagam cię - przerwała mu hetera, wznosząc oczy do nieba. - Takimi bajkami to możesz straszyć dzieci, i to tylko te, co jeszcze robią pod siebie. Przypomnij mi, kto kazał własnym sojusznikom z Samos wypalić na czołach znamiona za to tylko, że nie chcieli dalej ich wspierać, i to w walce przeciw innym Grekom? Jeśli mnie pamięć nie myli, to właśnie miłujące wolność Ateny. A kto zniewolił wszystkich mieszkańców Cheronei? Znowu Ateny.

Wy czy Spartanie, takie same z was skurwysyny. A teraz zjeżdżaj z mojego domu, zdenerwowałeś mnie.

- Pozwę cię do sądu! - ryknął Leochares. - Nie ujdzie ci to!

- Gadaj sobie zdrów - machnęła ręką Elpis. Musiała być wściekła, pobladła, szklili jej się oczy. - Jak mnie tylko... oskarżysz, dziesięciu moich kochanków będzie się biło o to, któremu przypadnie zaszczyt mnie bronić, a te stare dziady w ławach sędziowskich i tak będą mnie tylko... zjadać wzrokiem, zamiast ich słuchać. Dranis, pokaż mu wyjście, i niech... nigdy... nigdy... - dukała Elpis; zanim dokończyła zdanie, osunęła się nieprzytomna na podłogę.

- Pani, co ci?! - Traczynka podbiegła do omdlałej hetery. - Powiedz coś do mnie, mów!

Leochares stał osłupiały. Ciałem Elpis wstrząsały drgawki, palce rytmicznie zaciskały się i rozkurczały. Po chwili przestała się ruszać.

- To ty! - wrzasnęła Dranis, odwracając się w jego stronę. - Czarownik! Zabójca!

Traczynka podniosła ze stołu krótki nożyk do obierania owoców i rzuciła się na Leocharesa z wrzaskiem. Złapał leżący na taborecie kawał dziczej skóry i rozpostarł ją nad głową; Dranis przebiła ją, ale cios stracił impet, nóż się zaklinował. Leochares kopnął ją z całej siły w udo, niewolnica stęknęła i upadła na kolana.

- To nie ja, wariatko! - krzyknął Leochares, rozglądając się jednocześnie po pokoju za jakąś bronią.

- Czarownik! Złe Oko! - sapnęła Traczynka, podnosząc się powoli. - Nie wyjdiesz stąd żywy, ty...

- Spokojnie, dziecino... - usłyszeli nagle cichy, słaby głos Elpis. -...mówi prawdę...

Dranis wypuściła nóż z ręki i kucnęła przy swojej pani. Elpis gasła w oczach; po twarzy ściekały jej sznurami wielkie łzy, jedna za drugą.

- Ja... bogowie, nawet on, nawet on! - wyszeptała hetera. - Nawet on... Słuchaj - wyrzuciła z siebie z trudem, obracając wzrok w stronę Leocharesa. - Filoksenos, z Pentelikonu... on... szopa... uważaj... złoty... złoty...

Otworzyła jeszcze usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydała z siebie już żadnego dźwięku. Jej piękne niebieskie oczy zaszyły mgłą; ostatnia, jeszcze ciepła łza spłynęła jej po policzku i wsiąkła w miękki jak puch dywan.

\*\*\*

Leochares napatrzył się na śmierć. Widział na przykład, jak umierał jego brat. Byli

mali, bawili się na podwórzu - Leochares, z brodą narysowaną węgielkiem i owczym runem udającym skórę lwa nemejskiego, był Heraklesem, a machający rękoma Demetrios wcielał się w stymfalijskie ptaki\*. Epicka bitwa skończyła się tak jak zawsze, turlali się po podwórzu, siłując się i śmiejąc. Nagle Demetrios krzyknął, złapał się za gardło. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku; choć otwierał szeroko usta, słychać było tylko ciche, coraz cichsze świszczenie, chwilę potem stracił przytomność. Jak się okazało, w trakcie zabawy osa wleciała mu do buzi i użądliła go w przełyk, udusił się. Leochares nie pamiętał już nawet twarzy brata - to było tyle lat temu! - ale widoku jego zażawionych, przerażonych oczu zapomnieć nie mógł.

Ojciec z kolei gasł powoli, jak drwa w palenisku, które obracają się stopniowo w popiół. Był też przy śmierci matki - dobiło ją zapalenie płuc, które złapała, moknąc w deszczu w kolejce do studni. Na wojnie widział uchodzące z ludzi życie każdego dnia - ostatnie krwawe bąbelki na ustach żołnierzy przeszytych strzałami; kwilących Persów, którzy milkli dobijani krawędziami okutych metalem tarcz; brutalnie zgwałcone kobiety, krwawiące, z połamanymi nogami, które z obłędem w oczach umierały pod ścianami własnych palących się jeszcze domów. Straszne, straszne wspomnienia, o których nikomu nigdy nie mówił.

Mimo to śmierć Elpis nim wstrząsnęła. Sam nie wiedział czemu - w końcu właściwie jej nie znał, a ich krótka rozmowa do przyjacielskich przecież nie należała. Przykro było patrzeć, jak umiera kobieta jeszcze młoda, i to tak piękna, ale Leochares widział coś takiego już wcześniej, niestety nie raz. Może chodzi o to, pomyślał Leochares, patrząc na jej martwe, tępo wbite w sufit oczy, że w tej ostatniej chwili była tak smutna. Nie przerażona, błagająca o litość bogów albo złorzecząca, tylko właśnie smutna, bezbrzeżnie smutna.

Otarł spocone czoło krańcem płaszcza, zamknął oczy. Długi, ciężki dzień. Po tym, jak Elpis umarła, do jej pokoju zbiegli się wszyscy domownicy, ściągnięci szlochem Dranis; zanim udało mu się ich uspokoić, wytłumaczyć, co się stało, i przekonać jednego ze sług, by pobiegł po Menekratesa, zrobiło się już zupełnie ciemno.

- Co tu się wyprawia, Leo, co tu się dzieje? - spytał cicho stary lekarz.

- Miałem nadzieję, że to ty mi powiesz - odpowiedział Leochares, odwracając wzrok od ciała.

- No, ja ci nie powiem nic ponad to, co już wiesz sam, została otruta. Ta sama trucizna.

- Na pewno?

- Tak, nie mam wątpliwości.

- A klątwa? Czar? Boska zemsta?



- Proszę cię - powiedział Menekrates ze zdziwieniem. - Nie mów, że wierzysz w te brednie.

- Sam już nie wiem - odparł Leochares, wypluwając odgryziony paznokieć. - Kto ją miał niby otruć? I kiedy?

- Przecież tu do niej dużo osób przychodzi, wiesz, co robiła.

- Rozmawiałem z tą jej amazonką, Dranis. Elpis przedwczoraj jadła jakieś owoce morza, krewetki i małże, zdaje się. Źle się poczuła, więc ostatnie dwa dni nie przyjmowała gości, piła wyłącznie wodę, którą przynosiła jej Dranis. A uwierz mi, ta dzikuska była w niej zakochana, nigdy by jej nie zrobiła krzywdy.

- No dobrze - powiedział Menekrates, przykrywając ciało kocem; nie mógł patrzeć, jak po twarzy zmarłej łążą muchy. - Ale przecież ktoś mógł wsypać truciznę do bukłaków, w których ta niewolnica niosła wodę.

- Myślałem o tym. - Leochares machnął ręką. - Ale wszyscy w domu pili tę wodę. Zresztą ta trucizna działa szybko, pamiętasz? Tamten pies zdechł w chwilę potem, jak wychleptał wino. Ona przy mnie nic nie piła, nie jadła. Jak ją niby zatruto? Nic nie rozumiem.

- Truciznę można podawać małymi porcjami, stopniowo - zastanawiał się Menekrates, drapiąc się po głowie. - No ale wtedy śmierć nie byłaby taka gwałtowna, przypominałaby raczej przewlekłą chorobę.

- Właśnie... No, nic tu po nas, miałem nadzieję, że zobaczysz coś, czego ja nie dostrzegłem. Chodźmy.

- Chcesz pójść ze mną na głębszego? - zapytał Menekrates, zamykając za sobą cicho drzwi. - Przepraszam, że się wtrącam, ale wyglądasz, jakbyś potrzebował odsapnąć przez chwilę.

- Nie, nie mogę, nie mam czasu...

- Nawet jeśli zalecę ci to nie jako przyjaciel, ale lekarz? - spróbował ponownie Menekrates, siląc się na uśmiech.

- Nawet - odpowiedział Leochares, schodząc powoli na parter. - Muszę jeszcze dzisiaj złapać jednego skurwysyna.

Wyszedł na ulicę, pożegnał się z Menekratesem i ruszył w stronę domu Scytów. Zapadła już noc, miasto wydawało się zupełnie inne niż za dnia; inaczej brzmiało, inaczej wyglądało. Zamiast pokrzykiwania kupców i skrzypienia wozów słychać było cykady, piski nietoperzy i pohukiwanie sów; czerwono-białe budynki obleczone były teraz w błękity i granaty. Leochares przystanął na chwilę przy jednym z domów, oparł się o ścianę. Wiedział, że powinien jak najszybciej wziąć się do roboty, ale był straszliwie zmęczony i obolały,

musiał odpocząć chociaż przez chwilę.

Myślał o ostatnich słowach Elpis. Wspomniała Filoksenosa - zabawne, nie dalej jak wczoraj Perykles zażyczył sobie, żeby go udupić. Nawet lepiej, pomyślał Leochares, że najwyraźniej sobie zasłużył, no i do tego nie będzie musiał iść do Myrine i wiercić jej dziury w brzuchu, problem sam się rozwiązał... Do tego znów to słowo - „złoty”. Ale złoty co? Złoty naszyjnik, złoty kielich, złoty kolczyk... Bez sensu.

Spojrzał w górę - niebo było bezchmurne, rozgwieżdżone. Uśmiechnął się; przypomniały mu się noce spędzone z dziadkiem. Staruszkowi zostały wtedy już tylko dwa czy trzy zęby, był głuchy jak pień, ale wzrok miał nadal doskonały. Brał małego Leocharesa na kolana i wodził po niebie drżącym, powykęcany palcem, i opowiadał, tak długo, aż matka wołała ich do środka. „Ta biała smuga, proszem ciem, to rozlane mleko Hery, to jest, proszem ciem, droga mleczna. A tu Orion, którego, proszem ciem, zabił skorpion. A ten prostokąt z takim jakby ogonkiem to, proszem ciem, Kallisto zamieniona w niedźwiedzicę...” - i tak dalej, i tak dalej, niezliczone, prastare legendy poprzetykane „proszem ciem”. Czymkolwiek były gwiazdy - bogami i herosami, jak chciał dziadek, czy kulami ognia, jak utrzymywali inni - wyglądały tego wieczoru naprawdę przepięknie.

Ech, westchnął ciężko Leochares, starczy tego opieprzania się. Odepchnął się od ściany i kuśtykając, poszedł do Scytów. Jak zawsze, ich dom słychać było z daleka - jak co wieczór, wygrywali na bębnach i piszczałkach jakieś swoje piosenki. Leochares nie przepadał za tą ichnią muzyką - była dzika i szybka, pełna wysokich dźwięków i wibracji. Miał wrażenie, że kiedy się jej słuchało, myśli stawały się jakby wolniejsze, a na wierzch wpływały skrywane emocje; traciło się przy niej rachubę czasu.

Otworzył cicho drzwi. Trzech Scytów, grających na instrumentach, usadowiło się pod ścianami; na środku sali, przy ognisku, siedział Scyles. W rękę trzymał zaostrzony, umazany sadzą patyczek, którym skrobał po plecach jakiegoś swego pobratymca. Widać już było zarys tatuażu - wielkiego, wygiętego w łuk górskiego kozła, który ciągnął się od lewego barku po dolną krawędź pleców.

- Hej, chłopaki - powitał ich Leochares, wchodząc do środka.

- Cześć... No nie wiercić się już, Palakus - mruknął Scyles do siedzącego przed nim chłopaka. - Ręką mi się trzęsi. Coś się dowiedziałeś?

- Oj tak, dużo. Mamy trop. Trzeba capnąć Filoksenosa. Zbierajcie się.

- Spokojna, spokojna - powiedział Scyles, maczając patyczek w miseczce z ochrą. - Nie ma co się spieszyć.

- No, tylko bez żartów - obruszył się Leochares. - Widzę, że się tu, chłopcy, pysznie

bawicie, ale obowiązki to obowiązki.

- Lepiej złapać jednego królik czy królik i jego małe? - zapytał Scyles, barwiąc na czerwono jeden z kozlich rogów; Palakus syknął.

- No pewnie, że małe też, dobre mięso... Ale co to ma w ogóle do rzeczy! - sapnął Leochares. - Rusz no dupę, zanim się wkurzę!

- Jeśli chcesz złapać królik i młode, nie można od razu puszczać strzała. Lepiej poczekać, zobaczyć, gdzie nora. Ty lepiej wysłać Sauldyntesa i Tabitesa. Oni obserwować dom Filoksenosa, a ty się wyśpić. Bez obrazić, ale ty chyba bardzo, bardzo zmęczony.

- Hmm - mruknął Leochares po chwili milczenia. - Dobrze, zrobmy tak. Tylko jak was zauważy i ucieknie, to osobiście wam nogi z dupy powyrywam, rozumiemy się? Swoją drogą, widziałeś Demoklesa?

- Tak - odparł Scyles, wycierając patyczek. - Jest na nasza podwórze, siedzi tam od rana.

- Dobra, jeszcze z nim pogadam i wracam do domu.

Demokles leżał na kocu rozłożonym obok dymiącego kopca, któremu Scytowie składali ofiary. Z kupy popiołu sączył się wyjątkowo nieprzyjemny zapach - coś jak palone włosy i paznokcie. Chłopak najwyraźniej spał, jego pierś unosiła się miarowo, powoli. Leochares przycupnął obok niego, delikatnie odgarnął mu włosy z twarzy. Usta Demoklesa były lekko rozchylone, po policzku ściekała mu mała, lśniąca strużka śliny - wyglądało to trochę tak, jakby po jego twarzy przepłynął ślimak.

- Psst! - szepnął Leochares. - Obudź się!

- Mhm? - mruknął Demokles, mrugając nieprzytomnie. - Co?

- Czemu nie śpisz u siebie?

- To nie jest „u mnie” - odparł chłopak, odwracając się na drugi bok. - Tylko u ciebie. Ten dom to twoja własność, tak jak i ja.

- Nie mów tak - odparł cicho Leochares.

- Niby czemu? - rzucił Demokles, podnosząc się na łokciu. W jego głosie nie czuć już było snu; mówił głośno i szybko. - Tak jest. Jestem rzeczą, i to rzeczą, która cię wkurza, jak krzesło, które ma jedną nogę za krótką, albo dziurawy garnek.

- Nie. Nieprawda. Mnóstwo dla mnie znaczysz.

- To dlaczego jestem twoim niewolnikiem?

- Myślałem, że dobrze ci zrobi, jak będziesz musiał się mnie słuchać; jesteś jeszcze młody i głupi...

- Wcale nie taki młody - zachnął się. - Urodziłem się piętnaście lat temu!

- Dobra, zgoda - powiedział Leochares; miał nadzieję, że chłopak nie zauważył jego uśmiechu. - Niech będzie. Nie bocz się już, potrzebuję jutro twojej pomocy. Obiecuję, że jak złapiemy tego Proteusza, to cię wyzwolę. Będziesz mógł robić, co ci się żywnie podoba.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Stoi?

- No ba! - krzyknął Demokles. - Pewnie, że tak! Dzięki, staruszkule!

- Dobrze... To jutro bądź u mnie rano... Ale nie za wcześnie, naprawdę muszę się wyspać. Namierzyłem szpiega Proteusza, chyba jakiegoś ważnego. Opowiem ci jutro.

- Pewnie! - odpowiedział chłopak, strzepując koc. - Do zobaczenia!

Leochares nie lubił snu. Oczywiście, chodził spać co noc, jak każdy inny człowiek, ale traktował to jako przykrą konieczność. Odkąd pamiętał, denerwowało go, że nigdy nie mógł sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zasnął. Ot, leżysz sobie w łóżku, myślisz o czymś, a potem cyk - i jest już następny dzień; w którymś momencie tracisz nad sobą kontrolę, umysł odkleja się od ciała. Nie znosił tego.

Kiedyś jako dziecko wziął do łóżka rylec i kawałek garnka, który matka stłukła przy przygotowywaniu kolacji. Leżał z zamkniętymi oczami i powoli liczył w myślach, a kiedy dochodził do dziesięciu - stawiał na skorupie kreskę. Miał nadzieję, że dzięki temu rano będzie mógł dokładnie powiedzieć, kiedy zmorzył go sen. Nic jednak z tego nie wyszło - po jakimś czasie zrobił się tak śpiący, że liczby zaczęły mu się plątać, a rylec wypadł z dłoni. Najwyraźniej Hypnos pilnie strzegł swoich tajemnic.

Budzenie się było jeszcze gorsze niż zasypianie. Każdego ranka przez pierwsze kilka chwil po otwarciu oczu nie miał pojęcia, gdzie jest, co robił poprzedniego dnia ani jak się nazywa. Ten moment pustki trwał bardzo krótko, nie dłużej niż parę uderzeń serca - ale wzbudzał w nim niepokój, przypominał, że kiedyś jego ciało i dusza rozejdą się na dobre. Zresztą nawet wtedy, kiedy już pamięć do niego wracała, czuł się jeszcze nieswojo w swoim ciele, a własne imię brzmiało mu obco i nieprzyjemnie.

Tak też było i tym razem. Obudziły go jakieś krzyki zlewające się ze snem, którego już nie pamiętał. Leżał przez chwilę bez ruchu, dochodząc do siebie; zaspane, klejące się oczy wbił w sufit. Mimo że była to pierwsza rzecz, na którą patrzył każdego ranka, zdawał mu się zupełnie obcy; dopiero po paru chwilach dostrzegł znajome pęknięcia w drewnianych belkach, gwoździak, na którym Lamia wieszała jesienią pęki dziurawca i rumianku, ciemnożółtą plamę, która wykwitła po zeszłorocznych ulewach. Przekręcił się na bok, przymknął oczy. Czuł, jak jego ciało pulsuje bólem, przypominając mu o wydarzeniach ostatnich dni: pękająca głowa i mdłości mówiły o pościgu za Andanosem, obrzękła grdyka i spuchnięte krocze - o Dranis i śmierci Elpis. Przejechał dłonią po drugiej, zimnej stronie łóżka - no tak, Lamii nie ma...

Zwłókł się z łóżka, ziewnął i podszedł do okna, drapiąc się po pośladkach. Pod jego domem jacyś chłopcy bawili się w wojnę - zamiast tarcz mieli pokrywki od beczek, a ostrugane leszczynowe kijki zastępowały włócznie. Jeden z dzieciaków, piegowaty grubas, przekonywał swojego kolegę, że go właśnie zabił, podczas gdy ten drugi był zgoła

odmiennego zdania; inny chłopiec trzymał się za głowę i ryczał jak zarzynane ciało, podczas gdy jego oponent triumfalnie machał nad głową zbitym z listewek mieczem.

Leochares uśmiechnął się smutno. Przypomniawszy mu się pierwszy zeszłoroczny pogrzeb poległych w boju. Nie pamiętał już, ilu ich było - może kilkuset, a może i tysiąc. Wśród nich synowie przyjaciół - młody Polibus, który jękał się tak strasznie, że nawet własna matka go nie rozumiała; Chryses, który potrafił splunąć na odległość piętnastu stóp, i to bez rozbiegu; piękny Idomenes, który nigdy nie brał udziału w zapasach ani pankrationie w obawie, że zniszczy to jego urodę. Wszyscy oni wyglądali wtedy tak samo - garstki przepalonych kości zawiniętych w całun. Oczywiście Perykles mówił, że z dumą oddali życie za ojczyznę, że swoją postawą zasłużyli na miano prawdziwych Ateńczyków, i tym podobne dyrdymały. „Z dumą oddali życie za ojczyznę”, prychnął Leochares. Nie tak to wygląda. Najpierw, zanim padł sygnał, żeby ruszyć do boju, najpewniej srali po nogach ze strachu. Potem gnali przed siebie, w kurzawie, z trudem łapiąc oddech - aż trafiła ich przypadkowa strzała albo dźgnął ich jakiś machający na oślep włócznią smarkacz walczący po przeciwnej stronie. Jeśli mieli szczęście, ginęli szybko - albo od ciosu, albo zdeptani przez swoich kolegów. Inni umierali powoli, w cierpieniu, wołając mamę, jęcząc i płacząc; czuli, jak muchy im wślazą do ran, jak puszczają zwieracze. Gdzie tu bohaterstwo? Gdzie odwaga? Dobrze, że na razie powołują do wojska tylko młodych, pomyślał, nie chciałbym znów przez to wszystko przechodzić...

Zamknął okiennice i zszedł na dół - słońce już było wysoko, trzeba się było zbierać. Lydike przygotowała mu suto śniadanie - pół gomółki owczego sera, placek, oliwki, suszone na słońcu sardynki. Wczoraj był zbyt zmęczony, żeby w ogóle myśleć o kolacji, więc teraz nadrabiał zaległości - jadł szybko i łapczywie, ledwo gryząc. Usłyszał stukanie w drzwi - to pewnie Demokles. Przepłukał usta winem, otarł twarz z okruchów i tłuszczu i wyszedł z domu.

\*\*\*

Wbrew oczekiwaniom Scylesa obserwacja Filoksenosa nie przyniosła żadnych rezultatów. Wieczorem siedział w domu sam, nikt nawet nie zbliżył się do jego domu, nikt nie wychodził. Rano poszedł na agorę, zrobił zakupy - jak skrupulatnie zapamiętali młodzi Scytowie, kupił cztery główki czosnku, dwie cebule i wędzoną makrelę - odwiedził ołtarz Dwunastu Bogów przy agorze i złożył tam jakieś małe wotum, wysikał się w zaułku za świątynią Hefajstosa, po czym wrócił do domu i posłał niewolnicę, żeby zrobiła pranie.

- No i gdzie ta twoja królicza nora, co, panie myśliwy? - zapytał Leochares, wyjmując palec z ust. Kawałek placka, który jadł na śniadanie, utknął mu między dziąsłem a policzkiem

i nijak nie mógł się go pozbyć.

- Warta było próbować. - Scyles wzruszył ramionami.

- Jak taka gnida może mieć jeszcze czelność chodzić do sanktuariów - pokręcił głową Leochares. - Na jego miejscu bałbym się, że mnie od razu piorun pierdzielnie.

- No to co, łapiemy go? - zapytał Demokles.

- Na to wygląda - odparł Leochares. Udało mu się wreszcie wygrzebać resztki jedzenia; wytarł palce w płaszcz. - Ale zróbmy to w miarę dyskretnie, nie chcę, żeby całe miasto wiedziało, że go capnęliśmy.

- To wchodzić przez tylne wyjście? - spytał Scyles, wstając i otrzepując spodnie.

- Nie - odpowiedział po chwili Leochares. - To on wyjdzie.

\*\*\*

Nie ma piękniejszego zapachu niż smażony na delikatnym ogniu czosnek. No, chyba że czosnek i odrobina rozmarynu. Filoksenos pochylał się nad rozgrzanym garnczkiem, wciągnął głęboko powietrze i uśmiechnął się błogo. Jeszcze chwilka, potem wystarczy dodać kawałki ryby, kilka oliwek i będzie można pałaszować. Choć zazwyczaj nawet nie zbliżał się do garów - od tego przecież byli żona i niewolnicy - to kiedy nasza go ochota na ulubione danie, makrelę z czosnkiem, zawsze przyrządzał je sam. Dziś właśnie postanowił sobie pofolgować - wszystko szło zgodnie z planem, co w dużym stopniu było jego zasługą, miał ochotę to po cichu uczcić. Kiedy nalewał sobie wina, usłyszał pukanie do drzwi. Chwila ciszy. Potem znów.

- Szlag by to trafił - wrzasnął. - Niech no ktoś otworzy!

Usłyszał skrzypnięcie zawiasów, jakieś głosy; najwyraźniej odźwierny w końcu doczłapał do drzwi. To już któryś raz nie reaguje na pukanie, psioczył pod nosem Filoksenos, albo na starość zrobił się jeszcze leniwszy, albo zupełnie już ogłuchł.

- Panie - usłyszał drżący, chropowaty głos odźwiernego. - To do was. Pani Myrine was wzywa.

- Nie mam czasu, pójdę do niej później - krzyknął za siebie, przerzucając potrawkę z garneczka na talerz.

- Ale to pilne - odpowiedział staruszek, zaglądając na podwórze. - Pani jest chora.

- Chora? - powtórzył Filoksenos, patrząc tęsknie na parujące kawałki ryby. - No dobrze, dobrze, już idę. Dopilnuj, żeby nikt mi tego nie zeżał, jasne?

Na zewnątrz czekał jakiś młody chłopak z wielkimi, zapłakanymi oczyma.

- Panie, nie ma chwili do stracenia, Myrine chora, bardzo chora - załkał, łapiąc go za

dłoń.

- A kto ty jesteś? - spytał Filoksenos.

- Sąsiad, syn Testora, mieszkamy naprzeciwko... Myrine wracała z targu, przywitała się ze mną, bo wie pan, właśnie z domu wychodziłem, i nagle - ryp! - pada na ziemię, oczy jej się obróciły, lekarza!, woła, ktoś pobiegł, no a mnie posłali do pana, bo kto wie, znaczy tfu, tfu, ale może ona już...

- No tak, rozumiem... Chodźmy.

- Pójdziemy tędy, taką boczną uliczką, trochę naokoło, ale na głównej drodze rozkraczył się wóz, koło chyba się oberwało, czy może dyszel złamał...

- Tak, tak, nieważne, prowadź... - odparł Filoksenos, pogrążony już we własnych myślach. Kiedy ostatni raz u niej byłem? - pomyślał, mijając jakiegoś grubasa w zakrwawionym fartuchu, który niósł na ramionach przerażone, beczące jagnię. Będzie z dwa albo i trzy miesiące temu. Nigdy nie byliśmy specjalnie blisko, to prawda, ale jednak co rodzina, to rodzina... Zwłaszcza że jej się przecież biednej nie powodzi, nigdy sobie męża nie znalazła i żyje ciągle pod opieką dziadka, mimo że posag dostała koniec końców nie najgorszy. Od małego była włochata, dzieci wołały na nią małpa, strasznie z tego powodu płakała. Wiedział, że próbowała się depilować, ale to, co innej kobiecie zajmuje godzinę, ona robiłaby w nieskończoność - wypaliłaby włosy z jednej nogi przed południem, potem wzięłaby się za drugą i zanim by skończyła, trzeba by znowu brać się za pierwszą. Uśmiechnął się wpierw do tej myśli, ale zaraz sam siebie zganił. Co za głupi, szczeniacki żart, potrząsnął głową z niesmakiem. Przecież to biedna dziewczyna, no niezbyt piękna, niezbyt mądra, ale w gruncie rzeczy...

Zanim dokończył myśl, ktoś złapał go od tyłu za głowę. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale napastnik szybko wepchnął mu do ust jakieś cuchnące moczem pakuły; chwilę potem dostał kopniaka w podbrzusze, zakrztusił się śliną. Opadł na ziemię, ktoś skrępował mu ręce. Próbował się podnieść, ale kolejny cios zbił go z nóg; uderzył głową o coś twardego i zemdlał.

\*\*\*

- No naprawdę, nie wiedziałem, że masz takie zacięcie aktorskie! - zaniósł się śmiechem Leochares. - I te łzy? Potrafisz płakać na zawołanie, ot tak?

- Nie, aż tak dobry nie jestem - odpowiedział Demokles, dumny jak paw. - Zanim po niego poszedłem, kupiłem na straganie cebulę, przekroiłem na pół i natarłem sokiem powieki.

- Dobra pomysł! - z uznaniem pokiwał głową Scyles. - No niehonorowo, ale ty



niewolnik, to nie istotna...

- Przyganiał kociół garnkowi... - Demokles rzucił mu niechętnie spojrzenie.

- O, czekajcie, czekajcie - przerwał im Leochares. - Nasz grubasek się budzi. Halo, halo, jesteście już z nami?

Filoksenos otworzył oczy - czy raczej jedno, bo drugie nie chciało się rozewrzeć i bolało. Był w jakiejś szopie... Nie, nie jakiejś, tylko *tej*, którą wynajął dla Proteusza. O kurwa, pomyślał, przerażony. O żeż ja pierdolę, kurwa.

- No, po wyrazie twarzy wnoszę, że poznasz te wnętrza - powiedział Leochares, kucając tuż przy nim. - Wygodnie? Nie? No trudno, to długo nie będzie trwało. Co tu robił Proteusz?

- Spierdalaj - wymamrotał Filoksenos. - Nic ci nie powiem.

- Ooo, tak ci się tylko wydaje. - Leochares uśmiechał się szeroko. - Żaden z ciebie twarziel i obaj dobrze o tym wiemy. Jesteś tylko małym, żalonym, zdradliwym grubasem i jak ci każę, to zaraz mi wyrecytujesz całą Iliadę, a jak będzie trzeba, to i od tyłu albo w przekładzie na perski. Rozumiesz?

- Spierdalaj.

- Aha - mruknął Leochares. - No, miałeś szansę.

To powiedziawszy, wziął leżący na ziemi zardzewiały gwóźdź, po czym z całej siły uderzył nim w dłoń Filoksenosa. Wszedł gładko, aż po główkę; coś chrupnęło, siknęła krew. Filoksenos ryknął z bólu, głośno, nieludzko.

- Zastanawiałem się, czy przebiję się przez ten cały tłuszcz, ale najwyraźniej się udało... To może jednak pogadamy? Bo wiesz, ja czasu mam sporo, a gwoździ jeszcze więcej. No to pierwsze pytanie: do czego Proteuszowi potrzebna była ta szopa? Co on tu robił?

- Wyjmij... wyjmij to!

- Najpierw odpowiesz na moje pytania. A potem zobaczymy.

- Nie wiem, nie wiem - wycharczał Filoksenos; pot ściekał mu po całej twarzy, spływał do oczu. - Ja go w ogóle nigdy nie widziałem, kazał wynająć, to wynająłem...

- No, tak w sumie myślałem - oznajmił Leochares, układając na podłodze kolejne gwoździe w równym rzędzie. - Sam bym ci się nie pokazał na jego miejscu. No dobrze, jak się komunikujecie?

- Tawerna... - wysapał Filoksenos, ciężko przełykając ślinę; zdrowym okiem śledził nerwowo każdy ruch Leocharesa. - Tawerna w Pireusie, koło zatoki Zea, należy do takiego starucha z Koryntu, który...

- Tak, wiem, o którą chodzi, nie wysilaj się.

- Przy tawernie są latryny - wydusił z siebie Filoksenos. - Przy siedzeniu z prawej strony jest mała szpara w kamieniu. Tam jest nasza skrzynka.

- Jak często się kontaktujecie?

- Zależy...

- Żadne mi tu „zależy”, bo ci wbiję kolejny gwóźdź, i to w bardziej wrażliwe miejsce.

- Co tydzień. Ostatni raz kontaktowaliśmy się cztery dni temu.

- No widzisz, jak chcesz, to potrafisz... Co planuje Proteusz? Co miał mu przekazać łącznik ze Sparty?

- Nie wiem, o takich rzeczach nigdy mi nie pisał - powiedział Filoksenos.

- Mhm - mruknął Leochares. - To ostatnie pytanie: po co ci to? Czemu zdradziłeś? Pieniądze? Zemsta?

- Nie - stęknął Filoksenos. - Wolność. Ukradliśmy Grecji wolność... Ja... To okropne, co myśmy zrobili...

- I tobie się wydaje, że Spartanie ją zwrócą, tak? No, to sporo się musisz jeszcze o świecie dowiedzieć, nie wiem tylko, czy starczy ci czasu... Dobra, zabierajcie go. I pamiętaj, jeśli okaże się, że mnie okłamałeś, to dam Scytom wolną rękę, będą mogli z tobą robić, co tylko zechcą. I klnę się na bogów, będziesz wtedy myślał, jak świetnie się bawiłeś, kiedy ci gwóźdź wbijałem.

\*\*\*

I znów jestem w martwym punkcie, pomyślał Leochares, rozgryzając figę. W środku było mnóstwo jakichś robali, więc rzucił ją za siebie; wpadła z pluskiem do wody. I co teraz? Jak się okazało, przy tawernie faktycznie była latryna, jak każda inna w mieście, może tylko bardziej cuchnąca, bo wyrzucano tu też różne resztki z kuchni - skwaśniałe wino, zepsute ryby, zjełczałe tłuszcze. Leochares obszukał całą prawą ścianę, ku wielkiej uciechu wszystkich, którzy zaszli tam za potrzebą. Znalazł kilka szpar, jedna nawet wyglądała obiecująco - było wokół niej dużo tłustych śladów, jakby ktoś często gmerał tam palcem - ale w środku niczego nie było. Albo Filoksenos mnie okłamał, w co mi się nie chce wierzyć, pomyślał, albo po prostu nie ma nowych wiadomości, a ja nie mogę sobie pozwolić na długie czekanie i obserwację... Poza tym jeśli będę się tam często kręcił, Proteusz się o tym dowie i nawet się tam nie zbliży.

- No, co jest - mruknął do siebie, rozrywając następną figę. - Znowu robaczywka...

Wstał, otrzepał himation. Przypomniały mu się słowa Filoksenosa: „Wolność. Ukradliśmy Grecji wolność”. Bogowie, jakim trzeba być idiotą, żeby tak myśleć! Zgoda,

Ateńczycy nadużywali swojej pozycji, doili sojuszników, jak tylko mogli, bywali wobec nich niepotrzebnie brutalni. Ale jeśli mu się to nie podoba, niechże idzie na Zgromadzenie i powie, co mu na wątrobie leży, zamiast pchać się do Spartan! Co oni mogą wiedzieć o wolności albo sprawiedliwości?

Leochares kiedyś spotkał starego człowieka, helotę\*, któremu jakimś cudem udało się uciec ze Sparty wraz z żoną. Opowiadał straszne rzeczy: Spartanie obchodzili się z nimi tak, jak w Atenach nikt nawet psa by nie potraktował. Gwałty i bicie były codziennością, mord zresztą też - coraz któryś z nich znikał bez śladu, czasem i całe rodziny. Nie dlatego, że coś przeskrobali, tylko ot tak, żeby nastraszyć resztę helotów. Podobno tych zabójstw dokonywali chłopcy, szczyłe w wieku Demoklesa albo niewiele starsi - był to element ich wychowania! Do tego dochodziły jeszcze ciągle poniżenia, jak obowiązek noszenia wyróżniającego ubioru, upijanie ich na siłę w ramach rozrywki, zakaz opuszczania domów po zmroku... No i oczywiście obowiązek tyrania na rzecz swoich prześladowców, którzy nigdy nie pracowali. I oni mają zwrócić tę rzekomo skradzioną wolność? Wolne żarty.

Nagle Leochares zatrzymał się jak wryty; miał niejasne wrażenie, że przeoczył coś istotnego. Usiadł na przewróconym drzewie, obok jakiegoś zasuszonego dziadka z siwą poźółkłą brodą, i próbował sobie przypomnieć tę latrynę koło tawerny. Coś mu nie grało, coś było nie tak... Przede wszystkim, co za głupia skrzynka kontaktowa! Przecież tam zawsze się kręci mnóstwo ludzi, o każdej porze dnia i nocy, zwłaszcza teraz, kiedy miasto jest zatłoczone. Kto by tam upychał po szparach tajne wiadomości? Tak, ale to nie wszystko - pomyślał, drapiąc się nerwowo po głowie, było coś jeszcze, coś, co musiał zauważyć, ale to zignorował... Co to mogło być... No tak, kurzu! - zrozumiał nagle; zdumiony tym odkryciem klepnął się z rozmachem otwartą dłońią w czoło. We wszystkich tych szparach było mnóstwo kurzu, gdyby ktoś tam cokolwiek ostatnio wkładał, byłyby ślady...

- Dobsie sie ciujeś, młody człowieku? - wymamrotał dziadek. Miał już tylko dwa zęby, i to górne jedyne, co sprawiało, że wyglądał jak bardzo stary, wyliniały szczur. - Nie sieciałeś za długo na słońcu?

- Nie, nie, wszystko dobrze, przypominałem sobie coś po prostu...

Wrócił do swoich myśli, ignorując podejrzliwe spojrzenie staruszka. A jednak, stwierdził, kręcąc głową. Nie doceniłem Filoksenosa. Nie tylko próbował mnie okłamać, ale zrobił to na tyle dobrze, że się nie zorientowałem. Dziwne... Musiał przecież wiedzieć, że szybko się połapię, to kłamstwo miało wyjątkowo krótkie nogi. Zgoda, ciężko byłoby wymyślić coś lepszego z gwoździem w ręku, ale może tu chodzi o coś więcej... Najwyraźniej zyskanie nawet paru dodatkowych godzin było ważne, warte ryzyka - to znaczy, że cokolwiek

Proteusz knuje, będzie chciał to zrobić niedługo. Mógłbym oczywiście znów pomęczyć Filoksenosa i mieć nadzieję, że powie prawdę, ale może się okazać, że zanim to sprawdzę, będzie już za późno.

Może coś jeszcze przeoczyłem? - pomyślał, bębniąc miarowo palcami w spróchniały pień. Spróbował odtworzyć w myślach wszystko, co się wydarzyło od momentu, kiedy złapali Filoksenosa. Scyles i jego chłopaki wrzucili go na wóz, zakryli słomą i przewieźli do szopy w Kerameikosie. W tym czasie Leochares postanowił zajrzeć do jego domu - wiedział, że w środku był tylko stary odźwierny i jego żona, więc postanowił zaryzykować, pomimo nieprzyjemnych doświadczeń z niedawnej wizyty u Elpis. Staruch drzemał na ławeczce przy wejściu, żona była zamknięta w swoim pokoju - dochodzące zza drzwi miarowe stukanie i szuranie znaczyło, że pracowała przy krośnie, nie powinna wychodzić; mógł spokojnie obejść wszystkie inne pokoje. Niestety, nic ciekawego nie znalazł - jedyne, co go zainteresowało, to skrzynka identycznych terakotowych figurek Demeter, która leżała pod łóżkiem. No, ale jakie to ma znaczenie, to po prostu trochę dziwne... Potem przesłuchanie, kontynuował w myślach Leochares. Próbował odtworzyć w myślach przebieg rozmowy, zachowanie Filoksenosa, ale do niczego go to nie doprowadziło. No nic, powiedział do siebie, co dalej... Poszedłem do Peryklesa przypomnieć o moich zaleceniach, oczywiście przyjęła mnie Aspazja, oczywiście mnie spławiła; potem wpadłem do domu coś zjeść, Lydike spała, więc sam coś sobie zrobiłem, wreszcie poszedłem do Pireusu, obszukałem latryny, a teraz siedzę tutaj...

- Ech - sapnął, sfrustrowany. - Nic więcej chyba nie wymyślę. Szlag by to trafił...

- Co? - zapytał staruszek, przechylając głowę w jego stronę. - Co mówiłeś?

- Nie, nic, do siebie mówię - odpowiedział głośno i powoli Leochares.

- No, no, w tym wieku...

- Mam zły dzień - odburknął, wstając. Po himationie biegał mu jakiś mały czarny żuczek, który musiał wyleźć ze spróchniałego drewna; pstryknął go w odwłok, owad poszybował na drugą stronę ulicy. - Szukam takiego jednego faceta i nie mogę go znaleźć.

- No tak, tylu tu luci się teraz kręci - machnął ręką staruszek. - Że bogowie tylko wiecą, kcie się kto pociewa...

- No tak, to prawda, tylko bogowie wiedzą, dobrze to... - zaczął Leochares, ale nie dokończył zdania.

- Dobsie, że co?

Leochares nie odpowiedział - otworzył szeroko oczy, spojrzał na staruszkę, po czym okręcił się na pięcie i pobiegł, kulejąc lekko, w stronę miasta.

\*\*\*

Leochares już miał przejść przez bramę wiodącą do ołtarza Dwunastu Bogów, ale zawahał się - zastygł na chwilę bez ruchu, po czym zrobił krok do tyłu. Dureń ze mnie, zdenerwował się na siebie, mało co, a wbiegłbym do sanktuarium ot tak, jakbym leciał ze sraczką do latryny. Usiadł pod rosnącym obok dzikim drzewkiem oliwnym, czekał, aż mu się uspokoi oddech. Splunął gęstą, klejącą się do przetyku śliną i oparł głowę o pień. Pot ściekał mu po skroniach i ramionach, serce waliło szybko, za szybko. Spojrzał do góry. Drzewo musiało być bardzo stare - gałęzie były grube i powyginane jak ręce starego człowieka skręcone artretyzmem; miało już niewiele liści, a te, które jeszcze się trzymały, były małe i skórzaste. Leochares wziął jeszcze kilka głębokich oddechów, przetarł twarz skrajem płaszcza i podniósł się, po czym podszedł do straganu z terakotowymi figurkami, który stał kilkanaście kroków dalej. Na prostej desce, opartej na dwóch starych beczkach, tłoczyli się maleńcy bogowie z wypalanej gliny. Lewy kraj blatu okupywali Zeusowie - część z nich siedziała na tronach, inni stali, z pomalowanymi na biało piorunami wzniesionymi bojowo nad głowy. Tuż obok nich, w równych rzędkach, ustawieni byli Hermesowie - wszyscy w tej samej pozie, w identycznych kolorach, wyglądali jak jakieś upiorne czterdziestoraczki. Boginie stłoczyły się z drugiej strony stołu, jakby zebrały się na pogaduchy albo wspólne muzykowanie. Pod stołem, w cieniu, walały się kawałki nieśmiertelnych - jakaś brodata głowa, Zeusa albo może Posejdon, czyjaś ręka, owinięte w płaszcz nogi, stopa. Wyglądało to tak, jakby pokolenie glinianych bożków władających teraz straganem musiało w pierw strącić w niebyt swoich poprzedników w jakiejś okrutnej, bezpardonowej walce.

Leochares skinął w stronę sprzedawcy, przyszczatego chłopaka w słomkowym kapeluszu, który schronił się przed słońcem w cieniu rzucanym przez kamienny mur otaczający ołtarz. Wiedział, że kupując figurkę tu, a nie w Kerameikosie, gdzie je wyrabiano, przepłaca - ale nie wypadało jednak iść do ołtarza z pustymi rękoma. Po chwili wahania wybrał jedną z Aten, była niezwykle dokładnie pomalowana, ktoś nawet się postarał, żeby dorobić wijącym się na skraju egidy\* węzom cienkie, poprzeczne źrenice.

Podszedł do wejścia, zanurzył rękę w stojącej obok kamiennej misie, otarł twarz i ręce. Zastanawiał się, czy ma prawo wejść do środka - w końcu nie dalej niż dwa dni temu rozszarpano przy nim żywcem człowieka, na pewno obmyła go jego krew, był nieczysty... No, trudno, pomyślał, bogowie będą musieli zrozumieć.

W środku sanktuarium było nienaturalnie cicho; kamień, którym wyłożony był plac, jakimś cudem był chłodny w dotyku. Mimo że sanktuarium dzieliło od agory tylko kilkadziesiąt kroków, nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy - nie słyhać było krzyków

przekupniów, kłótni i śmiechu ani ryczenia osłów; do jego uszu dochodził tylko cichy chrobot suchych liści sunących po ziemi, gnanych przez podmuchy wiatru. Leochares nagle się wzdrygnął, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Obejrzał się - nikogo jednak nie było.

Podszedł do ołtarza, kucnął i spróbował znaleźć wolne miejsce dla swojej Ateny. O ile na straganie panował porządek, o tyle tu bogowie byli zupełnie niezdyscyplinowani - stali przemieszani, boginie koło bogów, bóstwa niebios obok bóstw podziemi, Hera przy nienawidzącej jej Afrodycie, Hefajstos obok Aresa, który sypia z jego żoną... Niektórzy bogowie leżeli przewaleni, jakby omdleli od słońca albo opili się za dużo nektaru\*. Leochares znalazł Atenie miejsce tuż u podstawy ołtarza, w cieniu. Tu ci będzie dobrze, powiedział w myślach. Jest z kim pogadać i słońce nie razi...

Dźwignął się do góry, syknął - coś mu strzyknęło dziwnie w kolanie - i znów omiół wzrokiem boskie zgromadzenie, tym razem szukając konkretnej bogini: Demeter, z jasnymi, prawie białymi włosami, w bladoniebieskim płaszczu i różowym chitonie. Po chwili wypatrzył ją, pomiędzy Zeusem, który musiał tu stać od jakiegoś czasu - farba łuszczyła mu się z twarzy i ramion, jakby cierpiał na jakąś chorobę skórą - i lekko zezowatym Heraklesem. Podniósł ją, obejrzał z bliska - tak, dokładnie taka sama jak u Filoksenosa pod łóżkiem. Obrócił ją powoli w dłoniach, potrząsnął - coś zagrzecotało cicho. Po chwili wahania Leochares pociągnął za główkę, odskoczyła od razu, lekko. Zajrzał do środka - wewnątrz ciała bogini leżał cieniutki kawałek skóry, związany tasiemką. Leochares próbował go wyciągnąć, ale palce nie mieściły mu się w dziurze. Rozejrzał się jeszcze raz i pewien, że nikt go nie widzi, roztrzaskał figurkę o jeden z marmurowych schodków. Podniósł liścik, rozwinął - coś było napisane, ale niewyraźnie, nie mógł nic odcyfrować. Spokojnie, spokojnie, powiedział do siebie w myślach, usiądę sobie gdzieś i to przeczytam, słowo po słowie...

Miał ochotę pobiec do domu, tak się jednak tego dnia złąził, że nie miał już na to siły; w końcu przewlec się z miasta do Pireusu i z powrotem to był niezły spacer, nawet bez zawrotów głowy i bolącej kostki. Próbował jednak iść jak najszybciej - nie mógł się doczekać, kiedy się dowie, co też Filoksenos słał Proteuszowi.

Był tak pochłonięty myślami, że nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje; kiedy wreszcie podniósł głowę, żeby obejrzeć się przed przejściem przez ruchliwą ulicę, zobaczył po drugiej stronie swojego teścia, Dioklesa; jego potężna sylwetka wybijała się z tłumu. O nie, nie, powiedział do siebie, tylko nie on i nie teraz... Odkręcił głowę w drugą stronę, próbował schować się za jakiegoś dużego faceta z widłami, ale było już za późno.

- Hej, Leochares! - zawołał Diokles.

- Och, kurwa... - mruknął pod nosem Leochares, wznosząc oczy do nieba. Szybko się jednak odwrócił, uśmiechając się rzecz jasna szeroko. - O, co za niespodzianka! Wyobraź sobie, że miałem właśnie posłać kogoś z pytaniem, czy możemy się spotkać.

- Nie wątpię. Masz chwilę?

- Wiesz, nie do końca, przepraszam cię bardzo, ale tak właściwie to się spieszę...

- Wiele czasu ci nie zajmę.

- Chyba że tak... Tu koło tolosu jest taka zacieniona ławeczka, może tam usiądziemy?

- Może być, prowadź.

Kogo innego Leochares by spławił, ale jego - już były? - teść należał do tych nielicznych w Atenach ludzi, których darzył głębokim szacunkiem. Diokles był wyjątkowym człowiekiem. O tym, co wyprawiał za młodu na wojnie, krążyły legendy. Podobno przeszył kiedyś jednym rzutem oszczepu zarówno tarczę, jak i chroniącego się za nią wojownika. Innym razem już na początku bitwy został trafiony czterema strzałami - i pomimo tego walczył aż do końca, bite pół dnia, zabijając tuzin wrogów, a rany pozwolił sobie opatrzyć dopiero wtedy, kiedy skremowano już jego poległych kompanów. W ostatniej kampanii, w której uczestniczył, przeciwnik wytrącił mu miecz - a Diokles zatłukł go gołymi rękoma.

Oczywiście, zasłużonych weteranów w Atenach nie brakowało - ale większość z nich niczym nie przypominała bohaterów, którymi byli w młodości. Niektórzy przesiadywali w tawernach, opowiadając po raz setny swoje przygody, mieszając przy kielichu z winem i odrobiną wody fantastyczne wymysły ze szczyptą faktów. Inni, którzy próbowali robić karierę w polityce, zamiast dyskutować, wiecznie przywoływali swoje zasługi i przy każdej okazji, albo i bez okazji, pokazywali blizny i szramy - które, jak często się okazywało, nie były pamiątką po wojnie, tylko po pijackiej burdzie. Jeszcze inni, którym udało się wrócić nie tylko żywym, ale i z łupami, otaczali się pochlebcami i kurwami, obrastając tłuszczem i próżnością.

Diokles był zupełnie inny. Nigdy nie wspominał o wojnie, a gdy ktoś pytał go o żołnierskie przygody, szybko zmieniał temat. Złote perskie kielichy i naszyjniki złożył, ku rozpaczy wszystkich krewnych, w ofierze Atenie. Na Zgromadzeniu występował często i zawsze wypowiadał się w sposób mądry i wyważony, nigdy nie dawał się ponieść emocjom, którym tak łatwo oddawała się reszta Ateńczyków. Gdyby Leochares miał coś w tej kwestii do powiedzenia, z chęcią posadziłby Dioklesa na miejscu Peryklesa.

- Dlaczego nie przyszedłeś do Lamii? - zapytał Diokles, siadając na ławie.

- Cóż, miałem wrażenie, że ona nie chciałaby mnie widzieć - odparł Leochares. - Jak wychodziła z domu, mówiła, że chce się rozwieść.

- Wiem. Odradziłem jej to.

- Tak? Ja... Nie wiem, co powiedzieć...

- Może podziękuj - zaproponował sucho Diokles. - Nie było łatwo.

- Tak, oczywiście, dziękuję - powiedział szybko Leochares. - Ale... Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo uważam, że jesteś dobrym człowiekiem.

- Dziękuję - bąknął Leochares. Nie wiadomo czemu stanęła mu przed oczami tryskająca krwią dłoń Filoksenosa - ale nie wiem, czy Lamia by się z tobą zgodziła.

- Posłuchaj mnie. Wiem, że nigdy nie uderzyłeś Lamii i że nigdy byś tego nie zrobił. Nie chciałbyś jej krzywdy, nie upokorzyłbyś jej. To ważne i wcale nie takie częste. Wiem, co mówię, mam sześć zamężnych córek. Lamia... Lamia jest trochę inna niż większość kobiet. Dużo w niej energii, dumy...

- To na pewno...

-...i to jest moja wina. Źle ją wychowałem. Była moim oczkiem w głowie, moją najmłodszą i ukochaną córką. Kazałem nauczyć ją śpiewać, grać, czytać. Dużo z nią rozmawiałem, dużo ją nauczyłem. Kiedy widziałem, że nudzi się przy wrzecionie, brałem ją nad morze, łowiliśmy ryby albo łapaliśmy krewetki. Kiedy nie chciała prać ubrań, uczyłem ją jeździć konno. Jej matka mówiła, że to głupota, i miała rację. Nie przygotowaliśmy jej do życia kobiety, do życia w cieniu, w czterech ścianach. Zdaję sobie sprawę, że jest trudną żoną. Ale zrozum ją. Ona po prostu nie chce być twoją prządka ani sprzątaczką czy nałożnicą, tylko przyjaciółką. Wiem, że proszę o wiele, ale gdybyś spróbował raz jeszcze i postarał się jej to dać, jestem przekonany, że oboje bylibyście szczęśliwi.

- Nie wiem... - wydusił z siebie Leochares. Nie wiedzieć czemu, głos ugrzązł mu nagle w gardle - nie wiem, czy ona by chciała jeszcze raz próbować.

- Chciałaby - uśmiechnął się Diokles. - Przez pierwsze dwa dni mówiła, że cię nienawidzi. Ale widziałem, że to nieprawda. Teraz nic nie wspomina o tobie, ale wiem, że tęskni.

- Nie mogę teraz do was przyjść - stwierdził po chwili Leochares. - Muszę przemyśleć to, co usłyszałem, muszę się zastanowić, co jej powiedzieć. Mam teraz bardzo mało czasu, straszne rzeczy mogą się wydarzyć niedługo w Atenach. Jak będzie po wszystkim, pierwszym miejscem, do którego pójde, będzie twój dom.

- Trzymam cię za słowo. - Diokles wstał. Uścisnął mu dłoń na pożegnanie, tak jak miał w zwyczaju, z siłą, która sprawiała, że chrzęściły kości.

- Jeszcze jedno - zawołał do niego Leochares. - Powiedz jej, że przepraszam.



- Dobrze. Trzymaj się!

Leochares patrzył, jak Diokles idzie przez agorę. Ludzie ustępowali mu z drogi, pozdrawiali, jeden z handlarzy chciał mu nawet dać za darmo kosz owoców, ale odmówił. Leocharesowi jakoś zupełnie przeszła ochota wracać do domu. Wstał, westchnął ciężko, przetarł oczy - przeklęty piasek! - i ruszył do domu Scytów.

\*\*\*

Siedział w skupieniu, pochylony nad zapisanym zwitkiem skóry. Czytał powoli i dokładnie, ruszając bezgłośnie ustami.

- I co? Co tam jest napisane? - dopytywał się Demokles.

- Niewiele. „Jutro nowy transport. Południe, Pegaz”.

- No tak, pierwsza część jest jasna, tylko dobrze by było wiedzieć, co oni tam transportują. Ale o co chodzi z Pegazem?

- No, to właśnie będzie twoje zadanie - powiedział Leochares, wstając od stołu.

- Co? Ale co mam zrobić?

- Wiesz, są dwie możliwości. Mogą pisać jakimś kodem i wtedy „Pegaz” może oznaczać wszystko, od świątyni Hefajstosa po jakąś rozpadającą się szopę w Faleronie. Albo odnoszą się do czegoś lub kogoś, i tu właśnie jest robota dla ciebie. Chcę jutro o świcie wiedzieć o każdym facecie, który ma ksywę „Pegaz”, o każdej knajpie, burdelu i łajbie, która się tak nazywa. Na wszelki wypadek dowiedz się jeszcze, czy ktoś tu nie widział latającego konia albo czy coś dziwnego się nie dzieje z gwiazdozbiorem. Wszystko, rozumiemy się?

- No to dobrze, że dzisiaj sobie uciąłem drzemkę, bo zapowiada się, że w nocy nie pośpię. A ty co robisz?

- Najpierw pogadam z Filoksenosem i zobaczymy, co ciekawego mi tym razem opowie. No, ruchy, ruchy, masz co robić. Jutro rano u mnie w domu, dobra?

- Pewnie. Do jutra!

Leochares przeszedł do sali obok, gdzie Scytowie gotowali właśnie posiłek. W powietrzu czuć było wędzone mięso, cebulę, czosnek, dziurawiec i jakieś inne zioła, których zapachu nie rozpoznawał. Część z nich w ogóle nie występowała w Attyce, niektóre podobno rosły daleko na wschodzie, gdzie lato trwało tylko parę miesięcy, a resztę roku wszystko skuwał lód. Leocharesowi nie chciało się wierzyć, że tam w ogóle mogą żyć jacyś ludzie. W Atenach śnieg pojawiał się raz na kilka lat i doprowadzał wszystkich do szewskiej pasji. Na drogach grzęzły wozy, po mieście nie sposób było chodzić, a ci, którzy próbowali, przyplacali to często stłuczonym kolanem albo i skręconą kostką.

- Czołem, chłopcy. A co ten wasz gulasz taki czerwony?

- Gotujemy w ten kocioł po farba - odpowiedział Scyles, dosypując jakieś dziwne, podłużne ziarenka. - I trochę niedomyta.

- Aha, smacznego... Gdzie jest Filoksenos?

- Grubas? W pokój przy tylne drzwi.

- Dobra, dajcie mi coś dla niego, może go żarciem przekupię. Tylko bez tych waszych przypraw.

- Wędzona jagnięca udziec?

- Może być.

Leochares przeszedł korytarzem na drugi koniec budynku, stanął pod drzwiami. Nie miał na to ochoty. Nie lubił męczenia ludzi, nawet skurwysynów. No nic, pomyślał, nie robię tego w końcu dla przyjemności. Otworzył drzwi. Filoksenos leżał w kącie pokoju na brudnej słomianej macie. Ręce i nogi miał związane rzemieniami, głowę zakrytą jakąś płachtą.

- Hop, hop - powiedział Leochares, odkrywając mu twarz. - Pora na kolację. Głodny?

Filoksenos zamrugał nerwowo, jego oczy odzwyczyły się od światła. Spojrzał na Leocharesa, szybko odwrócił wzrok.

- No, co tam, głodny jesteś czy nie?

- Może i tak - odpowiedział wreszcie Filoksenos. Głos miał zupełnie inny niż rano, zdarty i suchy. - Ale ze związanymi rękoma nie zjem.

- Też prawda - przyznał Leochares. - Dobra, rozwiążę ci ręce, ale nóg nie. I bez żadnych sztuczek, rozumiemy się?

- Nie znam żadnych sztuczek. A nawet jeślibym znał, to jedną ręką bym ich nie zrobił.

Leochares spojrział na prawą dłoń Filoksenosa, którą tego ranka przebił gwoździem. Była owinięta bandażem, zdążył on już zupełnie przesiąknąć krwią, chodziły po nim muchy. Rzemienie były związane tak ciasno, że nie mógł ich rozsypać; przeciął je nożem i natychmiast zrobił dwa kroki w tył. Filoksenos rytmicznie rozprostowywał i zginał palce, z początku bardzo powoli, potem trochę płynniej; dłonie musiały mu zdrętwieć.

- Oto i kolacja - powiedział Leochares, rzucając mu udziec. - Jak tam, Scytowie się z tobą dobrze obchodzą?

- Niezbyt - odpowiedział Filoksenos, z pełnymi ustami. Jadł tak łapczywie, jakby świat miał się skończyć następnego dnia i był to jego ostatni posiłek. - Chociaż i tak lepiej niż ty.

- Gdyby to ode mnie zależało, rozmawialibyśmy sobie na łące, wachając kwiatki i od czasu do czasu opowiadając sobie żarciki - stwierdził Leochares. - Ale niestety jest wojna.

Zresztą sam się prosiłeś o ten gwóźdź, jakbyś mi od razu odpowiedział...

Filoksenos nic nie mówił, patrzył na niego spode łba i odrywał od kości kolejne kawałki mięsa.

- Właśnie, wracając do tej rozmowy - kontynuował niezrażony Leochares. - To wiem już, że mnie okłamałeś. Może coś ustalmy. Ty nie lubisz, jak ci wbijam gwoździe, a ja nie lubię, kiedy się ze mnie robi kretyna. Jak będziesz mówił prawdę, załatwimy to elegancko. Jeszcze raz pytam: gdzie jest wasza skrzynka kontaktowa?

- Piąta kolumna Stoi Poikile, między bębnami jest szpara...

- Dobra, już wystarczy - przerwał mu Leochares. - To był taki test na twoją dobrą wolę. Widzisz, już wiem, gdzie sobie zostawiacie wiadomości: na ołtarzu przy agorze. Swoją drogą, nie wstyd wam? Bogów w to wasze szambo mieszać?

Filoksenos zbladł, ale nie przestawał jeść; żuł szybko, gwałtownie, przełykał całe kawały mięsa.

- To będzie ostatnie miłe pytanie, jakie ci zadam, a jeśli będę miał wrażenie, że nadal mi wciskasz jakieś bzdury, to wbiję ci nie tylko resztę gwoździ z tamtej szopy, ale jeszcze pięć kołków, rożen i widły. Co to jest Pegaz, hm?

- Nie powiem ci - krzyknął Filoksenos, ocierając brodę. - Nigdy ci nie powiem, skurwysynu!

- Wiesz, że powiesz. Może nam to zająć chwilkę, ale wszystko, wszyściutko mi powiesz.

- Nie! - warknął Filoksenos. Złapał obgryzioną kość w obie dłonie i uderzył nią w kolano, złamała się na dwie części o ostrych krawędziach. - Nigdy się nie dowiesz!

- Słucham? Ty na poważnie? - zawołał Leochares, tłumiąc śmiech. - Mam się ciebie bać? Spasionego grubasa ze związanymi nogami, który mi grozi kawałkiem kości?

- Nie, masz rację, mnie się nie masz co bać - powiedział Filoksenos; łamał mu się głos, drżały usta. - Bój się Proteusza.

To powiedziawszy, Filoksenos wbił obydwie kawałki kości we własną szyję. Momentalnie trysnęła krew, mnóstwo krwi, jak z jakiejś makabrycznej fontanny, jak w ubojni; w mgnieniu oka czerwone były ściany, czerwona była podłoga, sufit. Leochares rzucił się w stronę Filoksenosa, próbował wyszarpnąć ułamane kości, ale tkwiły głęboko, ręce ślizgały mu się od krwi. Kiedy wreszcie wygrzebał je spomiędzy zwałów tłuszczu i mięśni, zorientował się, że już za późno. Filoksenos leżał bez ruchu, z wytrzeszczonymi oczami.

- O żeż kurwa, ja pierdołę! - zawołał Leochares, łapiąc się za głowę. - Tego... tego się nie spodziewałem...

W korytarzu słychać było kroki, Scytowie biegli sprawdzić, co się dzieje. Leochares chodził w kółko po pokoju śliskim od krwi. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył, w to, co ten człowiek zrobił. Oczywiście, zawsze zdarzały się samobójstwa, jakiś dłużnik skakał do morza, jakiś upokorzony małolat otwierał sobie żyły. Ale żeby na spokojnie, ot tak, baranią *kością* spuścić sobie krew... Leocharesowi trzęsły się ręce, serce waliło jak oszalałe. Muszę się napić, powiedział do siebie, oj tak, muszę się napić.

Szybko opowiedział Scytom, co się stało, i wybiegł na zewnątrz. Zauważył zdziwione spojrzenia przechodniów, więc owinał się ciasno płaszczem, żeby zakryć poplamione krwią ubranie. Bogowie, pomyślał, ktoś musi teraz przecież powiedzieć Myrine, co się stało, i jego żonie też, i ten ktoś to będę zapewne ja... Odpędził od siebie tę myśl; przyspieszył kroku.

Wparował do domu, zerwał z siebie ubrania. Okazało się, że Lydike nie była jeszcze tego wieczoru u studni. Leochares nie miał zamiaru czekać, aż przyniesie mu wody. Chciał się umyć teraz, natychmiast, pozbyć się tej krwi, która zdążyła już skrzepnąć, posklejać mu włosy i brodę, użył więc resztek deszczówki, którą zbierali w kubie stojącym na podwórzu. Szorował ramiona i dłonie szorstką gąbką, wydłubywał krew zza paznokci, kilkakrotnie zanurzał głowę w wodzie. Kiedy wreszcie poczuł, że jest już czysty, włożył nowy himation, złapał bukłak i pociągnął kilka dużych łyków wina.

Miał ochotę z kimś porozmawiać, pogadać o tym, czym zajmują się normalni ludzie - o pogodzie, czy mąka zdrożała, kto sprzedaje nieświeże ryby, kto komu opchnął kulawego osła, czyja żona zdradza i z kim; zapomnieć, choćby na jeden wieczór, o Proteuszu, Spartiatach i czubkach, którzy rozbebeszają własne szyje baraniami kośćmi. Nie ciągnęło go jednak do spotkania z Dourisem, który chyba nadal miał do niego pretensje o tego karyjskiego niewolnika, ani z Menekratesem, który na pewno opowiadałby mu o innych samobójcach, krwotokach, flegmach i rozwolnieniach.

Postanowił więc odwiedzić Eufranora - nie widział staruszka już od jakiegoś czasu; miał ochotę posłuchać jego rubasznych żartów, pogadać z nim o wszystkim i o niczym nad kielichem jakiegoś mocnego wina. Spotkał go jednak zawód - garncarz był zmęczony i w okropnym nastroju; jak się okazało, za długo przetrzymał nową transzę waz w piecu, wszystkie malunki wypaliły się na czarno i przez to cała jego praca z ostatnich dwóch dni wylądowała na śmietniku. Leochares próbował zmienić temat, nawet opowiedzieć coś o swoim dniu, ale Eufranor za każdym razem przedstawiał mu jakąś swoją nową bolączkę - że drewno do opalania pieca coraz droższe, że niewolnicy są z każdym dniem leniwszi, że z tymi upałami już nie idzie wytrzymać... Po jakimś czasie Leochares poddał się, cała ta rozmowa wpędzała go w jeszcze gorszy humor. Pożegnał się, wymyślając naprędce jakiś pretekst, i

poszedł do pierwszej lepszej knajpy - ot, wypić jednego albo i dwa głębsze, posłuchać, o czym ludzie mówią. W środku trafił jednak na dwóch swoich znajomych, Damianosa i Eusebiosą, z którymi był na paru wyprawach wojennych, i krótka w zamierzeniu wizyta w tawernie przeciągnęła się do późnych godzin nocnych.

Nie widzieli się ładnych parę lat, więc, poza rzecz jasną wspomnianiem młodości i wojennych przygód, opowiadali, co ostatnimi czasy wydarzyło się w ich życiu. Damianos głównie chwalił się sukcesami w handlu. Jak mówił, odnajmował dwa statki, którymi woził wino z Chios do Miletu, gdzie tanio kupował piękne tkaniny - „takimi cienkimi nitkami szyte, stary, że normalnie ich gołym okiem nie widać, serio!” - które z kolei sprzedawał z zyskiem w Atenach, bogacąc się na tym niesamowicie. Dziwnie jednak te opowieści kontrastowały z jego schodzonymi sandałami, poplamionym płaszczem i nerwowością, z jaką przeliczał drobniaki przy każdej kolejce. Eusebios spędził z kolei ostatnie lata na procesowaniu się o spadek po ojcu z przyrodnim bratem. Była to jakaś szalenie zawikłana historia i z każdym kolejnym łykiem wina Leochares rozumiał z niej coraz mniej, aż wreszcie wszystko mu się pomieszało i nie wiedział, czy to macocha została porwana przez wuję, wuj przez macochę, czy może oboje zostali schwytani przez piratów.

Dopiero kiedy wreszcie wyszedł z tawerny i pożegnał się z kolegami - nie żeby sami chcieli się zbierać, ale gospodarz już ich wyrzucał - Leochares zdał sobie sprawę, jak bardzo się upił. Szumiało mu w głowie, widział niewyraźnie; miał wrażenie, że nie idzie po jakiejś ateńskiej uliczce, tylko po pokładzie kołyszącego się statku. Wiedział, że obudzi się jutro z gigantycznym kacem, ale nie przejmował się tym zbytnio - wino wprawiło go w wesoły nastrój, nucił pod nosem piosenki. Na chwilę udało mu się zapomnieć o obowiązkach - albo przynajmniej zdołał przekonać samego siebie, że może przestać o nich myśleć przez resztę nocy.

Przy jednym ze skrzyżowań się zatrzymał. Choć było już późno, świadomie przeciągał powrót do domu. Teraz, na chwilę przed świtem, Ateny były spokojnym, przyjemnym miastem. Ulice wiodące w stronę agory, za dnia pełne ludzi, były teraz cudownie puste, powietrze rześkie i świeże. Po raz pierwszy od wielu dni wiatr przynosił nie swąd spalenizny, lecz zapach pinii i wilgotnej ziemi. Zamiast krzyków przekupek, błagań żebraków i gderania starych dziadów zbierających się na sesję sądu mógł dosłyszeć nerwowy terkot cykad. Życie i praca w śmierdzącym mrowisku, którym stały się Ateny, były wykańczające; dobrze było od tego odsapnąć, choćby przez chwilę. Podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo, oddychał powoli i głęboko.

Kiedy opuścił wzrok na ziemię, zauważył, że przy skrzyżowaniu stoi herma<sup>\*</sup>. Nicco

zdziwiony stwierdził, że - on, który chwalił się, że Ateny zna jak nikt - widzi ją pierwszy raz. Zaciekawiony podszedł bliżej. Uwagę przykuwał oczywiście wielki, prężący się dumnie fallus, który odstraszał od skrzyżowania zle moce. Usta, jak to u starych rzeźb, były wykrzywione w głupawym, pustym uśmiechu. Widać było, że nikt się o tę statwę nie troszczy - farba złuszczała się w wielu miejscach, a na oczach była zupełnie wyblakła, co nadawało Hermesowi dziwny, nieobecny wyraz twarzy.

- Oj, widzę... żeś oślepl, pewnie od słońca - powiedział, bełkocząc lekko, Leochares. - Szkoda, bo pewnie miałbyś mi wiele ciekawego do przekazania. Stoisz tutaj dnie... i noce, nikt na ciebie nie zwraca uwagi... Zaraz temu... zaradzimy, będziesz miał źrenice jak nowe.

Leochares pochylił się, szukając na ziemi odpowiedniego patyczka. Szumiący w głowie alkohol sprawił, że stracił równowagę i usiadł ciężko na ziemi.

- Kurwa - mruknął pod nosem, wstając. - Oczywiście, musiałem wpaść... w kałużę. Nie padało... od dwóch dni, a ja wpadam w kałużę. Wolę nie myśleć, skąd się tu wzięła.

Podniósł w końcu z ziemi kawałek drewna, potarł go o osmalony wylot lampki oliwnej i przystąpił do dzieła. Ręka drżała mu trochę, ale nie zraziło go to. Wystawiwszy w natchnieniu lekko język, nałożył sadzę na oczy Hermesa, po czym oparł rękę na biodrze i przyjrzał się krytycznie swemu dziełu.

- Cudo. Naprawdę dużo... ci lepiej. Może lewe oko... trochę zezuje, ale lepsze takie niż żadne, co? Włożę ci jeszcze mój... wieniec, będzie ci weselej.

Pochylając się w stronę rzeźby, Leochares zauważył kątem oka ruch. Mimo tego, że był pijany, zareagował błyskawicznie i skulił się. Powietrze nad jego głową rozciął z cichym świstem nóż. Drugi cios, zadany ręką, nie chybił celu. Leochares, trafiony pięścią w bok, przewrócił się na stojący posąg i runął wraz z nim na ziemię. Boski fallus wbił się Leocharesowi boleśnie w brzuch, łamiąc się pod jego ciężarem.

Musiał reagować szybko. Czuł, jak ból i strach otrzeźwiają go, błyskawicznie analizował sytuację. Przeciwnik nie chciał go po prostu pokiereszować, tylko zabić. Przerażony zdał sobie sprawę, że nie ma przy sobie żadnej broni, nóż zostawił w domu, razem z umazanym krwią himationem. Nie było też sensu wołać po pomoc - od domu Scytów dzieliło go dobrych kilkanaście przecznic. Nie ma czasu.

Chwycił ukruszone przyrodzenie Hermesa i odturlał się na bok, o włos mijając się z ostrzem napastnika. Szybko stanął na nogi. Atakujący go mężczyzna stał o parę kroków obok; był potężny, wyższy od niego o stopę albo i więcej. To, jak się poruszał, w jaki sposób trzymał nóż, mówiło Leocharesowi, że ma do czynienia z człowiekiem, który wie, jak zabijać. Przepuszczał, że trudno byłoby mu go pokonać nawet za najlepszych lat. Teraz był pijany,

miał złamane żebro albo i dwa, a jedynym jego orężem był marmurowy fiut. Cofał się, próbując zwiększyć dystans, ale wiedział, że jest w sytuacji bez wyjścia i że za chwilę musi dojść do ponownego zwania.

Jedyną jego szansą był fortel. Im dłużej będzie trwać walka, tym mniejsze będą jego szanse. Leochares opuścił prawą rękę, rozluźnił zupełnie mięśnie i pozwolił jej bezwładnie zwisać. Miał nadzieję, że olbrzym uzna, iż złamał kość, i zlekceważy go albo przynajmniej będzie koncentrował się na drugiej ręce.

Napastnik nabrał się, przesunął się na jego prawą stronę, szykując się do skoku. Leochares nie patrzył ani na nóż, ani na oczy przeciwnika, koncentrował się na stopach. Uderzenie będzie szło od dołu; użyje wszystkich mięśni, całej mocy ciała, uderzy, by zabić.

W momencie gdy przeciwnik wybił się do przodu, żeby zadać cios, Leochares błyskawicznie odskoczył na bok, przerzucił rzeźbiony członek do prawej ręki i z całej siły gruchnął olbrzyma w skroń. Atakujący nie zdołał uniknąć ciosu, czaszka pękła jak gliniany dzban.

Leochares, oddychając ciężko, oparł się o ścianę domu i powoli osunął się na ziemię. W ustach zebrała mu się gęsta ślina o posmaku krwi, serce biło z taką siłą, że zagłuszało myśli. Patrzył na martwego napastnika. Był ubrany w himation, ale wytatuowane ręce wskazywały na barbarzyńcę, być może był to jakiś Trak. W każdym razie Leochares widział go pierwszy raz w życiu.

Zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w ręku przyrodzenie Hermesa. Spojrzał na nie i wybuchnął śmiechem. Zmył z siebie stres, strach i napięcie walki. Ale połamane żebra bolały go jeszcze bardziej. Dźwignął się na nogi i z trudem postawił hermę na dawne miejsce, a ułamany członek ułożył u stóp rzeźby. Podniósł z ziemi wieniec, otrzepał z piasku i ułożył ostrożnie na głowie bóstwa.

- Dzięki za uratowanie mi życia - powiedział, patrząc na uśmiechniętego, zezującego Hermesa. - Każę ci przyczepić to twoje śmiercionośne przyrodzenie, nie martw się.

Leochares splunął w rękę, złapał trupa za nogę i ciągnąc go po ziemi, szedł w stronę posterunku Scytów. Świtało.

## ζ

- Bez obraza - powiedział Scyles, podając Leocharesowi gorący bulion. Miska parzyła go w palce, musiał ją przekładać co chwila z ręki do ręki - ale sama się prosisz o problem. Już raz ktoś próbował cię zabić, a ty łazisz w nocy po pijaki, i to bez broń?

- Nie wierć mi dziury w brzuchu - odburknął Leochares. - Wystarczy, że mam złamane żebro. Wiesz przecież, że zawsze noszę ze sobą nóż, tylko wczoraj akurat zostawiłem go w domu, jak się przebierałem. No nic, mam nauczkę.

- Weź to - powiedział Scyles, podając mu paczuszkę z grubej, wyswiechtanej skóry.

- Co to?

- Sam zobaczy.

Leochares odstawił miskę na podłogę i rozpakował zawiniątko. W środku, opatulony w nasączoną tłuszczem wełnę, leżał zakrzywiony sztylet w pozłacanej pochwie, ozdobionej biegnącymi lwami i panterami. Rękojeść zwieńczała głowa orła z oczami z ciemnego, połyskliwego kamienia. Od broni bił dziwny, ostry zapach, od którego wierciło go w nosie.

- Piękna robota! - powiedział Leochares, obracając sztylet w dłoni. - Ale czemu tak, ee, zalatuje? Wiesz, weź to lepiej ode mnie, bo jak teraz kichnę, to się chyba popłaczę z bólu.

- Zalatuje! - parsknął Scyles. Wyjął mu sztylet z ręki, wysunął do połowy z pochwy, po czym znów podetknął pod nos. Ostrze umazane było gęstą, brązową cieczą, która cuchnęła jak rozkładające się ciało.

- Co to jest? - zapytał zdziwiony Leochares, patrząc na płynące po metalu ciemne, gęste jak żywica krople.

- Trucizna, bardzo mocny, bardzo - odparł Scyta, obnażając szerniałe pieńki zębów w szerokim uśmiechu. Leocharesowi przeszło przez myśl, że jego oddech cuchnie chyba jeszcze gorzej niż sztylet. - My brać wąż, jadowita, i wkładać go do garnka, on później martwy. Potem dolewać ludzka krew, ziemia, gówno i mieszać, i czekać. Jedna kropla zabijać.

- Aha - Leochares wsunął ostrożnie sztylet z powrotem do pochwy - dzięki... Będę go nosił przy sobie, no i mam nadzieję, że się nie zatnę. A, i jeszcze jedno, czy znaleźliście tego Andanosa?

- Karyjczyka? Tego od Dourisa? Nie.

- No nic, trudno się mówi. Dzięki jeszcze raz za sztylet.

- Pewnie. Do zobaczenia.

Leochares podniósł z ziemi miskę z bulionem. Zupa nadal była gorąca - zaczął



dmuchać, żeby ją chociaż trochę ostudzić, ale przy pierwszym głębszym oddechu poczuł ostre klucie w boku. Odchylił się do tyłu, oparł o ścianę i przez jakiś czas patrzył tępo na przesuające się powoli oka tłuszczu. Burczało mu w brzuchu, do ust ciekła ślina; jak zawsze na kacu miał wilczy apetyt. Nie mógł już wytrzymać, więc podniósł miskę do ust, upił trochę - i sparzył się w język. Przez chwilę miał ochotę cisnąć naczyniem o ścianę, powstrzymał się jednak.

- Leochares? - usłyszał głos Demoklesa.

- Tu, tu jestem! - zawołał.

- Nie było cię w domu, Lydike nie wiedziała, gdzie jesteś, to tu przyszedłem. Coś się stało?

- No, takie tam pijackie przepychanki - machnął ręką Leochares. - Całe szczęście bogowie byli po mojej stronie... Mów lepiej, czego tobie się udało dowiedzieć.

- Nie było łatwo - odparł chłopak. - Najpierw rozpytywałem się na agorze, nikt nic nie wiedział, nie słyszeli o żadnym Pegazie, tylko jeden facet mi powiedział, że znał kiedyś takiego jednego, który tak nazwał swojego konia, ale to było ładnych parę lat temu, więc stwierdziłem...

- Błagam - jęknął Leochares. - Potem mi to wszystko opowiesz, a teraz do rzeczy!

- Jak sobie chcesz. No, jest jedna łódź rybacka, na którą mówią Pegaz, nie wiem czemu, ale to chyba nie jest ważne, w każdym razie od dwóch dni nie było jej w porcie.

- No, oby to było to... Wedle tej notki Filoksenosa mamy czas do południa. Dobra, ja muszę pogadać z Myrine, a ty byś może poszedł do jego żony? To nie powinno długo trwać, będę zaraz z powrotem, a później pójdziemy wszyscy do portu. Albo nie, pożyczymy od kogoś wóz, bo mam już dosyć zapieprzania tam i z powrotem, porobiły mi się odciski wielkie jak winogrona.

- No, niech będzie, zaraz się za to wezmę - powiedział Demokles, kładąc się na sienniku. - A ta zupa to czyja? Bo umieram z głodu.

- A, może być twoja - odparł Leochares, spoglądając na parującą nadal miskę. - Smacznego.

- Fajnie. No to do zobaczenia.

- Jeszcze jedno...

- Tak?

- Dzięki za pomoc, mały.

Leochares poderwał się i pewnym, energicznym krokiem ruszył ku wyjściu; stojąc na progu, pomachał jeszcze Demoklesowi. Jednak gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, oparł

się ciężko o ścianę i raptownie wypuścił z płuc powietrze. Teraz, kiedy z głowy wyparowały mu wino i podniecenie, złamane żebro bolało dużo bardziej; czuł, jakby miał w brzuchu zaszytą brzytwę. Najgorzej było przy oddychaniu. Początkowo wydawało mu się, że najlepiej będzie łąpać głębokie hausty raz na jakiś czas, ale po paru próbach okazało się, że częste, płytkie oddechy są dużo mniej bolesne.

Ruszył powoli w stronę domu Myrine, dysząc jak zmęczony upałem pies. Przypomniała mu się historyjka o małym Spartiacie, który nie chcąc, żeby wydało się, że ukradł małego lisa, schował go pod płaszczem. Kiedy wypytywano go o zwierzaka, chłopiec do niczego się nie przyznawał, aż wreszcie padł martwy: lis, próbując się wydostać, rozerwał mu brzuch i wygryzł wnętrzności. Spartanie stawiali takie zachowanie za wzór - lepiej umrzeć, niż się poddać! - co Leocharesowi zawsze wydawało się szczytem głupoty. Poza tym, co trzeba mieć nie tak pod sufitem, żeby w ogóle chcieć ukraść lisa?

Dzielnica, w której mieszkała Myrine, była biedna i zaniedbana. Domy były poprzekrzywiane, ze ścianami umazanymi schnącym, kruszejącym błotem i upstrzonymi pleśnią. Spomiędzy popękanych dachówek wyrastały całymi pękami jakieś chwasty, pod okapami wisiały rzędy starych jaskółczych gniazd. Bocznymi uliczkami przechadzały się wychudzone kozy, które z tępą obojętnością skubały rzadkie kępki pokrzyw.

Ulica prowadząca do domu Myrine biegła nad brzegiem Eridanosu. Rzeczka, która już za czasów jego dziadka służyła za synonim brudu i smrodu, w ostatnich miesiącach zdawała się jeszcze bardziej odpychająca. Jej kolor przeszedł z zielonkawoniebieskiego w brunatny, na brzegach, już wcześniej usianych kośćmi i skorupami, zbierała się żółtawa piana. Nieświeży zapach unoszący się nad korytem ustąpił miejsca słodkawemu, gęstemu odorowi, który wyciskał łzy z oczu. Mimo to jakieś kobiety wciąż przychodziły czerpać tu wodę - trudno było zgadnąć, do czego mogła im się taka breja przydać - a biedacy brodzili zanurzeni po kolana, z zaostrzonym kijkiem w ręku, wypatrując w mętnej wodzie ryb.

Leochares zatrzymał się w pół kroku - zauważył, że wśród porastających brzeg trzciny bieleje ludzka czaszka. I tak czuł, że musi odpocząć, postanowił zrobić sobie przerwę. Kucnął - kolejne ukłucie bólu w boku; syknął - i przekręcił czerep patykiem na bok. W jednym z oczodolów siedział świerszcz, który teraz, wystraszony, skoczył na oślep przed siebie, lądując w rzeczce. Przez chwilę unosił się na powierzchni, przebierając panicznie nóżkami, po czym zniknął pod wodą. Ciekawe, pomyślał Leochares, przenosząc wzrok z powrotem na czaszkę, skąd się tu wzięła? Cmentarz przecież leżał w dół Eridanosu, za Kerameikosem. Może wypłukało ją z jednego z tych starych grobów, pełnych dziwacznych rzeczy, na które się czasem trafiało, pogłębiając piwnicę albo kopiąc studnię? Albo to kawałek jakiegoś

świeższego trupa, którego parę lat temu ktoś porzucił w szuwarach?

Przeszło mu przez myśl, że coś takiego właśnie mógłby zrobić z ciałem Filoksenosa - porąbać na kawałki i wrzucić do rzeki albo zawinąć w koc i zostawić w jakimś rowie. Byłoby to na pewno prostsze, niż spotkać się z Myrine i wytłumaczyć jej, co się stało. Nie, powiedział do siebie po cichu, nie mógłbym tego zrobić. Zabić kogoś, czy raczej przyczynić się do jego śmierci, to jedno, ale skazać go na tułaczkę między światem żywych a światem umarłych, w wiecznej pustce i zimnie, byłoby skurwysyństwem najgorszego rodzaju. Co z nim się będzie dalej działo, zdecydują bogowie.

Dom Myrine wybijał się na tle okolicznych ruder - miał świeżo pobielone ściany, był przykryty nowymi, jaskrawoczerwonymi dachówkami. Leochares stanął pod drzwiami, westchnął - ostre klucie z lewej strony - i zapukał. Druga w ostatnich dniach wizyta zapowiadała się jeszcze gorzej niż pierwsza.

- Tak? A, to ty - powiedziała Myrine, otwierając drzwi. Słysząc było, że nie cieszy się z jego odwiedzin.

- Tak, ja. Mogę wejść?

- A o co chodzi?

- No, mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

- Tak? A ta dobra to jaka?

- Nie ma już potrzeby, żeby Filoksenosa pozywać do sądu.

- O, to dobrze, bogowie! No, a zła?

- Wiesz, może lepiej wejdźmy do środka.

\*\*\*

Myrine płakała długo. Na początku łkała cicho, połykając łzy, ale potem rozkleiła się zupełnie - trzęsło nią, twarz miała wykrzywioną jak maska, jaką zakładali aktorzy grający w tragedii. Leochares nigdy nie wiedział, jak zachować się w takich sytuacjach; tym razem nie było lepiej. Początkowo stał tylko obok, chciał coś powiedzieć, pocieszyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu położył jej dłoń na ramieniu, ciężko, niezgrabnie. Po jakimś czasie kobieta uspokoiła się trochę; oddychała głęboko, krztusząc się, jakby przed chwilą skądś przybiegła.

- Przykro mi - wydusił z siebie wreszcie. - Ale sam to na siebie ściągnął. Po pierwsze dlatego, że zadał się ze Spartanami, a potem... Wiesz, zginął z własnej ręki.

- Ja... Nie wiem, czemu tak zareagowałam... My nawet nie byliśmy specjalnie blisko, rzadko się widywaliśmy - powiedziała Myrine, ocierając twarz z łez. - Ale jak usłyszałam, co

się z nim stało, to coś we mnie pękło, przecież to był taki dobry człowiek, on by nic takiego nigdy...

- Co do tego nie ma wątpliwości, zdradził. I przyznał się.

- Ale jak? Czemu? To straszne...

- Miałem nadzieję, że może ty coś będziesz wiedziała - odparł Leochares. - Może coś ci kiedyś mówił o polityce, o wojnie?

- Wiem, że nie znosił Peryklesa...

- No dobrze, teraz to pół Aten go nie znosi, ba, ja mam go czasem dosyć. To musiało być coś więcej, przypominasz coś sobie?

Myrine podniosła leżącą na stole ścierkę - chyba przerwał jej sprzątanie - i głośno wytarła nos. Potem przez chwilę patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie, oddychając ciężko. Wreszcie, kiedy Leochares miał już powtórzyć pytanie, odezwała się; mówiła z początku cicho, potem nerwowo, coraz głośniej i szybciej, jakby chciała zdążyć przed kolejną falą płaczu.

- Tak... Masz rację. To było chyba jeszcze w zeszłym roku. Byliśmy na weselu kuzynki, Filoksenos trochę wypił, wiesz, on nigdy nie znał umiaru, i się rozgadał. Tego samego dnia był na Zgromadzeniu, wysłuchiwali jakichś ludzi z Samos czy Melos, którzy narzekali na ateńskich kleruchów\*.

- Pamiętasz, co konkretnie powiedział?

- Poczekaj... - odparła, międląc w rękach ścierkę. - No, wydaje mi się, że mówił, że Ateńczycy dostają najlepszą ziemię, że sądy zawsze im przyznają rację i że nawet za czasów Persów płacili mniejszą daninę. Filoksenos był wściekły, mówił, że nie po to nasi dziadowie walczyli pod Maratonem, żebyśmy teraz udupiali, o, tak właśnie powiedział, udupiali wszystkich dookoła. I powiedział, to pamiętam bardzo dobrze, bo mi wstyd było, ludzie się na nas patrzyli, że to hańba, że budujemy te wszystkie świątynie ze składek sojuszników, że za cudze pieniądze to się kurwy, za przeproszeniem, mogą stroić.

- Coś jeszcze?

- Nie, nie przypominam sobie.

- Tak... Bardzo ci dziękuję, i przykro mi, że to wszystko się wydarzyło.

- Nie twoja wina. - Myrine machnęła ręką. - To cały Filoksenos, tak się wpakować w kłopoty. Jak byliśmy mniejsi i inni chłopcy coś kombinowali, on zawsze się w to łądował, a potem pierwszy dostawał po łbie. Jak kiedyś poszli jabłka kraść, oczywiście tylko jego złapali i... - głos jej się urwał; otworzyła parę razy bezgłośnie usta jak wyciągnięta z wody ryba, zaszklily jej się oczy.

- Myrine...

- Idź już - przerwała mu; łzy znów ciekły jej po policzkach. - Idź i zostaw mnie, nie przychodź, ja już mam dość tej waszej polityki, tej wojny.

Leochares nic nie odpowiedział; podniósł się, poprawił himation i podszedł do drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Znajdź tego, który go w to wciągnął, proszę, niech on też zapłaci.

- Dobrze. Obiecuję.

\*\*\*

Mimo że do południa zostało jeszcze trochę czasu, upał był już nieznosny. Ludzie pochowali się w cieniu, we własnych domach albo tawernach. Powietrze było rozedrgane, co sprawiało, że nawet budynki zdawały się słać w tej spiekocie. Dobrze, że wziąłem kapelusz, powiedział do siebie Leochares, odgarniając z czoła zlepione potem kosmyki włosów.

Wóz jechał powoli, kolebiąc się i skrzypiąc. Ciągnęły go dwa wychudłe woły; parły przed siebie z wytrwałością i obojętnością, jakie znaleźć można tylko u zwierząt, które nie pamiętają, ile kroków już przeszły, i nie mogą wiedzieć, ile jeszcze przed nimi. Nad ich łbami unosiły się chmary much, które wlażyły pod powieki i do nozdrzy, nie zważając na parsknięcia i strzygące uszy. Zresztą same woły robiły to chyba z przyzwyczajenia, bo nie było w tym żadnej energii ani nawet irytacji.

Leochares nie miał pojęcia, jak długo zajęło im dotarcie do portu. Próbował się zdrzemnąć - tak jak Demokles, który leżał w sianie, z łokciem na twarzy, osłaniając się od słońca - ale na każdym wyboju ból przeszywał mu bok, wybijając go ze snu. Kiedy wreszcie dojechali do Pireusu, czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż rano; miał ochotę schować się gdzieś z dala od słońca, zwinąć w kłębek i spać, spać aż do wiosny. Scytowie też byli znużeni, powoli zwlekali się z wozu; Scyles tupał miarowo z cierpiętniczą miną, próbując pozbyć się mrowienia w nodze.

Morze było idealnie gładkie, wyglądało na martwe i puste. Nad horyzontem kłębiły się jednak gęste sine chmury - cisza przed burzą. W porcie ruch był niewielki, na niektórych statkach marynarze klarowali liny, skręcając je w wielkie, węzowate zwoje, gdzie indziej ładowano towar - pękate amfory otulone sianem, kosze pełne fig, suszone ryby - ale na większości łodzi nie było nikogo poza mewami, które poobsiadały burty i reje.

Pegaz stał przycumowany na końcu kei, niedaleko wejścia do portu. Tak jak mówił Demokles, była to mała łódeczka, która swoje już wysłużyła - deski, z których była zbita,

wypaczyła wilgoć i pobieliała sól, rufę obrosły jakieś małe skorupiaki. Na pokładzie było dwóch mężczyzn, a trzeci - facet z krzaczastą czarną brodą, pewnie szef przemytników - stał na nabrzeżu i rozmawiał z jakimś urzędnikiem portowym; widać dopiero co wpłynęli do portu.

Kiedy zbliżali się do łodzi, brodacz obrócił wzrok w stronę Leocharesa - i zamarł na chwilę, nie dłuższą niż uderzenie serca; w jego oczach widać było zaskoczenie i strach. Urzędnik coś jeszcze mówił, ale brodacz już nie słuchał - złapał go błyskawicznie za ubranie i cisnął nim o ziemię. Potem zawołał coś do swoich towarzyszy, którzy natychmiast chwycili za wiosła, a sam wziął się za rozsypywanie cumy.

- Hej - wrzasnął Leochares, zrywając się z trudem do biegu. - Zatrzymajcie ich! To szpiedzy, spartańscy szpiedzy!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, łódź odbiła już od brzegu; przemytnicy wiosłowali zacięcie, ale zbyt gorączkowo, płytko zanurzając pióra i rozbryzgując wodę. Jakiś młody chłopak wziął rozbieg i spróbował wskoczyć na Pegaza, zawisł jednak na burcie; brodacz dzielił go wiosłem przez głowę i wepchnął do wody. Łódka była mała i szybko nabierała pędu, lada moment mogła wypłynąć na pełne morze.

- Hej, wy tam! - Leochares krzyknął do dwóch osłupiałych rybaków, którzy przed chwilą zaczęli rozpakowywać pustawe sieci. - Za nimi, płyncie za nimi!

- Ale co? - zapytał jeden z nich, rozkraczony pomiędzy burtą a nabrzeżem.

Leochares nic nie odpowiedział - spojrzał nad głowami rybaków w stronę uciekającego Pegaza, zaklął i wskoczył do łodzi.

- Hej, co tu się dzieje...!

- Zamknij się! - ryknął Leochares. - Do wiosła, i ty drugi też! Za tamtą łodzią!

Rybacy posłusznie wzięli się do roboty, ale zanim zluźowali cumę, złapali wiosła i wsadzili je do dulek, Pegaz był już prawie na wysokości wejścia do portu; brodacz zaczął już stawiać żagle. Wreszcie rybacka łódeczka ruszyła, ale wolno, zbyt wolno. Leochares stanął na dziobie i wpatrywał się w malejącą rufę Pegaza, co jakiś czas pospieszając rybaków wrzaskami. W końcu nie wytrzymał, odepchnął jednego z nich od wiosła i sam za nie chwycił, zanurzył pióro w wodzie, szarpnął z całej siły - i natychmiast opadł z jękiem na pokład, łapiąc się za bok. Drugi rybak, wystraszony na śmierć, nie zwracał na nic uwagi i dalej wiosłował; łódka zaczęła kręcić się w kółko.

- No zróbcie coś! - zawołał Leochares do stojących na nabrzeżu Scytów. - Nie pozwólcie im wypłynąć, do kurwy nędzy, no!

Nim zdążył coś więcej powiedzieć, zasyczały cięciwy i strzały z furkotem przecięły

niebo. Pierwszy dostał brodacz, prosto w tchawicę, zakręcił się dwa razy jak bąk, rypnął o burtę i z pluskiem wleciał do wody. Tuż potem, właściwie jednocześnie, strzały dosięgły jego kompanów. Jeden został trafiony w twarz, tuż nad nosem, drugi między żebra; upadli głucho na pokład, wiosła zaklekotały i opadły. Leochares obejrzał się zdziwiony - Scyles z uśmiechem wyciągnął zakrzywiony, ząbkowany nóż, szykując się do skalpowania.

\*\*\*

- Wiesz, nie całkiem o to mi chodziło - powiedział Leochares z przekąsem, kiedy ściągnęli już Pegaza do brzegu. - Wiem, że ze słownictwem nadal u was cienko, ale „zatrzymać” to nie to samo co „zabić”.

- Pfff - prychnął Scyles, wyciągając strzałę spomiędzy żeber jednego z marynarzy. - Czepiać się. Chciałeś łódka zatrzymany, to jest zatrzymany, jak mieliśmy nie zabijać, to mówić jasno. Oskarżenie, szlachetni współobywatele, jest całkowicie bezpodstawne.

- Co? - wykrztusił Leochares ze zdumieniem; był przekonany, że się przesłyszał. - Co ty właśnie powiedziałaś?

- Nie słyszałeś tego jeszcze? - powiedział rozbawiony Demokles. - Oni ostatnio pilnowali porządku na obradach sądu i Scyles podłapał to zdanie, ciągle je teraz powtarza.

- Sami, mężowie Aten, oceńcie, czy rzekłem prawdę - wygłosił z dumą Scyles, cyzelując każde słowo.

- Dobra tam, nie mądrzyj się, przedstawicielu sił porządkowych. - Leochares z trudem powstrzymał się od śmiechu. - Nakazuję ci ze skutkiem natychmiastowym rozpoczęcie poszukiwań podejrzanego przesyłki.

- Co? - zapytał Scyles.

- Rusz tyłek na dół i szukaj paczki dla Proteusza, i to szybko, bo zaraz będzie łać.

Scytowie zeszli pod pokład; słychać było, jak coś przesuwają, wyłamują deski, tłuką naczynia. Leochares czuł, że powinien pójść z nimi, ale na samą myśl o schylaniu robiło mu się niedobrze; złamane żebro nie dawało mu spokoju. Trudno, pomyślał, szukając jakiegoś wygodnego siedzenia, niech się chłopcy wykażą, a ja sobie odpocznę. Usadowił się na rufie Pegaza i obserwował łódkę urzędnika portowego, który wraz z dwoma niewolnikami szukał trupa brodacza. Stanęli tuż przy wejściu do portu i raz po raz rzucali kotwicę, sondując dno. Przez długi czas wyciągali na powierzchnię tylko muł przemieszany z wodorostami i kawałkami podartych sieci. Wreszcie jednak zahaczyli o coś ciężkiego - widać było, że niewolnicy z trudem wyciągali kotwicę; łódka, na której stali, przechyliła się mocno na bok. W końcu na powierzchni pojawił się brodacz, wielki i siny; spod ubrań wypęzły mu

węgorze. Był tak ciężki, że urzędnik też musiał sobie ubrudzić ręce; dopiero we trzech udało im się wciągnąć go na pokład.

Nadchodziła burza. Najpierw zaczęło kropić; woda uderzała delikatnie i miarowo w słomkowy kapelusz Leocharesa, *kap, kap, kap*. Na zarzuconym na ramiona płaszczu zbierały się kropelki wody - kiedy im się przyjrzał, widział w nich swoją twarz, maszt statku, sine chmury, wszystko malutkie i dziwnie wygięte - które na początku były nie większe niż pestka jabłka, ale potem rosły, nabrzmiwały, aż wreszcie robiły się zbyt ciężkie, odrywały się od tłustej tkaniny i spływały w dół. Deszcz przybrał szybko na sile i pojedyncze kapnięcia zwały się w nieustanny szum. Plamy krwi, które upstrzyły pokład Pegaza, najpierw z ciemnoczerwonych stały się różowawe, po czym zniknęły zupełnie. Tafla wody, przed chwilą zupełnie gładka, marszczyła się teraz pod naporem ulewy; niebo przecięła długa, potężna błyskawica, chwilę potem rozległ się ogłuszający grzmot. Jakiś przechodzień idący od strony miasta zarzucił płaszcz na głowę i pobiegł w stronę najbliższej tawerny, przeskakując nad kałużami.

- Ej, chłopcy, długo jeszcze? - zawołał Leochares, otulając się płaszczem.

- Tu nic nie jest! - odrzyknął mu Scyles. Po chwili wystawił głowę na pokład i wrzucił ramionami. - Tylko amfory z wino!

- Nie wątpię, że na nie zwróciliście uwagę w pierwszej kolejności - mruknął Leochares, podnosząc się. - Zaraz sam się rozejrzę.

Zszedł powoli pod pokład, opierając się o ścianę. Scytowie rzeczywiście przerzucili łódź do góry nogami - zerwali podłogę, przewracali kamienie balastowe, pocięli na kawałki bele siana i słomy. Leochares obszedł jeszcze raz całą łódź, próbując nie wejść w strumienie wody, które ściekały w równych rzędkach między deskami pokładu. Rzeczywiście, nic, tylko amfory z winem, poukładane w stojakach.

- I co? - zapytał Demokles z nadzieją. - Widzisz coś?

- Nie, nic... - powiedział Leochares, trącając nogą kupkę siana. - Ale to przecież mogło być coś bardzo małego. A poza tym mogli tę przesyłkę wyrzucić do morza, żeby się pozbyć dowodu.

- I co teraz?

- Nie wiem. Na początek wyłóżcie te amfory na nabrzeże, łatwiej będzie nam się tu dokładnie rozejrzeć.

- No, ale ta burza... - zaczął Demokles.

- Proszę cię, nie denerwuj mnie. Jak nie chcesz zmoknąć, to idź się gdzieś schowaj i nie zwracaj mi głowy.



- Mały ma racja - powiedział cicho Scyles. - Po co wystawieć się na gniew bogi.

- Zaraz się wystawisz na mój - warknął Leochares. - Amfory na nabrzeże, już.

Na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. Zerwał się porywisty wiatr, Leochares musiał przyciskać kapelusz do głowy, żeby mu nie odleciał. Deszcz zaczął teraz z boku, chłuszcząc policzki, wciskając się do oczu. Scytowie wykładali na kei kolejne amfory. Szło im powoli: kulili się przy każdym grzmocie, spoglądali nerwowo na niebo. Leochares miał ochotę ich opieprzyć, ale wiedział, że nic by to nie dało. Czasem po prostu zachowywali się jak dzieci, niczego im nie można było wtedy wytłumaczyć. Bali się burz i pajaków - mimo tego, że sto razy im mówił, że w Atenach żaden nie jest na tyle jadowity, żeby groziło im cokolwiek więcej niż lekkie swędzenie - a na widok padalców wpadali po prostu w przerażenie. Kiedyś Leochares wrzucił Scylesowi jednego za kaftan - ot tak, żeby mu udowodnić, że nie ma się czego bać. Cóż, Scyta nie docenił tego żartu - rzucił się na ziemię i tarzał jak oszalały, próbując jednocześnie zerwać z siebie ubranie. Tydzień się potem do niego nie odzywał.

Wreszcie Scytowie wynieśli ostatnią amforę; Leochares wszedł z powrotem na Pegaza. Ostukał maszt - nic, głuche puknięcie, żadnej skrytki. Obszedł burty, szukając jakiejś luźnej deski, którą dałoby się odsunąć, większej szczeliny. Nic. Zszedł pod pokład, przerzucił walającą się na ziemi słomę, zajrzał pod stojaki, przeszukał worki z prowiantem. Szlag by to trafił, wycedził Leochares, ani śladu. Ciało dwóch przemytników przeszukał już wcześniej, grubasa też, nie mieli przy sobie nic ciekawego - ot, parę luźnych sznurków, które zawsze się mogą przydać na łodzi, nóż, haczyki na ryby.

Leochares zszedł z łodzi; silny podmuch wiatru prawie zrzucił go z trapu. Podszedł do leżących na kei amfor, kucnął przy jednej z nich. Coś było nagryzmołone na brzuscu, ale deszcz rozmazał już prawie całkiem litery. Leochares pochylił się nad naczyniem, aż niemal dotykał go nosem, i wbił wzrok w rozpluwający się napis.

- „Wino Arystydesa z Kos” - wydukał wreszcie powoli - „Trzy drachmy”. - To samo było napisane na wszystkich kolejnych amforach. Poza jedną. Leochares otarł wodę z twarzy, podniecony, zaczął gorączkowo czytać. - „Wino... Wino Teleklosa z Kos, trzy drachmy”. No tak - burknął pod nosem - zajebicie.

Usiadł ciężko, zrezygnowany - zdał sobie sprawę, że wsadził tyłek prosto w kałużę, ale w końcu i tak był cały mokry. Schował twarz w dłoniach, westchnął. O co chodziło? Gdyby to była pomyłka, gdyby załoga Pegaza była niewinna, nie uciekaliby tak przed nim, ba!, nawet by nie kojarzyli, kim jest. Leochares spodziewał się, że Spartanie będą próbowali przesłać Proteuszowi to samo co ostatnim razem - czyli garnuszek ze złotym „czymś”. Na

podstawie skorupy, którą Scytowie znaleźli na plaży w Faleronie, i tej z szopy w Kerameikosie, można było przypuszczać, że całe naczynie było mniej więcej wielkości pięści. Gdyby przemysłowcy rzucali je za burtę, zauważyłby to, a przecież ani na chwilę nie spuszczał Pegaza z oczu... *Kap, kap, kap*, deszcz uderzał nieprzerwanie o ziemię; piorun rozbłysł w kałużach.

- Leo, co ty robisz - usłyszał głos Demoklesa za plecami. - Jak niczego nie ma, to trudno, przecież od siedzenia tutaj nic się nie zmieni.

- Tak, masz rację - odpowiedział Leochares. - A... Poczekaj. Kim był Teleklos?

-... - powiedział coś Demokles, jego słowa zagłuszył grzmot.

- Jeszcze raz!

- Nie wiem, jakiś król chyba!

- Myśl! Król czego?

- Eee... Sparty? Tak, na pewno, Sparty, przypominam sobie, to ten, co zginął w bitwie!

Leochares zerwał się na nogi, rozejrzał się wokół siebie, szukając czegoś ciężkiego. Znalazł jakiś kamień, ale niezbyt duży, kiedy cisnął nim o amforę Teleklosa, odbił się od niej i wpadł do wody.

- Co ty robisz? - zawołał Demokles.

- Nieważne! Przynieś mi coś ciężkiego, ale raz-dwa!

Chłopak pobiegł w stronę pierwszej z brzegu uliczki. Leochares nie był w stanie czekać - próbował dźwignąć amforę i walnąć nią o ziemię, ale kiedy tylko napiął mięśnie, poczuł obezwładniający ból. Kopnął parę razy w brzusek naczynia, ale szybko doszedł do wniosku, że prędzej połamie sobie palce, niż coś wskóra. Wreszcie wrócił Demokles, niósł wielki, porośnięty mchem kamulec - szedł ciężko, sapiąc i kolebiąc się na boki jak gęś.

- I co teraz?

- Rzuć nim w tę amforę!

- Co?!

- Rób, co mówię!

Demokles podniósł kamień nieco wyżej, z wielkim wysiłkiem - drgały mu ramiona, stężała twarz - i upuścił go na naczynie, które momentalnie rozleciało się na kilkadziesiąt kawałków, rozbryzgując dookoła wino. Leochares przyklęknął i zaczął gorączkowo przerzucać skorupy. Po chwili wstał, ściskając w ręku jakieś zawiniątko.

- Ha! - wykrzyknął, wznosząc triumfalnie ręce nad głową. - Mam!

- Ale co? Co to jest?

- Nie mam pojęcia! Zobaczmy, jak się gdzieś schowamy - zdecydował Leochares. -

Nie wiem jak ty, ale ja już rzygam tym deszczem!

\*\*\*

Paczuszka zawinięta była w zszyte rybie pęcherze. Leochares naciął je wpierw nożem, a potem delikatnie ściągnął, próbując niczego nie porwać - mogły się w końcu jeszcze do czegoś przydać, na przykład na splawik. W środku znalazł pękaty dzbanuszek starannie obklejony grubą warstwą wosku i opatulony filcem.

- I co to być? - zapytał Scyles, pochylając się nad stołem.

- Nie wiem na razie, nie przeszkadzaj mi. Znajdź sobie jakieś zajęcie, o, na przykład przynieś mi inny ręcznik, bo ten capi jak stara ścierka.

Leochares odprowadził wzrokiem urażonego Scytę, po czym zabrał się za zeszkrobwanie wosku; po chwili stół był upstrzony żółtawymi wiórkami. Był podekscytowany, więc robił wszystko zbyt szybko; nóż mu się ślizgał, parę razy prawie się zaciął. Wreszcie trzymał w ręku oczyszczony dzbanuszek - był zrobiony z tej samej ciemnej, chropowatej gliny, z której wypalono skorupę z Faleronu i tę z szopy Proteusza; miał małą szyjkę i wąski wylew, zatkany korkiem. Na brzuku wyryte były jakieś szlaczki, podobne do tych, które widział wcześniej.

- Garnek w garnku - powiedział Demokles, odkładając grzebień. Odkąd wrócili, próbował rozczesać skołtunioną przez wiatr i deszcz czuprynę, stękając przy każdym wyrwanym włosie. - Jak oni to zrobili?

- Prosta sprawa - odparł Leochares, strzepując ze stołu wosk. - Musieli wsadzić ten dzbanek do amfory, zanim ją wypalili, a potem włąli do środka wino, żeby ważyła tyle samo co inne. Wosk i rybie pęcherze chroniły go przed wilgocią. Cwane.

- No dobrze, ale co jest w środku?

- Pewnie to złote „coś”, zaraz zobaczymy co...

Leochares wyciągnął korek i przechylił lekko dzbanek; na stół posypał się drobny, skrzący się proszek. Na pewno nie było to prawdziwe złoto - ziarenka były kruche, zbyt lekkie. Leochares pochylił się nad blatem, pociągnął lekko nosem, ale nie poczuł żadnego zapachu.

- I co to jest? - spytał niecierpliwie Demokles.

- Nie wiem, pierwszy raz to coś widzę... Ale mogę się założyć, że to trucizna.

- Skąd wiesz?

- Pomyśl - odparł Leochares. - Przecież ten cały Proteusz truje na prawo i lewo: Niobe, ten koleś, który udawał trupa, ja, Elpis... Skądś przecież musi tę truciznę brać. Poza

tym co innego miałoby to być? Dzbaneł piasku mu przesłali? Zresztą zaraz się przekonamy, pójdiesz na agorę i kupisz jakąś kurę, żebyśmy mieli na czym tę trutkę wypróbować, a potem skoczysz po Menekratesa.

- Chyba żartujesz! - zawołał Demokles, patrząc na niego z niedowierzaniem. - Dopiero co wyschłem!

- No, ciężkie życie. A teraz lecisz, raz-raz.

Demokles posłał mu spojrzenie pełne wyrzutu, westchnął z teatralną przesadą, ale w końcu wstał z krzesła. Wziął płaszcz Leocharesa - ciężki, z tłustej, nieoczyszczonej wełny, w sam raz na taką pogodę - i czerwoną scytyjską czapkę z baraniej skóry, okutał się skrętnie, po czym zebrał się do wyjścia. Prawie zderzył się w drzwiach ze Scylosem, który wrócił z nowym ręcznikiem. Leochares podziękował mu, wyprosił go delikatnie za drzwi i położył się na sienniku; słoma zachręściła pod jego ciężarem.

Był przemęczony. Kleiły mu się oczy, nie był w stanie utrzymać prosto głowy; nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Próbował nie zasnąć - wiedział, że powinien skorzystać z tej wolnej chwili, żeby przeanalizować, co się dzieje. Przede wszystkim, pomyślał, osuszając ręcznikiem brodę i wąsy, Proteusz musi mieć jakiegoś szpiega blisko mnie. Inaczej nie wiedziałby, że będę jadł u Dourisa, i nie mógłby mi tam podać trucizny ani nie wiedziałby, dokąd posłać zabójcę wczoraj wieczorem. Kto to może być? Scyles albo któryś z jego chłopaków - na pewno nie, przecież Scytowie są tak prostolinijni i lojalni, że nie byliby w stanie tego zrobić. Demokles - niemożliwe, chłopak się w nim podkochał, to było widać. Eufnanor był dla niego jak dziadek, jego też mógł wykluczyć; Douris ciągle tylko siedział w domu, narzekał, żarł i pierdział w stół, poza tym, tak samo jak Menekrates i Sokrates, nie mógł wiedzieć, gdzie był i co robił wczoraj w nocy. Więc kto? Kręciło mu się w głowie od imion i twarzy, myśli rwały się jak stara pajęczyna. Każde kolejne słowo przechodziło mu przez głowę z coraz większym trudem, niczym wóz, który grzązł w błocie. W końcu poddał się i zasnął.

\*\*\*

Na początku kuna wyglądała, jakby miała zaraz zwymiotować - charczała i rzeziła, jej ciałem co chwila wstrząsały gwałtowne torsje - ale z gardła wyciekała jej tylko gęsta, spieniona ślina. Potem zaczęła rzucać się po klatce, jakby postradała zmysły - obijała się o ściany, gryzła kratki. Wreszcie padła na ziemię i zaczęła rozpaczliwie trzeć łapkami o pysk, jak gdyby próbowała coś z niego wyciągnąć. Po chwili wybałuszyła oczy, wydała jakiś dziwny gardłowy odgłos i znieruchomiła.

- Tak, to ta sama trucizna - powiedział Menekrates, zbliżając twarz do klatki. - To musi być ten złoty pył, o którym czytałem u Hekatajosa z Miletu...

- Powiedziałaś: złoty pył?

- Tak, to podobnie ulubiona trucizna Persów.

- Złoty pył... Wszystko się wyjaśniło. Ile dałeś kunie tego syfu? - spytał Leochares, tłumiąc ziewnięcie.

- Tyle, co mieści się na opuszce palca.

- Aha. To ile zabiłoby człowieka?

- Szybko? Szczypta.

- To po co Proteuszowi aż dzbanek? Chce wytruć całe Ateny?

- No, tego ci już nie powiem. - Menekrates zatykał naczynie korkiem. - I tak powinieś mi dziękować, że się tu pofatygowałem. Widzisz, mężczyzna nie powinien łązić po deszczu. Naszym naturalnym pierwiastkiem jest ogień i wystawianie się na wodę, w swojej naturze wilgotną i kobiecą, naraża...

- Nie teraz, proszę cię, nie teraz - uciął Leochares. - Dziękuję ci bardzo za pomoc, ale nie mam teraz głowy do tych twoich mądrości. Jak już tu jesteś, to pogadaj ze Scylesem, jeden z jego chłopaków ma ciągle rozwolnienie.

- Ach, to banał. Oczywiście, trzeba u niego wywołać wymioty, i zaraz ozdrowieje.

- Skoro tak mówisz. Jeśli ci się to przyda, to oni strasznie nie lubią sosów rybnych.

- Tak? - powiedział Menekrates, wychodząc z pokoju. - No to zaraz mu dam kubek do wypicia.

- I co? - zapytał Demokles, kiedy za lekarzem zamknęły się drzwi.

- Przede wszystkim mi powiedz, po co kupiłeś kunę - zwrócił się do niego Leochares, otwierając klatkę. - Nie było czegoś jeszcze droższego, nie wiem, jakichś ptaków z Etiopii? Przecież ci mówiłem, żebyś przyniósł kurę.

- Kiedy tylko ten facet z kunami jeszcze w ogóle był na agorze! - obruszył się Demokles. - Tak leje, że wszyscy pozwijali kramy, on też się już pakował. Zresztą taniej mi ją sprzedał, bo powiedział, że jest chora.

- Tak tanio, że ci wystarczyły trzy obole?

- No, tak tanio to nie - powiedział Demokles, drapiąc się po głowie. - Ale akurat wpadłem na Eufanora i pożyczył mi jeszcze dwa.

- To pamiętaj, żeby mu oddać - powiedział Leochares. - Bo on jest strasznie małostkowy, jeśli chodzi o pieniądze. Raz się na mnie obraził, bo mu nie oddałem kasy za jedno jajko, naprawdę. Dobra, chodź, wywalimy to truchło, nie mogę na nie patrzeć.

Przeszli przez główną salę, gdzie Menekrates próbował ulżyć choremu Scycie. Najwidoczniej pierwsze próby podjęcia kuracji były nieudane - Menekrates był cały uwalany sosem, na podłodze leżała potłuczona miska, a rzucającego się pacjenta przytrzymywało dwóch innych barbarzyńców. Chłopak musiał być wymęczony chorobą - był blady i zmizerniały, z podkrążonymi oczami - ale mimo to walczył z godną podziwu wytrzymałością; głowę odkręcił do tyłu tak mocno, że wyglądał, jakby chciał pocałować swój własny kark. Menekrates próbował go uspokoić i kojącym głosem tłumaczył mu, skąd się biorą zatrucia i czemu należy odblokować go i z drugiej strony. Leochares wątpił, żeby przyniosło to jakieś skutki - poza Scylosem mało który ze Scytów znał więcej niż kilkanaście słów po grecku i na pewno nie było wśród nich wielosylabowych terminów, którymi uwielbiał operować Menekrates.

Wyszli na podwórze; przestało już padać. Kopiec popiołu, który Scytowie usypywali z taką pieczołowitością, pod naporem deszczu osunął się i zamienił w czarną, buchającą dymem breję, z której wystawały nadpalone kości i potłuczone gliniane figurki. Leochares odsunął stopą leżący na wierzchu zwilgotniały popiół i wrzucił do środka zdechłą kunę; poczuł po chwili kręcący w nosie zapach palonej sierści.

- Wiesz - powiedział, patrząc, jak wąsy zwierzątka skręcają się i bieleją pod wpływem żaru - jednego nie rozumiem. Jak Proteusz otruł Elpis? Mówię ci, ona siedziała, gręplowała wełnę i po prostu nagle padła na ziemię. Nic przy mnie nie jadła, nic nie piła, a przecież ta trucizna działa natychmiast.

- Ale przecież z Niobe chyba było tak samo - przypomniał Demokles. - Mówiłeś, że ona też po prostu weszła do siebie do pokoju i chwilę potem nie żyła.

- Niby tak, ale mnie przy tym nie było, może jednak coś zjadła albo wypiła, tylko nikt o tym nie pamiętał. Ale Elpis... Po prostu siedziała, rozmawiała za mną i pach!, poleciała na podłogę.

- No i co teraz?

- Muszę pójść do Peryklesa. Teraz nam się udało, przechwyciliśmy tę truciznę, ale skąd mam wiedzieć, że nam się to uda następnym razem? Przecież takim dzbankiem można wytruć kilkadziesiąt osób...

Demokles nic nie powiedział, szturchał tylko zwały popiołu pogrzebaczem, mechanicznie i bez żadnego celu. Widać było, że chłopak jest przejęty - przełykał nerwowo ślinę, zbladł, mrugał, jakby coś mu wpadło do oczu. No tak, pomyślał Leochares, może wreszcie zdał sobie sprawę, że to, co robimy, to nie zabawa, jakaś fajniejsza wersja berka dla dorosłych, tylko że tu chodzi o życie ludzi, setek ludzi...

- Idziesz ze mną? - zapytał Leochares.
- Nie, wiesz, jakoś się średnio czuję.
- No, to skorzystaj, że jest tu Menekrates, może już skończył z tym chłopakiem.
- Nie, aż tak chory to na pewno nie jestem...
- Jak sobie chcesz - rzucił na pożegnanie Leochares.

\*\*\*

Wszystkie ulice były upstrzone kałużami, ziemia rozmiękła i wciskała się między palce stóp. Całe tuziny zwabionych wilgocią dżdżownic wylazły na powierzchnię i pełzły gdzieś w sobie tylko wiadomym celu. Ateńczycy korzystali z tego przebudzenia i wypuścili z domów kury, które dziobały teraz gorączkowo, rekompensując sobie chude tygodnie. Ptactwa pilnowały dzieci, które jednak bardziej niż drobiem interesowały się możliwościami, które otwierała rzadka w Atenach pogoda - skakały w kałuże, próbując się nawzajem ochlapać, robiły kulki z błota, odciskały umazane dłonie na ścianach. Jakiś zadbany starszy pan, który dotychczas z zaskakującą zwinnością meandrował po ulicy, omijając kałuże, zachwiał się, popchnięty przypadkowo przez piegowatego podrostka, i runął na ziemię. Kiedy dźwignął się na nogi, pognął za nieostrożnym dzieciakiem, bluzgając przy tym w sposób wyjątkowo fantazyjny, choć nieprzystający do dostojnego wieku.

Leochares dotarł wreszcie do domu Peryklesa, zatrzymał się pod drzwiami. Wszystko go bolało, ten krótki spacer go wymęczył: czoło miał skropione potem, z trudem utrzymywał równy, płytki oddech, który pozwalał mu tłumić ból w boku. Wreszcie zapukał, ktoś zawołał, żeby wszedł. Wytarł stopy o leżącą na progu szmatę - sądząc po jej kolorze, nie był pierwszym gościem.

Wręczył płaszcz odźwiernemu, który przywitał go niemym skinieniem, i przekuśtykał w głąb domu, omal nie przewracając dwóch amfor panatenajskich\*, które jakiś praszczur Peryklesa zdobył kilkadziesiąt lat temu w biegach. Przeszedł przez dziedziniec, gdzie niewolnicy przygotowywali się do łatania dachu - Leocharesowi przeszło przez myśl, że u niego w domu burza pewnie też naszkodziła - i ruszył w stronę pierwszego pokoju z lewej, gdzie zazwyczaj pracował Perykles.

-...racji, bo czy żona może być idealna, jeśli nie ma idealnego męża? - usłyszał głos Aspazji.

- Zależy, co rozumiesz przez idealnego... - tym razem doszedł go męski głos. Aha, pomyślał, Sokrates przyszedł na nauki.

- Przepraszam, że przerywam wasze dywagacje - powiedział Leochares, stając w

progu. - Ale gdzie jest Perykles?

- Dzień dobry, Leocharesie - powitała go Aspazja z przesadną słodyczą w głosie.

- Dzień dobry, Aspazjo, dzień dobry, Sokratesie - odparł Leochares, wyginając usta w uśmiechu.

- Tak dużo lepiej. Jest w pokoju z drugiej strony dziedzińca, ćwiczy jakąś mowę. Co ci się stało?

- Nic takiego. Z tobą też muszę pogadać.

- Za chwilę. Jak widzisz, rozmawiam z Sokratesem o mężu idealnym, a z tego, co słyszałam, to nie możesz nam tu posłużyć nawet w charakterze przykładu, że o dyskusowaniu nie wspomnę.

- No cóż, ja przynajmniej jestem czyimś mężem. - Leochares nie zdejmował z twarzy uśmiechu. - Bo jako byle nałożnica o tym, czym zajmuje się żona, możesz przecież wiedzieć tylko ze słyszenia.

- Posłuchałabym też i twojej żony, ale ty przecież nigdy nie wypuszczasz jej z domu.

- Aspazjo, wracając do naszej rozmowy... - przerwał cicho Sokrates.

- Tak, właśnie, na czym stanęliśmy?

Leochares już nie słuchał; wyparował z pokoju. Głupia zdzira, mruknął. Ona musi pochodzić w linii prostej od Pandory, same z nią kłopoty. Zawsze wie wszystko lepiej, jest najpiękniejsza, najmądrzejsza, najdowcipniejsza i bogowie wiedzą co jeszcze; konkurs na sikanie na odległość też by pewnie wygrała. Założę się, pomyślał, że ta wojna to jej projekt, Perykles sam by na coś takiego nie wpadł; pewnie ta mała ruda żmija sączyła mu do ucha te pomysły, kropelka po kropelce, aż wreszcie zaczęło mu się wydawać, że to jego własny, genialny plan.

Perykles stał tyłem do wejścia i perorował. Jedną rękę miał zawiniętą w himation, drugą, zgiętą, trzymał z tyłu - w końcu dobremu mówcy nie wypadało machać rękoma w powietrzu jak byle baba. W kącie pokoju, na małym stoliku o lwich nóżkach odlanych z brązu stała wodna klepsydra - najprostszy model, taki, jakiego używa się na Zgromadzeniu: garnuszek z wąskim lejkiem u dołu, który prowadził do małej miseczki; kiedy skapnęła do niej ostatnia kropla, należało przerwać mowę. Leochares wiedział, że Perykles ma jeszcze jeden zegar wodny, dużo piękniejszy - wykuty w bryle górskiego kryształu i osadzony w złotej ramie - ale odmierzał czas trochę inaczej, więc nie nadawał się do ćwiczeń.

-...wszak nawet jeśli Glaukos nie jest winny akurat tego występu, szlachetni mężowie, to czy nie powinniśmy i tak go ukarać za jego pychę i zarozumialstwo?

- Eee... Perykles? Możesz na chwilę przerwać?



- Któż z was, obywatele - kontynuował Perykles, pokazując Leocharesowi, żeby siedział cicho. - Kto miał z nim do czynienia, nie czuł jego pogardy? Któż nie poczuł się dotknięty jego dumą, godną perskiego satrapy? Co gorsza, Glaukos nie traktuje tak tylko was, szlachetni mężowie, lecz również swoją najbliższą rodzinę. Sekretarzu, przeczytaj zeznania brata Glaukosa, Timajosa z demu Cholargos...

Leochares spojrział znów na zegar. Denko miseczki ledwo było zakryte wodą, co oznaczało, że Perykles może jeszcze gadać i gadać, do zmierzchu albo i dłużej. Był dobrym mówcą, więc w normalnych okolicznościach Leochares z przyjemnością by go posłuchał, ale teraz nie miał na to czasu.

- Słuchaj, to naprawdę ważne. Możesz?

- Dobrze, już dobrze - odparł. - Poczekaj, tylko zakorkuję zegar. Bogowie, Leo, jak ty wyglądasz! Bardziej obita facjatę to mógł mieć już chyba tylko Hektor, kiedy Achilles zmęczył się targaniem go dookoła Troi. Jakież bakchantki próbowały cię rozerwać na strzępy?

- Blisko. Nie bakchantki, tylko jakiś oprych, i nie rozerwać, tylko wypatroszyć.

- No dobrze, a co z tym całym Prometeuszem?

- Proteuszem.

- No, mniejsza.

- Nie złapaliśmy go. Ale przechwyciliśmy drugą przesyłkę.

- Tak? I co to jest?

- Trucizna. Dość, żeby zabić nawet i sto osób.

- Sto?! - Perykles oswobodził rękę z himationu i złapał się za głowę. - Jesteś pewien?

- Tak twierdzi Menekrates.

- Niedobrze, niedobrze - mówił Perykles, chodząc od ściany do ściany. - Chcą tu nam urządzić hekatombę, skurwysyny! Oczywiście, pewnie znów spróbują przerzucić mu tę truciznę, i jakby ci się miało wtedy nie udać... Dobra, koniec żartów. Czego potrzebujesz, żeby wreszcie znaleźć tę spartańską gnidę?

- Przede wszystkim trzeba zaostrzyć kontrolę w porcie i na bramach też. Nie dalej jak parę dni temu dowiedziałem się, że jeden ze strażników wychodzi sobie poza miasto i zrywa gałązki dla swojej babki handlarki, żeby miała z czego wianki pleść; takie rzeczy nie mogą się dziać, miasto ma dziury wielkie jak w sieci na tuńczyki. No i potrzeba mi jeszcze ludzi, bo Scytowie Scylesa nie nadają się do wszystkiego.

- Dobrze, Aspazja wypisze ci wszystkie upoważnienia. Nie daj teraz ciała, dobra?

- Zrobię, co się da.

- I jak sytuacja u nas się uspokoi - powiedział Perykles, zawijając znów prawą rękę w fałdy himationu - to wykombinuj, jaki prezent my im możemy sprawić. Nie wiem, na przykład podburzyć im helotów albo chociaż rozpuścić ploty, że ich kapłanka Artemidy gzi się ze świątynnym niewolnikiem.

- Dobra, coś wymyślę.

- No, to do zobaczenia. Aha, jutro w tej nowej sali przy Propylejach robię sympozjon, może do nas dołączysz? Tylko weź własny kubek, bo dostawa, którą zamówiłem, chyba nie dotrze na czas.

- Nie żartuj - machnął ręką Leochares. - Prędzej bym przepłynął wpław na Salaminę, niż wdrapał się w tym stanie na Akropol; jak chodzę, to tak mnie w boku napieprza, że widzę gwiazdy.

- Twoja strata! Będą tancerki, akrobatki i rzecz jasna flecistki, i to oczywiście takie, co to się na żadnym instrumencie nie wstydzą zagrać, rozumiesz...

- Jakoś przeżyję - odparł Leochares. - Do zobaczenia.

\*\*\*

Wychodząc od Peryklesa, Leochares nieomal wpadł na jakąś starowinkę. Szła zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię, nic dziwnego, że go nie zauważyła. Zwrócił jej uwagę - ot tak, w dobrym duchu i z uśmiechem, żeby na siebie uważała. Kobieta odwróciła się; Leochares spojrział na nią i wzdrygnął się. Widział już takie twarze. Skóra cienka jak pergamin, wystające kości policzkowe, oczy małe i nieobecne, zapadnięte głęboko w czaszce, które nie rozpoznawały już ludzi, tylko szukały jedzenia. Choć przed chwilą nie zauważyła stojącego przed nią dorosłego mężczyzny, Leochares był pewien, że wypatrzyłaby najmniejszy okruszek, ziarenko czy kosteczkę, drobinki, które uniosłaby na plecach mrówka. Mogła nie zwracać uwagi na smród łachmanów, w które była owinięta, ale czuła, co skrywa kuchnia każdego mijanego domu, gdzie kto wędzi ryby, a gdzie gotują groch. Staruszka miała twarz umazaną błotem, musiała wygrzebywać już coś dziś z ziemi, może jakiś kawałek placka, zgubiony przez dziecko, albo może dżdżownicę, którą przegapiły kury.

Leochares widział już takie twarze, na wojnie. Kiedy poddawało się oblegane miasto, wylegały ich tysiące. Dzieci o wzdętych brzuchach, niepotrafiące albo niemające siły się już uśmiechać, kobiety, które zamiast makijażu miały na policzkach grubą warstwę brudu, poprzecinaną śladami łez, wychudzeni mężczyźni, których twarze ginęły w zapuszczonych, pozlepianych brodach. Mimo tego, że nie wiedzieli, co się z nimi stanie - czy darują im życie, czy zdziesiątkują, czy wymordują wszystkich, czy sprzedadzą w niewolę - nie widać w nich

było strachu. Nie patrzyli żołnierzom w oczy ani na obnażone miecze ociekające jeszcze krwią, tylko na jedzenie - kawałek podpłomyka, który ktoś trzymał w ręku, wypychające sakwę jabłka, worki z prosem dla koni.

Leochares podszedł do staruszki, zadał jej parę pytań - u kogo mieszka, dokąd idzie - ale nic mu nie odpowiedziała, nie była w stanie. Wyjął z torby jakieś resztki jedzenia - czerstwy kawałek chleba, który miał wyrzucić dla ptaków i ciągle o nim zapominał, jakieś orzechy, na wpół wyschnięte, pomarszczone jabłko. Kobieta rzuciła się na te ochłapy, oblizując suche, spękane usta. Nie mógł na to patrzeć, jak tak je jak zwierzę, jak pies; odszedł. Pomyśleć, że to była czyjaś matka, czyjaś córka... Ciekawe, jaka jest jej historia? Czy przyszła ze wsi i nie znalazła nikogo, kto by ją przygarnął, krewni zatrzasnęli jej drzwi przed nosem? Czy kiedy jej syn nie wrócił na jesień z wojny, rodzina żony wywaliła ją na bruk?

Tak, trzeba będzie się odwdzińczyć Sparcie, pomyślał gorzko, chociaż to nie będzie proste. Mało miał w Lakonii kontaktów, ciężko było kogokolwiek zwerbować. Większość Spartan była tak głęboko przekonana o własnej wyższości, że nawet rozmowę z Ateńczykami uważała za plamę na honorze. Nie sposób ich też było przekupić - wszyscy latają tam w takich samych zgrzebnych ciuchach, bez biżuterii, wino piją od wielkiego święta, to na co mieliby wydać pieniądze? Heloci śmiertelnie bali się podjęcia współpracy, zresztą trudno byłoby im cokolwiek zwojować, skoro nawet nie mogli wychodzić w nocy z domów. Cudzoziemców żyło tam mało; Spartanie byli chorobliwie nieufni wobec obcych i rzadko kiedy pozwalali im osiedlić się w swoim mieście... A zresztą, co to było za miasto? Pamiętał, jaki szok przeżył, kiedy był tam po raz pierwszy, z jakimś poselstwem, parę lat temu. Byle latryna w Atenach wyglądała dostojniej niż ich świątynie, a rzeźb nie było prawie w ogóle; domy wyglądały jak pobielone szopy. Nie mieściło mu się w głowie, jak oni mogli być tak potężni i mieszkać w byle norach.

Dotarł do domu Scytów. Zapowiadało się, że wreszcie będzie mógł się wyspać, chociaż trochę odpocząć. Zanim Proteusz zorientuje się, co się stało, zanim da znać Spartanom, a oni zorganizują nową przesyłkę, minie ładnych parę dni, a jak będzie miał szczęście, to może i dwa tygodnie. Będzie miał względny spokój - cokolwiek planują, potrzebna jest im do tego trucizna i bez niej nie ruszą. W tym czasie dobierze się Proteuszowi do dupy - Perykles wreszcie zrozumiał, jaka jest skala zagrożenia, dał mu więcej pieniędzy i ludzi, obiecał zastosować się do jego zaleceń. Nawet jeśli do Aten dotrze kolejna porcja „złotego pyłu”, nie będzie kto miał jej odebrać.

Otworzył drzwi, wszedł do środka. Dwóch Scytów uprawiało zapasy, reszta stała wokół nich i coś wrzeszczała w tym ich gardłowym, szorstkim języku. Wyglądało to zupełnie

inaczej niż w ateńskich gimnazjach. Zapaśnicy rozebrani byli tylko od pasa w górę, a spodnie mieli nadal na sobie; żadne tłumaczenia, że przecież tak jest niewygodnie, do nich nie trafiały. Ponadto nie smarowali się oliwą i, jak to oni, nie uznawali żadnych zasad - wszystko było dozwolone, z wsadzaniem palców w oczy i gryzieniem włącznie. Leochares chciał ich wpierw opieprzyć - na pewno mieli lepsze rzeczy do roboty - ale dał sobie spokój, niech i oni sobie trochę odpoczną.

Wszedł do pokoju - i zamarł. W suficie ziała wielka dziura, stół był wywrócony, po truciźnie nie było ani śladu. Leochares chciał się wydrzeć, wrzeszczeć tak, żeby usłyszały go całe Ateny, z Pireusem włącznie, wyrzucić z siebie przekleństwa, od których zwiędłyby uszy marynarzom pijącym w tawernach, wreszcie osobiście połamać każdemu Scycie wszystkie kości, jednemu po drugim, a potem jeszcze sprać Demoklesowi tyłek rzemieniem tak, że nie mógłby na nim usiąść do końca życia. Nie miał na to siły. Oparł się o ścianę, osunął na ziemię, schował twarz w dłoniach i zapłakał.

## η

Już świtało, trzeba było się spieszyć. Nóż przejechał po szyi, z łatwością rozcinając skórę i krtań. Z rany buchnęła krew, zalewając dół prawie po brzegi; ziemia, wciąż wilgotna po wczorajszym deszczu, nie była w stanie jej wchłonąć. Byk zaryczał jeszcze chrapliwie, próbował się wyrwać trzymającym go mężczyznom, ale szybko tracił siły. Wreszcie upadł, jego owinięty złotą folią róg zarył w błoto, a wieniec zsunął się ze łba i wpadł w dziurę pełną parującej krwi; stokrotki z białych stały się czerwone.

Dwaj mężczyźni, którzy przytrzymywali wcześniej zwierzę, zaczęli je teraz obdzierać ze skóry i ćwiartować. Leochares miał wrażenie, że stojący nad otwartym i parującym jeszcze brzuchem kapłan wzdrygnął się, kiedy zobaczył wnętrzności. Nic jednak nie powiedział; ludzie nie chcieli teraz słuchać złych wróżb. Chwilę później byk był już pocięty na kawałki, mięso nabito na rożny, a tłuszcz i kości wrzucono do ognia, jako ofiarę dla bogów. Leochares śledził uważnie każdy ruch kapłana i jego pomocników, przypatrywał się, co robią z rękoma, czy nie wcierają czegoś w mięso, nie dosypują do wina. Nie zauważył nic podejrzanego - chociaż oczywiście nie mógł wykluczyć, że wino zatruto już wcześniej, zanim w ogóle rozpoczęto składanie ofiary, ale na to nic już nie mógł poradzić. Kiedy jedzenie było gotowe, poczekał jeszcze parę chwil i obserwował biesiadników - głównie biedaków, którzy byli gotowi zerwać się z łóżek w środku nocy, byle tylko przypomnieć sobie, jak smakuje mięso, jak to jest mieć pełny żołądek. Słońce wznosiło się coraz wyżej - najpierw tylko lekko wychynęło zza dachów, a w chwilę później zaczęło przemalowywać całe miasto na jasne kolory - a nikt nie upadł pod stół, nikt nie krztusił się ani nie charczał. Ulga. Tym razem się udało. Leochares dosiadł się do reszty biesiadników - w końcu jeśli jedzenie nie było zatrute, to i on mógł skorzystać z okazji, żeby się najeść za państwowe pieniądze. Niestety, zostały już same żylaste ochłapy, które trzeba było żuć w nieskończoność. Po chwili namysłu wybrał kawałek żebra, do którego przyczepione było jeszcze trochę mięsa, i zaczął je obgryzać, trawiąc jednocześnie w myślach poprzedni, koszmarny wieczór.

Kiedy po przerażającym odkryciu doszedł do siebie - a zajęło mu to dobrą chwilę - zaczął szukać śladów, czegoś, co pozwoliłoby mu dopaść Proteusza i odzyskać truciznę. Najpierw spojrzał do góry. Dziura była wystarczająco duża, by mógł przez nią wejść dorosły mężczyzna. Leochares nie miał najmniejszej ochoty znów łązić po dachach, ale nie miał wyboru; tym razem poruszał się jednak na czworakach, i to powoli. Nic ciekawego nie udało mu się znaleźć, jedyne, co tkwiło między dachówkami, to mech i ptasie gówno. Potem zaczął

rozpytywać ludzi. Okazało się, że pewien żebrak, który spędzał całe dni przy studni po drugiej stronie ulicy, zapamiętał, że jakiś facet wszedł na dom Scytów i coś tam majstrował. Nie zaciekawilo go to - był przekonany, że ten ktoś latał po prostu dziury po burzy, w końcu miał nawet ze sobą wiklinowy kosz pełen dachówek - a poza tym i tak nie mógł mu się za bardzo przypatrywać, bo sępił od przechodniów pieniądze, udając ślepcę. Nie był też w stanie powiedzieć, jak ów intruz wyglądał, bo jego twarz skryta była w cieniu rzucającym przez szerokie rondo słomianego kapelusza.

Leochares rozejrzał się po okolicy i doszedł do wniosku, że na dom Scytów najłatwiej przejść z budynku przylegającego od południowej strony - miał płaski dach, na który można było wejść od środka, po drabinie; pamiętał, że mieszkający tam staruszkowie spali na nim w wyjątkowo upalne noce. Kiedy do nich zapukał, nikt nie odpowiadał; trzeba było wyważyć drzwi. W środku były dwa trupy, z szyjami rozciętymi od ucha do ucha - kobieta leżała tuż przy wejściu, w kałuży zakrzepłej krwi, mężczyznę znalazł w łóżku. Przy drzwiach stał też kosz z dachówkami, pewnie ten sam, o którym wspomniał żebrak. Wszystko układało się w całość. Proteusz, albo jakiś jego pomagier, musiał wiedzieć, że trucizna jest w domu Scytów. Kiedy zobaczył, że Leochares wychodzi, przystąpił do dzieła - zapukał do staruszków, otworzyła mu kobieta. Wcisnął jej jakiś kit, żeby wpuściła go do środka - może jej powiedział, że ma coś do sprzedania po okazyjnej cenie albo że chce przekazać prezent od syna - po czym poderżnął jej gardło, jak tylko się obróciła. Jej mąż spał, ale szpieg i tak postanowił go zabić, na wszelki wypadek. Potem wszedł po drabinie na górę - razem z dachówkami, żeby móc łatwo zbyć jakiegoś ewentualnego ciekawskiego przechodnia - i przeszedł na dom Scytów. Najważniejsze było pytanie, skąd wiedział, gdzie zrobić dziurę. Może był tam kiedyś i wiedział, gdzie zwykł przebywać Leochares. Może wcześniej stał pod oknami, słyszał, skąd dochodzą głosy jego i Menekratesa, i domyślił się, że tam pewnie została trucizna. Może miał szczęście. Albo, co najbardziej prawdopodobne, może ktoś mu powiedział, gdzie szukać... Reszta to banał - szpieg albo zszedł do pokoju, albo po prostu wyciągnął dzbanuszek ze złotym pyłem, sięgając jakimś bosakiem. Potem wyszedł tą samą drogą, przez dom staruszków, i zostawił kosz z dachówkami przy drzwiach - może coś go zaniepokoiło i uznał, że nie może się obciążać, że trzeba będzie uciekać, albo zwyczajnie nie chciało mu się go dźwigać. Leochares obejrzał dokładnie wszystkie dachówki - miał nadzieję, że może na którejś z nich znajdzie pieczęć producenta, to mógłby być jakiś ślad. Niestety, nic z tego - na jednej tylko był odcisk dziczej racicy, co oznaczało, że te dachówki suszono gdzieś pod miastem, ale to żadna poszlaka; przed wojną prawie wszystkie dachówki robiono pod Atenami.

Leochares resztę wieczoru spędził w domu, zastanawiając się, co zrobić. Szybko doszedł do wniosku, że nie ma sensu mówić Peryklesowi o tym, co zaszło, wściekłby się tylko i rzucał mięsem; w niczym by to nie pomogło. Wiedział, że Proteusz chce użyć trucizny - i to nie po to, by pozbyć się jednej osoby, ale kilkudziesięciu. Wiedział też, że mu się spieszy - inaczej nie zdecydowałby się na wparowanie do domu Scytów, przecież gdyby miał trochę mniej szczęścia, skończyłby pewnie jako kolejny kawałek płaszcza Scyleasa; widać czuł, że grunt zaczyna mu się osuwać spod nóg. Nie było więc czasu do stracenia, Proteusz musi działać szybko - pewnie uderzy już jutro, najpóźniej pojutrze. Pytanie tylko - gdzie?

Co ja bym zrobił, gdybym był na jego miejscu? - rozmyślał Leochares nad kielichem wina. Chciałbym na pewno zabić jak najwięcej osób naraz, oczywiście najłatwiej byłoby to zrobić, zatruwając jedzenie. Gdzie ludzie jedzą razem, w dużych grupach? No, w wielu miejscach, na przykład w byle domu, jeśli jest okazja, na przykład ślub albo stypa, a ponadto w tawernach. Leochares miał jednak wrażenie, że to byłoby za mało, że Proteusz chce więcej. Zgoda, gdyby wsypał ten cały złoty pył do pierwszego lepszego gara i strułby kilkudziesięciu przypadkowych Ateńczyków, ludzie by się wystraszyli, przybyłoby pewnie przeciwników wojny - albo i nie, może właśnie ludzie by wtedy zacisnęli zęby, stali się bardziej nieprzejednani? - ale nic więcej by się nie stało; na pewno niewarte by to było tego całego wysiłku i ryzyka. Proteusz zapewne chce zadać cios groźniejszy, który zdestabilizuje Ateny i je rozbroi, przynajmniej na jakiś czas. A zatem gdzie, gdzie by naprawdę zabołało?

Pierwsza możliwość to składane publicznie ofiary, które przecież zawsze kończą się wspólną biesiadą. Gdyby Proteusz zatrzał wszystkich obecnych, miałoby to straszny wydźwięk - ludzie zaczęliby mówić, że bogowie odwrócili się od Aten, że nieśmiertelni postanowili ukarać je za pychę. Przez tygodnie na Zgromadzeniu nie mówiłoby się o tym, dokąd wysłać triremy i jak wydać srebro wykopane w Laurionie, tylko kłócono by się, jak udobruchać bogów. Zanim Perykles zdołałby wszystkich przekonać, że to tylko mord Spartan - o ile w ogóle dałby radę, bo przecież dowodów nie byłoby żadnych - ludzie mogliby wpaść w histerię i wymusić rozpoczęcie pertraktacji pokojowych, których rezultaty na pewno byłyby bardzo dla Aten niekorzystne. Druga możliwość to tolos, gdzie stołowali się urzędnicy i ludzie szczególnie dla Aten zasłużeni - olimpijczycy, bohaterowie wojenni, a także potomkowie Harmodiosa i Aristogeitona. Zatruc ich - to byłby cios w symbol demokracji Aten, w dumę jej mieszkańców. Ponadto zaburzyłoby to funkcjonowanie państwa - przez jakiś czas nie działałby prytanejon, trudno byłoby przepchnąć cokolwiek przez Zgromadzenie. Kolejna możliwość to koszary w Pireusie - otrucie służących w porcie żołnierzy byłoby dla Aten bardzo groźne, osłabiłoby na jakiś czas obronę portu, a wówczas można by na przykład

podpalić szykowane do zimowania triremy albo wpuścić do przystani wrogie statki.

Oczywiście, nie mógł być w tych wszystkich miejscach naraz - ale też i nie mógł skorzystać z czyjejkolwiek pomocy. Nie miał wątpliwości, że ktoś go zdradził, inaczej Proteusz nie wiedziałby, że trucizna trafiła w jego ręce i gdzie jest przechowywana. Lista podejrzanych była krótka - przeciek wyszedł od któregoś ze Scytów, Demoklesa albo Menekratesa. Bolała go ta świadomość - wydawało mu się zawsze, że na Scytach może polegać, że nigdy by się na nich nie zawiódł, Menekrates był dobrym przyjacielem, a Demokles - kimś jeszcze bliższym. Nie mógł sobie teraz pozwolić na roztrząsanie, kto z nich jest wtyką, nie miał czasu, żeby ich przesłuchiwać. Ale kiedy się to wszystko skończy, pomyślał gorzko, znajdę tego fiuta i potnę go na kawałki tępym nożem... Na razie, nie pozostawało mu nic innego jak latać z jednego końca miasta na drugi, w nadziei, że będzie miał szczęście, że uda mu się powstrzymać tragedię.

Leochares wstał od stołu i otarł usta. Było mu niedobrze - może od mięsa, nie nawykł go przecież jadać o tak wczesnej porze, albo ze zdenerwowania i zmęczenia. Złapał się za brzuch, oparł się o stojące na poboczu ulicy drzewo i próbował uspokoić kotłujący się żołądek - ale na darmo, dopiero co przeżute kęsy podeszły mu do gardła, zwymiotował. Palilo go w ustach, łzy napłynęły mu do oczu; wydawało mu się, że w jedzeniu musiała być trucizna, że zaraz umrze. Po chwili doszedł jednak do siebie, otrzeźwiał, choć nadal czuł się okropnie; z ust spływały mu długie, lepkie nitki cuchnącej śliny, pękała mu głowa. Przyłożył twarz do kory, wilgotnej i zimnej, zamknął oczy, policzył do dwunastu - po czym ruszył przed siebie.

\*\*\*

Jedzenie w koszarach nie było najlepsze - Leochares pamiętał to bardzo dobrze z czasów, kiedy sam przechodził przez trening wojskowy. W wielkim brązowym kotle gotowano najpierw wywar na kościach albo kurzych łapkach, do którego wsypywano groch, fasolę i cieciorę. Potem dodawano pokrojoną w kostkę rzepę, kalarepę, marchewkę i cebulę, a także ziarna owsa. Czasem, zwykle w trakcie świąt, dorzucano też suszone na słońcu rybki albo posiekane podroby. Tę potrawkę gotowano codziennie rano i podawano ją żołnierzom trzy razy dziennie; do tego serwowano wino tak rozwodnione, że w smaku niewiele różniące się od deszczówki, i twardy, chrzęszczący między zębami chleb, który wypiekano chyba z trocin.

Leochares obserwował kucharzy krzątających się po koszarach Pireusu, wdychał zapachy unoszące się znad kotłów - i przypominał sobie swoje lata w wojsku, te wszystkie niezliczone razy, kiedy rozdziabywał łyżką tę okropną żołnierską paciaję, marząc o tłustym



węgorzu albo chociaż o kawałku ostrego wędzonego sera. Kiedyś, kiedy cały jego oddział miał już naprawdę serdecznie dość wspomnianej diety, wparowali rano do kuchni, przywiązali kucharza do krzesła i wmuszali mu tę potrawkę, łyżka po łyżce, aż mu wychodziła nosem. Oczywiście potem była straszna burda, mieli karne ćwiczenia, pobudki w środku nocy, inspekcje i inne takie, ale przez jakiś miesiąc czy dwa jedzenie było zauważalnie lepsze...

Dobrze go w tych koszarach znali - często załatwiał różne sprawy w porcie - więc nikt na Leocharesa nie zwracał uwagi ani mu nie przeszkadzał. Kiedy kucharze skończyli gotować, wyjął z kotła parę łyżek i dał je kręcącym się pod drzwiami psom - nic się nie stało. Potem poszedł obejrzyć stojące w magazynie amfory z winem, które przygotowane były na dzisiejsze posiłki. Wszystkie były jeszcze zatkane i zaklejone żywicą, pokryte pajęczynami; wyglądało na to, że nikt przy nich ostatnio nie majstrował. Mógł chyba zatem skreślić koszary z listy - po tym, jak gotowana w kotłach paciaja na dobre zgęstnieje, nie sposób już będzie w niej dobrze rozprowadzić truciznę. Wino z kolei mieszane jest w kilkunastu różnych kraterach - każdy oddział trzyma u siebie w kwaterach jeden i przynosi go na posiłki, niezwykle trudno byłoby wsypać złoty pył do nich wszystkich przy jednej okazji.

Kucharze wymietli żarzące się jeszcze węgielki z paleniska i wrzucili je do piecyka, po czym zakryli kocioł pokrywą, wielką jak tarcza jakiegoś giganta. Leochares już zbierał się do wyjścia, kiedy usłyszał za plecami cichy brzdęk. Udał, że nic nie słyszy; wyciągnął z torby zakrzywiony scytyjski sztylet i schował go pod płaszczem, wyostrzył zmysły. Kolejny dźwięk zza pleców - tym razem ciche skrzypnięcie, gdzieś na drugim końcu pomieszczenia. Leochares przymknął na chwilę oczy i wciągnął powietrze; między zapachem rozgotowanych warzyw i skwaśniałego wina wylał woń nieświeżego, wczorajszego potu.

Odwrócił się powoli, rozejrzył się. Pokój zastawiony był beczkami, stojakami na amfory, stołami i ławami, na ścianach wisały dziesiątki rondelków o wypolerowanych brzuścach, które puszczały zajączki po suficie. Niedobrze, przeszło mu przez myśl, zagracona ta kuchnia, łatwo się tu schować, zacziąć się. Jak wejść w ten gąszcz rzeczy, dostanę w łeb, nim się zorientuję co i jak; szczególnie w tym stanie, lecę z nóg.

Leochares rozejrzył się jeszcze raz po pokoju, po czym zerwał ze ścian warkocze czosnku i pęki ziół i wrzucił je do piecyka; po chwili wahania dorzucił też leżącą na stole kupkę zakrwawionego pierza i kurze łapki. Kuchnię natychmiast wypełniły kłęby duszącego, gryzącego dymu. Leochares, krztusząc się, wyszedł na zewnątrz i stanął przed drzwiami. Długo nie musiał czekać - po chwili usłyszał brzdęk upadających na ziemię garnków, czyjś kaszel. Z kuchni wybiegł skrywający w dłoniach twarz mężczyzna, albo raczej chłopak,

szczupły, wątłej budowy. Leochares próbował go zatrzymać, ale został odepchnięty i upadł na ziemię. Podniósł się szybko, zduszając w sobie ból, i rzucił się w pościg. Całe szczęście, chłopak musiał być jeszcze oszołomiony dymem, bo biegł niezdarnie, zygzakując. Leochares rzucił się do przodu, chwytając go za nogi; po chwili turlali się po ulicy, gryząc i szarpiąc. Wreszcie Leocharesowi udało się wspiąć na przeciwnika; uklęknął na jego ramionach, docisnął do ziemi i zaczął okładać pięściami po twarzy - raz, drugi, trzeci, aż czuł, że dłonie ma mokre od krwi, aż chłopak przestał się rzucać, przestał się w ogóle ruszać. Leochares opuścił wreszcie dłonie, zgarnął włosy sprzed oczu, spojrział w dół - i zaniemówił. Tej twarzy się nie spodziewał.

\*\*\*

- Lydike, przynieś jeszcze świeżej wody - powiedział Leochares. - Ta miska jest już cała czerwona od krwi.

Wycisnął gąbkę i rzucił ją na podłogę, po czym wytarł ręce o himation i oparł się o ścianę. Za dużo się ostatnio naoglądał krwi. Mdliło go od jej zapachu, wiecznie czuł jej posmak w ustach, miał wrażenie, że lepią mu się od niej dłonie - a to przecież tylko początek, w końcu mijał dopiero drugi rok wojny! Kiedy ostatnio poszli na wojnę ze Spartanami, trwało to, z krótkimi przerwami, bite piętnaście lat; nie ma co się łudzić, że tym razem pójdzie szybciej... To się nie może dobrze skończyć, pomyślał, do tego odoru krzepnącej krwi ściągają jakieś nieszczęścia i potwory, jak wilki, które podążają za odorem padliny...

- Panie - szepnęła Lydike - przyniosłam świeżej wody.

- Dziękuję, możesz sobie teraz odpocząć, nie będę cię na razie potrzebował.

- A... A czy on będzie żył? - zapytała niewolnica, patrząc na omdlałego chłopaka.

- Żartujesz? Nic mu nie jest, pewnie, że będzie żył. To znaczy na razie będzie, bo jak się okaże, że szpieguje dla Proteusza, to można mu już trumnę zbijać.

Lydike nic nie powiedziała, dygnęła tylko i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Na początku chłopak faktycznie wyglądał koszmarnie - cała jego twarz była spuchnięta i czerwona, a lewe oko miał tak podbite, że ledwo je było widać spod zwałów obrzękłej skóry. Teraz, kiedy go obmył, Leochares widział, że nie wyrządził mu tak naprawdę wielkiej krzywdy - ot, rozcięcia i siniaki, jak po zacieklej walce pankrationu; do wesela się zagoi.

- Co robiłeś w koszarach? - spytał Leochares, zanurzając znów gąbkę w wodzie.

- Ja tylko szukał jedzenia - stęknął Andanos; mówił niewyraźnie, przeszkadzała mu

pęknięta warga. - Ja nie jadł nic dwa dni, tylko się chował i był głodny, bardzo głodny. Poczuję jedzenie z kuchni i wszedł...

Leochares przyjrzał się Karyjczykowi. Wyglądał koszmarnie - i to nie tylko za jego sprawą. Miał brudne, pozlepiane włosy, śmierdział, był ubrany w jakieś postrzępione łachmany, których przyzwoity człowiek nie włożyłby nawet psu do kojca. Chyba mówił prawdę. Poza tym Leochares zdążył go już dokładnie przeszukać, niczego przy sobie nie miał, a już na pewno żadnej trucizny.

- Dlaczego wtedy uciekłeś?

- Ja się bał, ja się bał, że mi będzie krzywda, a ja nic nie zrobił... - wydukał chłopak.

- Dobrze, dobrze. Przypomnij sobie, co robiłeś, zanim wszedłeś do andronu? Ktoś ci dawał jakieś instrukcje, kazał ci zrobić coś dziwnego?

- Nie, panie, nic takiego...

- A może maczałeś w czymś palce? Ktoś ci coś wcierał w ręce?

- Nie, nie - zaprzeczył Andanos, kręcąc głową. - Nikt nic nie wcierał, ja tylko nalałem wino, a potem słyszy: trucizna, łapaj wypić trucizna, i ja wiedział, że będzie na mnie...

Przyjrzał się uważnie Karyjczykowi. Czoło miał zroszone potem, oczy zaszcze łzami, głos mu się łamał. Sprawiał wrażenie naprawdę przerażonego i zmęczonego, Leochares nie wyczuwał u niego kłamstwa - tym trudniej było mu zrozumieć, co się stało tamtej nocy u Dourisa. Jeśli to nie on próbował go zabić, to kto? I jak? Nic mu się w tej historii nie zgadzało, nie ząbębiało.

Poza tym zastanawiał się, co teraz ma z Andanosem począć. Zdawał sobie sprawę, że powinien zwrócić go Dourisowi - ale wiedział przecież, jak jego przyjaciel traktuje zbiegłych niewolników. Kilka lat temu uciekła od niego pewna młoda Persjanka - kupił ją dla żony, która traktowała ją okropnie, biła ją, wyśmiewała, kazała jej chodzić w łachmanach i spać w psiarni. Któregoś wieczoru dziewczyna pękła - nie mogła tego dłużej wytrzymać i po prostu wybiegła z domu. Była nieprzygotowana, nie wzięła pieniędzy i nie miała planu, bardzo szybko ją więc złapano. Douris kazał ją zakuć w kajdany, napiętnować rozpalonym do białości żelazem, i do tego pozwolił innym swoim niewolnikom ją gwałcić. W końcu dziewczyna popełniła samobójstwo, wyskakując z okna; jeszcze kilka tygodni później ściany od strony dziedzińca upstrzone były plamami po jej krwi. Być może Andanosa spotkałby lepszy los, w końcu był ulubieńcem Dourisa - chociaż w obecnym stanie mógł bardzo szybko wypaść z jego łask - ale i tak dostałby za swoje. Zresztą te awanse starego dziada musiały być dla niego obrzydliwe; w końcu Persowie i wszystkie pokrewne im ludy uważały miłość między mężczyznami za coś okropnego. Zgoda, myśleć tak to barbarzyństwo i głupota, ale

przecież mu się tego nie wytłumaczy.

- Dobra - powiedział Leochares, wstając. - Na razie zostaniesz u mnie w domu, do czasu kiedy wyjaśni się ta cała afera z trucizną.

- Dziękuję... - wyszeptał Andanos.

- Nie ma za co dziękować, nie myśl sobie, że cię tu czekają jakieś luksusy. Będziesz mieszkał w komórce pod schodami i nadal będziesz miał związane ręce. Lydike będzie ci dawała jedzenie i wносиła nocnik. I dobrze ci radzę, nie próbuj uciekać, nic lepszego na ulicy cię nie czeka. No a teraz spadam, i tak za dużo czasu tu zmarnowałem.

Wyszedł z domu, zamknął za sobą drzwi. Bogowie, westchnął, kręcąc głową, z każdym rokiem jestem coraz bardziej miękki.

\*\*\*

Mimo wczesnej pory w tolosie kłębiło się już mnóstwo ludzi - kupców, którzy sprzeczekali się o odważniki i przyszli je porównać z oficjalnymi miarami, które tu przechowywano, posłów ze sprzymierzonych miast, którzy przyjechali załatwić w Atenach jakieś sprawy, i oczywiście prytańców. Ci z nich, którym przypadł nocny dyżur, zwijali teraz sienniki, strzepywali koce, myli się; inni, którzy dopiero zaczynali swoją zmianę, rozkładali już na stołach dokumenty - woskowane tabliczki, zwoje, ostrakony - szykując się do pracy: prowadzenia rachunków, czytania raportów przysyłanych z garnizonów na wyspach, przygotowywania wniosków pod obrady Zgromadzenia.

Leochares też został kiedyś wylosowany\* do pracy w charakterze prytańca i wspominał ten okres okropnie. Codziennie przyłaziło do niego mnóstwo ludzi - najróżniejszego rodzaju frustratów, zgorzkniałych starców, a czasem po prostu wariatów, którzy wylewali przed nim swoje żale: a to że sąsiad w złym miejscu płot postawił, a to że Zgromadzenie powinno się zająć palącą kwestią brudnych latryn albo rozprawić z nieuczciwymi kupcami, którzy maskowali smród nieświeżych ryb, nacierając je rozmarynem. Kiedy nie musiał zajmować się interesantami, spędzał czas w archiwach, analizując sprawozdania finansowe. Ot, na przykład: z budżetu wydano tyle a tyle drachm na zakup smoły do uszczelniania statków w zeszłym roku, od tego czasu zbudowano dodatkowe siedem trirem, a ponadto podrożało drewno, więc w tym roku należy odłożyć na ten cel o tyle a tyle drachm więcej... Nuda, zupełna nuda, a do tego jeszcze Leochares kiepsko radził sobie z dużymi liczbami; za każdym razem wychodziła mu inna kwota, co doprowadzało go do szewskiej pasji.

Posiłki dla prytańców przygotowywano w małej przybudówce przylegającej do północnej ściany tolosu. Leochares poszedł tam, zagadał do kucharza - który właśnie kłął, na

czym świat stoi, bo okazało się, że w skrzynce fig, którą zamówił, ładne owoce są tylko z wierzchu, a reszta to zgniłki - i zaczął się rozglądać. Ciągłe się tu ktoś kręcił - a to jakiś prytan, którego żołądek zaczął ssać między posiłkami i przyszedł sobie wyszperać jakąś przekąskę, to znów hodowca świń, który upominał się o resztki dla swojej trzody, dostawcy, trzech kuchcików, którzy biegali bezustannie wte i wewte, a nawet posłowie, którzy z jakiegoś powodu uznali, że kucharz jest najlepszą osobą, którą można spytać o wskazówki na temat miasta. Innymi słowy, panował tu taki burdel, że Proteusz mógłby spokojnie dosypać truciznę do kotłów, śpiewając przy tym hymny na cześć Sparty, i nikt by go nie zauważył. Leochares uznał, że nie ma innego wyboru, jak zostać w kuchni tolosu na cały dzień. Całe szczęście, kucharz go nie znał, więc powiedział mu, że nie ma pieniędzy i szuka jakiegokolwiek pracy; po chwili siedział w kącie z kozikiem w ręku, kroił warzywa - i uważnie się rozglądał.

Czas upływał, spod jego noża spadały miarowo kolejne obierki, przykrywając w końcu całą podłogę. Początkowo Leochares śledził każdy ruch kucharza i jego pomocników, nasłuchiwał rozmów dochodzących zza ściany, podejrzliwie przypatrywał się podawanym potrawom. Teraz, pod koniec dnia, gapił się już tylko przed siebie, licząc sęki w deskach i plamy rdzy na patelniach. Nic się nie działo, zupełnie nic; marzył już tylko o tym, żeby doczekać ostatniego posiłku, przekonać się, że wszystko jest w porządku, i iść spać. Wyglądało na to, że Proteusz jednak jeszcze dzisiaj nie uderzy, pomyślał, albo może już to zrobił, tylko nie tam, gdzie przypuszczałem. Jeśli jednak nic się nie wydarzy, jutro trzeba będzie powtórzyć cały ten spacer - ofiara, koszary w Pireusie i reszta dnia przy obieraniu warzyw w tolosie... Na samą myśl robiło mu się słabo. Był tak zmęczony, że nie poczuł nawet, kiedy się zaciał. Kiedy wreszcie się zorientował, cała miska siekanej kapusty była już upstrzona krwią; wyglądało to makabrycznie, jak jakieś danie według przepisu Tantalosa. Ziewnął - długo, głośno, aż mu coś strzyknęło w zuchwie - i sięgnął po kosz buraków. No, pomyślał, jeszcze tylko załatwię tę zieleninę i będzie po wszystkim.

Nagle usłyszał skrzypnięcie zawiasów - kucharz otworzył drzwiczki do komórki, gdzie trzymano wino, rozejrzał się niespokojnie dookoła, zdjął fartuch, po czym wszedł do środka. Leochares poczuł, jak opuszcza go senność, jak trzeźwieją jego zmysły. Po chwili do składziku zbliżył się jeden z kuchcików - Leochares zwrócił już na niego wcześniej uwagę, bo mówił z jakimś dziwnym akcentem - i zapukał szybko trzy razy. Drzwi uchyliły się lekko, chłopak wślizgnął się szybko do środka, szczęknął ryglowany skobel. Leochares podniósł się i podszedł do komórki, najciszej, jak potrafił - opuszczając delikatnie stopy, wyczuwając grunt. Próbował znaleźć jakąś szparę, przez którą mógłby zajrzeć do środka, ale szczeliny pomiędzy deskami były starannie zatkanie mchem. Przyłożył do ściany ucho. Słyszał ich

głosy, ale nie zdołał rozróżnić słów, mówili zbyt cicho. Można było jednak wyczuć, że byli podekscytowani - ich głosy były szybkie, nerwowe. Podejrzane to wszystko, pomyślał Leochares, bardzo podejrzane...

Doszedł do drzwi, zapukał.

- Kto to? - zawołał kucharz, niespodziewanie wysoko.

- To ja, Leochares. Jeden z prytańców mówi, że przyszedli do nich jacyś posłowie z Samos i nie mają dla nich wina; otwórz drzwi.

- Już tu są? No dobra, za chwilę - warknął kucharz.

- Kiedy oni nalegają...

- Dobra tam, spieprzaj z powrotem do buraków, a im powiedz, że jeszcze moment wytrzymają, właśnie im wino doprawiam!

Posłowie, pomyślał nagle Leochares. No tak, to oczywiste! Jeśli padną tu trupem, na Samos mogą pomyśleć, że otruto ich naumyślnie, może spróbują się odłączyć... Nie było czasu do stracenia. Leochares wziął rozbieg i huknął barkiem w drzwi; trzasnęła framuga, puścił skobel.

Tego widoku się nie spodziewał. Kucharz stał oparty o ścianę, z podciągniętym pod brodę himationem. Spod wielkiego, włochatego brzucha wystawał gruby i sterczący członek, z wściekle czerwoną, lśniącą żołądźką. Przed nim, z brodą umazaną śliną i oczami wytrzeszczonymi jak spodki, klęczał jego pomagier.

- Popierdoliło cię?! - wrzasnął kucharz, naciągając z powrotem himation. - Co ty wyrabiasz?!

- Eee... ja... bo... - wybąkał Leochares i uniósł ręce w przeproszającym geście.

- Spieprzaj mi stąd, zbrojeńcu! Podglądać mu się zachciało! Do burdelu se idź! Już ja ci pokażę, niech no tylko znajdę swój tasak, jaja ci obetnę!

Leochares wziął nogi za pas; zwolnił dopiero po drugiej stronie tolosu, przy ławeczce, gdzie niedawno rozmawiał ze swoim teściem. Przystanął, odgarnął włosy z czoła - i wybuchnął histerycznym śmiechem; rechotał tak długo, aż zabrakło mu tchu, aż łzy pociekły mu po twarzy. Cała scena wydała mu się teraz przekomiczna - miał ciągle przed oczami minę obślinionego chłopaka, tak zdumionego, jakby zobaczył Atenę Fidiasza, która schodzi z piedestału, żeby pójść na agorę po zakupy, i tego kucharza, z penisem ledwo wystającym spod zwalów tłuszczu, podrygującym przy każdym jego wrzasku, jakby mu chciał wtórować. Przy takim kałdunie, pomyślał Leochares, zanim znów wybuchnął śmiechem, ten chłopak musiał mu chyba wsadzić nos w pępek, żeby ustami... Bogowie, i on ich wziął za szpiegów! Ach, co za parka, no po prostu Zeus i Ganimed! Swoją drogą, dzieciaki teraz już nie mają

żadnego wstydu - tak się poniżyć, żeby brać do buzi interes jakiegoś byle kucharczyny. Ciekawe, co za to dostał - garść orzechów w miodzie, dwa obole? Za jego czasów chłopcy serwowali takie pieśczoły tylko mistrzom olimpijskim, a i to niechętnie...

- A tobie co tak wesoło? - usłyszał głos Peryklesa zza pleców.

- Aaa... A, długa historia - powiedział Leochares, łapiąc oddech. Próbował powstrzymać się od śmiechu, ale nie dał rady; parsknął i opluł sobie brodę.

- Weź przestań, ludzie na ciebie patrzą jak na wariata.

- Taa... aak - sapnął Leochares. - Już... już mi przechodzi.

- Jakież interesy cię sprowadzają do tolosu?

- Wręcz przeciwnie, za sprawą pewnego interesu mnie właśnie stąd przepędzono.

- Co...? Zresztą nieważne. To jak, przychodzisz w końcu na mój sympozjon? Jak często się zdarza, że możesz się napić za państwowe pieniądze, co?

- Dzięki, ale nie...

- No, nie będziesz mógł mi potem zarzucić, że nie proponowałem. Jeszcze będziesz na siebie wściekły, jak ci opowiem, co się działo. A, i w końcu nawet dostaniemy te wazy. Szczerze mówiąc, odetchnąłem, bo tak sobie myślałem, że jak my nawet mamy problemy z tym, żeby załatwić na czas czterdzieści kielichów i trzy kratery, no to jak my chcemy wygrać tę wojnę, nie?

- Poczekaj. - Leochares nagle stracił ochotę do śmiechu, momentalnie stężała mu mina. - U kogo zamówiłeś te naczynia?

\*\*\*

Leochares był w Kerameikosie; nie pamiętał, jak ani którędy tam doszedł. Nie widział twarzy mijanych przechodniów, nie zauważył znajomego, który machał mu z okna, nie zwrócił nawet uwagi, że zaczęło znów padać. Nie słyszał nic poza ogłuszająco głośnym pulsowaniem krwi w skroniach; był zupełnie odcięty od swoich zmysłów, jego myśli były gdzie indziej, daleko od innych ludzi, poza rozplywającą się powoli w błoto ulicą. Ciało parło do przodu samo, instynktownie, jak jakieś tępe i obce mu zwierzę.

Widział Eufanora, który trzyma go za rękę, kiedy ojciec powoli zamieniał się w popiół na pogrzebowym stosie; jak połykając łyżę, podaje mu tarczę, kiedy wyjeżdżał na swoją pierwszą wyprawę wojenną, jak w blasku pochodni, w przekrzywionym wieńcu puszcza do niego oko, kiedy wnosi dopiero co poślubioną Lamię do domu. W uszach dzwonił mu jego śmiech, niski i rubaszny, w ustach czuł smak jego ulubionych ciasteczek z owsa i miodu. Nie mógł w to uwierzyć, nie mieściło mu się to w głowie. Ale nie mogło być inaczej. Wszystko

było już jasne.

Kiedy dotarł pod jego warsztat, zaczęło znów padać, deszcz bębnił coraz mocniej w dachówki. Eufranor stał przed wejściem, zaprzęgając osła do starego wozu o koślawych, nierównych kołach. Leochares doskonale pamiętał ten wóz, jeździł nim na wieś, zakopany w pachnącej latem słomie; pamiętał nawet i osła, teraz siwego i wychudłego, który przed laty tyle razy doprowadzał go do łez swoim uporem. Niewolnik Eufranora, chłopak, który malował tak piękne nagie kobiety, choć żadnej nawet nie dotknął, wkładał ostrożnie do wozu owinięte w pakuły wazy. Kiedy skończył, garncarz poklepał go po ramionach, zarzucił kaptur i wdrapał się na siedzenie.

- Cześć, staruszk - powiedział Leochares cicho, odrywając język od suchego jak wiór podniebienia. - Dokąd się wybierasz?

- O, witaj, Leo! A, wiozę Peryklesowi naczynia do sympozjonu, nie mówił ci?

- Mówił.

- Prawie się spóźniłem z tym zamówieniem, bardzo teraz ciężko o dobre barwniki do robienia farb, jednak co wojna, to wojna, nie?

- Mogę zobaczyć? - poprosił Leochares, ocierając wodę z twarzy.

- Zobaczyć co?

- Jakiś kielich, z tych dla Peryklesa.

- No, Leo, normalnie to nie miałbym nic przeciwko, ale rozumiesz, spieszę się, jak się spóźnię z dostawą, to...

- Proszę - wyszeptał Leochares; prawie zagłuszył go deszcz.

- Słuchaj, nie wygłupiaj się...

- Zrób, co mówię.

Eufranor spojrzał mu w oczy, długo, niechętnie. Wreszcie westchnął, złapał jeden z kielichów, odwinął go.

- Zadowolony?

- Daj. Obejrzę go.

Kielich był piękny, jak zawsze - idealnie symetryczny, o pięknych proporcjach. Z zewnątrz pomalowany był tylko firmisem, smoliście czarnym, lecz lśniącym jak metal. Jedyna dekoracja była w środku, na dnie. Na małej, smukłej kolumience stała Sfinks - dumna, wyniosła, o pięknych, żółtawobiałych skrzydłach. Obok niej, na kamieniu, przysiadł Edyp - w szerokim kapeluszu, wysokich sandałach, z elegancką, spiczastą bródką. Najwyraźniej Sfinks już zadała pytanie, a Edyp się zastanawia. Jeśli odpowie poprawnie, będzie mógł iść dalej, jeśli nie - jego kości będą niedługo bieleć przed wejściem do jaskini. *Kap, kap, kap*. Duże



krople deszczu skapywały do kielicha i spływały szybko po śliskich ściankach, zbierając się na dnie.

- Spartaczyłeś robotę - powiedział powoli Leochares. - Zobacz, ta żółtobiała farbka, której użyłeś do pomalowania skrzydeł, rozpuszcza się w wodzie.

- To nie ja malowałem, tylko mój niewolnik. Za stary już jestem, żeby ładnie malować, oczy już nie te, wiesz przecież.

- I co, nie sprawdzałeś, co on robi? Przecież sam pamiętam, jak mi mówiłeś, że białego, niebieskiego i żółtego używa się tylko w tych wazach, które idą do grobu, bo za szybko się łuszczą. „Trupom będzie jutro wszystko jedno”, tak to chyba powiedziałeś. To on się tego nie nauczył przez te trzy miesiące, jak u ciebie pracuje?

- Widzisz, tak to jest, jak się człowiek spieszy; mieliśmy mało czasu na to zamówienie, no i taka wtopa. Może nikt nie zauważy, co?

Leochares spojrział na Eufranora. Na brodzie, okalającej jego okrągłą buzię, deszcz osadził setki malutkich, okrągłych kropelek; na osłoniętym kapturem czole wykwitły dużo większe krople potu. Uśmiechał się, jak zawsze: szeroko, przecinając twarz zmarszczkami. Ale oczy wyrażały co innego, były niecierpliwe i zimne.

- Masz - powiedział Leochares, podając mu kielich. - Pij.

- Mam deszczówkę pić? - zapytał Eufranor podenerwowanym tonem. - O co ci chodzi?

- Możliwe, że o nic. Pij. Inaczej cię stąd nie puszcę.

*Kap, kap, kap.*

Eufranor nie mówił nic przez chwilę, spojrział na Leocharesa, potem na kielich. Wreszcie wziął go w ręce, przybliżył do ust, przechylił, przełknął.

- No i co, zadowolony? - spytał staruszek. - Dasz mi wreszcie spokój?

- Tak... Ja... - odpowiedział Leochares ze zdziwieniem, ale i ulgą. - Przepraszam, nie wiem, jak w ogóle...

- Dobra, nie mam teraz czasu na twoje głupoty. Do widzenia.

Odepchnął go, chlasnął osła leszczynowym kijkiem, mocno, na odlew. Kiedyś ta bestia zaczęłaby się rzucać i rzeć, teraz od razu karnie ruszyła z miejsca, drobiąc kroki. Ale to było za mało, widać Eufranorowi się spieszyło - smagał osła raz za razem, wyciskając pręgi w mokrej skórze, aż wprawił go w trucht. Koła z trudem jechały po rozmiękłym gruncie, już po chwili oblepione były grubą warstwą błota. Wreszcie, co nietrudno było przewidzieć, wóz się zakopał, rozbryzgując wokół gliniastą breję. Leochares splunął w ręce i ruszył w stronę fury, w końcu trzeba było staremu pomóc. I wtedy Eufranor spadł z kozła, uderzając w ziemię z

głośnym klaśnięciem.

- Eufnanor? - zawołał Leochares. - W porządku?

Cisza. Nie rusza się. Leochares podbiegł do starca, obrócił go na plecy. Cały był umazany jasnobrązowym błotem, do twarzy przykleił mu się liść.

- Aghhhr - wychrypiał Eufnanor. - Szybko... szybko działa to paskudztwo... Miałem nadzieję, że jeszcze zdążę do Peryklesa, zanim...

- Czemu?! - wrzasnął Leochares, szarpiąc garniarza za płaszcz. - Czemu to zrobiłeś?!

- Nie rozumiałbyś - stęknął; widać było, że mówienie przychodzi mu z coraz większym trudem. - Źle cię ojciec wychował, a ja już tego nie naprawiłem.

- Powiedz mi, czemu!!!

- Za ideał - powiedział stary cicho, uśmiechając się lekko. - Za wolność, za sprawiedliwość. Rozejrzyj się. Zobacz, co się dzieje z Atenami. Kim się staliśmy. Tyranem. Łupimy. Gwałcimy. Swoich. Gorzej niż Persowie.

- Nie wierzę - powiedział Leochares, łapiąc się za głowę. - Niemożliwe... Ty, żebyś ty...

- Umrzeć za ideał - wychrypiał jeszcze tylko Eufnanor, uśmiechając się z trudem. - Kurwa, piękna sprawa.

Potem wydał już z siebie tylko kilka rżących dźwięków, zakasłał i było po wszystkim. Leochares podniósł jego głowę, wziął ją w ramiona, przyłożył policzek do czoła, jeszcze ciepłego. Przytulił go z całych sił, schował twarz w jego włosach i rozplakał się.

- Ty sukinsynu! - zawołał, łkając, kolebiąc się w przód i w tył. - Ty stary, głupi sukinsynu! Jak mi to mogłeś zrobić, jak... - Łzy lały się po policzkach i mieszały z deszczem, ciekło mu z nosa, słowa przerywały głośne, rwane ryki. - Jak ojciec... jak... zamiast mi powiedzieć, zamiast... Ty sukinsynu!

Długo tak jeszcze siedział, płacząc i wymyślając Eufnanorowi, który pozostawał na to wszystko obojętny; teraz już nawet nie przeszkadzało mu to, że coraz cięższe krople rozbijały się o jego otwarte oczy ani że nos miał zapchany ziemią. Zresztą i on, i Leochares, byli cali obklejeni gliniastym błotem; z daleka wyglądali trochę jak jakieś pokracczne terakotowe figurki, ulepione i gotowe do wypalenia.

\*\*\*

Osiół daleko nie odszedł - co prawda udało mu się wyciągnąć wóz z błota, ale przeciągnął go tylko parę stóp, do pobocza, gdzie spokojnie i metodycznie obgryzał rosnący tam oset. Leochares wszedł na wóz i zaczął wyrzucać z niego przygotowane dla Peryklesa

wazy, ciskał nimi ze złością o ziemię; brzdęk każdego kolejnego tłuczonego naczynia rozbrzmiewał mu w głowie tysięcznym echem.

Leochares postanowił pochować Eufranora jeszcze tego samego dnia. Z pogrzebem wypadło niby poczekać trzy dni albo przynajmniej wziąć się do niego o świcie, ale nie chciał czekać - wiedział, że kiedy powie Peryklesowi, czemu naczynia nie dojechały jednak na czas, garncarz może już nie mieć szansy na porządny pochówek. Nienawidził starego i jednocześnie szalał z bólu po jego stracie, nie był w stanie zdecydować się pomiędzy tymi uczuciami. Chciał, żeby stary mógł chociaż przejść przez Styks, żeby ocenili go ludzie mądrzejsi od niego - choć i oni, jak sądził, będą mieli twarde orzechy do zgryzienia. Może każą mu całą wieczność lepić garnek ze zbyt rzadkiej gliny, która mu będzie ciągle przeciekać między palcami, albo malować wazy w nieustającym deszczu, zmywającym farbę spod pędzla.

Ziemia na cmentarzu była miękka i wilgotna, łatwo w nią wchodził szpadel. Mimo to przygotowanie grobu zajęło Leocharesowi mnóstwo czasu; pęknięte żebro nadal kłuło go w boku, napinanie mięśni potęgowało jeszcze ból. Każdą wykopaną piędź ziemi okupywał okropnym cierpieniem. Mimo to nie ustawał, rył w ziemi dalej i płakał, nie wiedząc już nawet, czy to z powodu starego, czy po prostu z bólu.

Kiedy skończył, wsunął Eufranorowi pod siny, spuchnięty język jednego obola i ostrożnie zsunął go do dołu. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie ma niczego, co mógłby mu dać jako dar na podróż na drugą stronę. Przejrzał zawartość torby; jedyne, co się jako tako nadawało, to sztylet od Scylesa. No cóż, pomyślał, wrzucając go do rowu, i tak mi się do niczego nie przydał... Potem pozostawało już tylko zasypać grób. Najgorszych było parę pierwszych garści, które spadały bezpośrednio na bladą skórę garncarza, Leochares miał wrażenie, że zabija go po raz drugi; potem poszło już łatwiej. Zamiast nagrobka położył na grobie zwyczajny polny kamień. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie spróbować na nim wyryć imienia - nie był nigdy dobry w pisaniu, theta myliła mu się zawsze z fi - ale uznał w końcu, że rozsądniej będzie tego nie robić. Wreszcie otrzepał ręce z brudu, wypił dwa łyki wina, a resztę wylał przed grobem, w ofierze dla zmarłych.

Dlaczego to zrobił? Powtórzył kolejny raz w myślach. Kiedyś był przecież tak dumny z Aten, chlubił się tym, że jego ojciec walczył z Persami pod Maratonem, wielokrotnie pełnił różne urzędy, nie przepuszczał żadnego Zgromadzenia... Leochares rozumiał, że mógł być zawiedziony polityką Peryklesa, nie pochwałać jego decyzji, sam przecież czasami się z nim nie zgadzał, ale nie mógł pojąć, jak mogło go to doprowadzić do zdrady, sprawić, by był gotów zabić swoich przyjaciół i jego samego, którego przecież traktował jak syna... Dręczyło

go pytanie - kiedy Eufranor uznał, że jeśli zajdzie potrzeba, zabije i jego? Już wtedy, kiedy razem byli w łaźni i stary wepchnął go do wody? Czy może jeszcze wcześniej, kiedy tylko zaczął pracować dla Peryklesa? Wszystkie wspomnienia związane z Eufranorem, które nie tak dawno przecież hołubił, kłuły go teraz, bolały; zdrada starego przekreśliła wszystko, co kiedyś ich łączyło.

Leochares odwrócił wreszcie wzrok od grobu, poprawił płaszcz. Słońce już zachodziło, nad Atenami ciągle kłębiły się chmury. Teraz trzeba było już tylko wrócić i wytłumaczyć Peryklesowi, co się stało. Leochares nie miał na to najmniejszej ochoty.

## Θ

- Ooo, jaki ja jestem głodny - powiedział Perykles, wkładając sobie do ust kolejny kawałek placka, chociaż nie przeżuł jeszcze poprzedniego kęsa. Leżał na kanapie, wsparty na poduszkach, z zimnym okładem na czole. - Zawsze tak mam, jak sobie dobrze wypiję. No, to jeszcze raz, co mi chciałeś wczoraj powiedzieć? Bo nie do końca chyba zrozumiałem.

Taa, pomyślał Leochares, nie do końca! Nie wiedziałeś nawet, jak się nazywasz, rudy capie, a nie żadne tam „nie do końca”. Kiedy wczoraj udało mu się wreszcie wdrapać pod bramę na Akropol, gdzie odbywał się sympozjon, wszyscy byli już równo napruci. Sozjasz, podtrzymywany przez swojego niewolnika, stał przed wejściem i rzygał; jak zawsze odpadł pierwszy, sływał ze słabej głowy. Niketas pieprzył jedną z flecistek, okładając ją przy tym sandałem po pośladkach, a ona zaśmiewała się jak głupia; Filandros leżał pod swoim łóżem i deklamował wiersze Archilocha. Szczególnie upodobał sobie werset o *Tazos, co wystaje z morza jak ośli zadek, porośnięty drzewami niczym szczeciną*, i powtarzał go raz za razem, waląc niestrudzenie chochlą w podłogę. Perykles z kolei próbował żonglować talerzami, podczas gdy półnaga niewolnica wlewała mu w usta kolejny kielich wina. Kiedy zobaczył Leocharesa, rozpląkał się rzewnie, wziął go bowiem za zamordowanego przed laty Efiatesa, przeproszał, że zaniedbał pamięć o nim, i obiecywał, że wyśle mu na grób najpiękniej pachnące perfumy, jakie tylko znajdzie.

- Czyli jeszcze raz - powiedział Perykles, przetykając głośno. - To naprawdę był Eufnanor?

- Tak. Dodał trucizny do farby, którą potem pomalował wazy. Gdybyś upił chociaż łyk z jednego z tych naczyń, już byś leżał na katafalku, i wszyscy twoi goście pewnie też. Tak samo próbował otruć mnie, parę dni wcześniej. Gdyby nie to, że Sokrates stłukł mi wtedy przypadkiem kielich, gryzłbym ziemię.

- Bogowie... Było blisko.

- No. Lepiej złożyć w ofierze jakiegoś dorodnego byka. Albo i sto.

- Jednego tylko nie rozumiem: dlaczego nie wpadłeś na to, że to był Eufnanor, po tym całym zamieszaniu w Faleronie, kiedy spalił twoją akcję?

- Sam się sobie dziwię - westchnął Leochares ciężko. - Widać dobry był z niego aktor. No i w życiu bym nie przypuszczał, że on może być w to wszystko zamieszany, wiesz, ja zawsze myślałem, że to taki dobrotliwy staruszek.

- Tak... No dobrze, a te inne śmierci, o których mówiłeś? Wiesz, ta cała Elpis, i

jeszcze ta inna dziewczucha, jak jej tam, Selene czy jakoś...

- Niobe.

- No właśnie, one nie piły z jego naczyń?

- Nie. Ale Niobe tuż przed śmiercią użyła perfum. Przypuszczam, że dostała je od tego Lesbijczyka, który potem sam prawie został otruty i uciekł z miasta. Powierzchnia flakonu była pewnie pokryta trucizną, dziewczyna ubabrała sobie nią rękę, potem wtarła ją razem z pachnidłem w skórę, a że tu i ówdzie była pozacinana, to całe to paskudztwo dostało się do środka.

- No dobrze, a Elpis?

- Epinetron. Teraz sobie przypominam, jak Elpis wspomniała, że był szorstki od spodu, musiał naciąć jej skórę; trucizna miała jak wnikać w krew.

- Cwane, muszę powiedzieć, całkiem cwane - powiedział Perykles. - No, przyznam, że się świetnie spisałeś. I w sumie Eufranor mi się bardzo przysłużył! Ostatnio coraz więcej osób gadało na Zgromadzeniu, że ze Spartą trzeba się dogadać, że wojna jest bez sensu, i inne takie dyrdymały. Jak im opowiem tę historię, będą tańczyć, jak im zagram, zobaczysz, prędzej sami podpalą swoje domy, niż będą chcieli z nimi negocjować, wojna będzie trwała tak długo, jak nam będzie wygodnie. No a ta trucizna? Znalazłeś ją u Eufranora w warsztacie?

- Nie. Może zużył całą, może gdzieś ją schował. W każdym razie lepiej nie dotykaj niczego zrobionego z gliny przez następne parę dni.

- No to szukaj dalej, bo mogłaby się nam przydać.

- Przydać się? No tak, oczywiście... Nie - powiedział Leochares, wstając. - Nie będzie żadnego dalej. Już więcej dla ciebie nie będę pracować.

- Żartujesz chyba?! - krzyknął Perykles, podnosząc się na łokciu. - A to niby czemu?

- Mam dość. W ciągu tych paru dni kilka razy już się prawie witałem z Charonem, jestem poobijany, jakby po mnie kwadryga przejechała, a do tego straciłem ojczyma i żonę. Starczy.

- I co teraz będziesz niby robił, gotował smołę w porcie?

- Nie. Założę warsztat złotniczy. Mam jeszcze narzędzia po ojcu, może nie wszystko zapomniałem.

- Ee, jeszcze do mnie wrócisz. Za bardzo lubisz tę robotę. Wylizesz się z ran i wrócisz.

- Może - powiedział Leochares po chwili, przetykając ciężko ślinę. - Trzymaj się.

Leochares wstał, zamknął za sobą cicho drzwi, wyszedł na ulicę. Było już późno - rano długo nie mógł się zwlec z łóżka, leżał wgapiony w sufit, układając od nowa w myślach ostatnie dni - słońce zaczynało prażyć, ale ulica pełna była ludzi. Część z nich gdzieś szła - ci

po wodę, ci na zakupy, inni do fryzjera - podczas gdy reszta stała na poboczu, plotkując i gadając, obserwując ludzi, zabijając czas. Na samą myśl o przeciskaniu się przez tę tłuszcę, śmierdzącą czosnkiem i kwaśnym potem, robiło mu się słabo. Patrzył na ludzi i widział tylko przetłuszczone, zawszone włosy, poryte wypryskami policzki, zaropiałe oczy, szerniałe zęby; wszystko to brzydziło go niepomieranie. Kiedy jako chłopak słuchał historii, w których mściwi bogowie zamieniali śmiertelników w ptaki albo pająki, ich los wydawał mu się okropny. Teraz im zazdrościł. Gdyby i jemu wyrosły nagle skrzydła, mógłby wzbić się nad Atenami, w ramach pożegnania narobić jeszcze paru osobom na głowę, a potem polecieć gdzieś daleko, na odludną wyspę albo do krajów barbarzyńców, gdzie nigdy nie topnieją śniegi, i już nigdy, przenigdy do nikogo się nie odezwać.

Zawsze podziwiał Peryklesa, jego inteligencję, spryt polityczny, dar do przemawiania. Po tej rozmowie zdał sobie sprawę, że za tymi talentami nie stoi żadna wizja, żaden plan ponad to, żeby gromadzić władzę - dla siebie i dla Aten. Ogarnęły go nagle wątpliwości - jaki jest tego sens? Zgoda, miasto jest piękniejsze niż kiedykolwiek, skarbiec pęka w szwach, triremy ledwo mieszczą się w porcie - ale jakie to ma znaczenie dla ludzi? Co im z tego, że ateńskie wojska zajmują kolejne wyspy, skoro ich własne gospodarstwa obróciły się w popiół? Jaką pociechą jest nowa świątynia dla rodziców, których syn nie wrócił z wojny? Na co komu góry srebra, skoro nie można nawet wyjść z własnego miasta?

Doszedł do domu, przemykając tylnymi uliczkami, unikając spojrzeń przechodniów. Usiadł za stołem, nalał sobie wina po brzeg. W rogu pokoju, owinięty płaszczem, z kolanami pod brodą, siedział Demokles.

- Masz mi coś do powiedzenia? - rzucił sucho Leochares, nie patrząc w jego stronę.

- Co? Co mam ci mieć do powiedzenia? - zapytał cicho chłopak.

- No, albo możesz się przyznać, że współpracowałeś z Eufranorem, albo możemy się bawić w kotka i myszkę.

- O co ci chodzi?

- Tylko ty mogłeś przekazać Eufranorowi, że trucizna jest u Scytów - powiedział, przełykając wino; zrobiło mu się gorąco w środku, spocił się, wełniany himation zaczął gryźć go w skórę. - Tylko ty wychodziłeś wtedy z domu.

- To nie tak, jak myślisz...

- Aha - mruknął Leochares. - Czyli to tak. No, to twoje zdrowie, niewdzięczny gnojku. Spieprzaj z mojego domu, nie chcę cię więcej na oczy widzieć.

- Poczekaj - zawołał Demokles, zrywając się na równe nogi. - Posłuchaj mnie...

- Nie chce mi się ciebie słuchać. Ani ciebie, ani nikogo innego. Nie chcę wiedzieć,

czemu to zrobiłeś, wszystko mi jedno. Won.

- Kiedy to nie tak, że ja...

Leochares obrócił się w jego stronę, podniósł kielich i cisnął nim w stronę chłopaka, ale chybił; naczynie roztrzaskało się o ścianę, na tynku rozkwitła czerwona, krwista plama. Demokles otworzył znów usta, żeby coś powiedzieć; Leochares złapał stółek, na którym siedział, i cisnął go w jego stronę; tym razem wymierzył lepiej, chłopak ledwie się uchylił.

- Proszę! - wrzasnął Demokles, obnażając tors. - Dawaj! Czym teraz rzucisz, co?! Jakąś cegłą czy może już nożem? Jak chcesz mnie zabić, to proszę bardzo, tylko wpierw posłuchaj, co mam do powiedzenia!

Leochares podniósł leżący na ziemi kamień, którym klinował czasem drzwi, kiedy chciał przewietrzyć dom, zamachnął się - ale nie mógł rzucić; nienawidził w tej chwili Demoklesa, ale mimo to sama myśl, że mógłby go zranić, była obezwładniająca. Odwrócił się, cisnął ze złością kamieniem o podłogę, oparł się o ścianę.

- Idź stąd - warknął. - Nie chcę na ciebie patrzeć.

- Nigdzie nie pójdę, dopóki mnie nie wysłuchasz!

- Dobra, niech ci będzie. - Leochares machnął ręką. - Mów, co tam chcesz powiedzieć, byle szybko, i spierdalaj.

- Nigdy nie chciałem cię zdradzić! - zaczął Demokles; mówił szybko, miał łzy w oczach. - Nie wiedziałem, że to Eufranor był Proteuszem. Wtedy, tamtego dnia, wpadłem na niego na rynku, jak kupowałem kunę. Zresztą powiedziałem ci wtedy, że musiałem od niego pożyczyć pieniądze. On tak mnie mimochodem niby spytał, co robimy, i powiedziałem, że wszystko idzie dobrze, że mamy truciznę, że jesteśmy u Scytów i razem z Menekratesem wykombinujemy, co to jest; a on przecież wiedział, gdzie ty miałeś u nich swój pokój... Teraz rozumiem, że nie powinienem tego mówić, tak paplać, ale skąd ja mogłem wiedzieć, że to się tak skończy, że on jest szpiegiem?! Sam w końcu tego nawet nie podejrzewałeś, aż do samego końca.

- A wcześniej? - powiedział cicho Leochares po chwili milczenia. - Mówiłeś mu coś wcześniej?

- Bogowie, no pewnie, że tak. - Demokles złapał się za głowę. - Czasem do niego wpadałem, zawsze mnie częstował czymś dobrym, a to rybą, a to ciastkami z miodem, zagadał do mnie, pytał, co robimy, i ja mówiłem, pewnie nawet dużo mówiłem... Ale przecież ja nigdy nic złego nie chciałem zrobić, niech mnie Zeus żywcem spali, jeśli było inaczej. Proszę, uwierz mi!

Leochares czuł, jak powoli opuszcza go wściekłość, przestaje go mroczyć, zaczyna



trzeźwiej myśleć. Podszedł powoli do Demoklesa, złapał go za brodę i spojrzał w jego ciemne orzechowe oczy. Po chwili przyciągnął go do siebie, przytulił. Przez dobrą chwilę stali w milczeniu, wczepieni w siebie.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie Leochares zmęczonym, łamiącym się głosem. - Po wczoraj... Kiedy się okazało, że to był Eufranor, nikomu już nie wierzyłem, nawet tobie, założyłem najgorsze. Masz rację, on po prostu przechytrzył nas obu. Nie twoja wina.

- Bogowie, dziękuję! - wykrzyknął chłopak. - Już naprawdę myślałem, że nie dasz mi dojść do głosu, że masz już dla mnie tylko nienawiść... Szkoda, że siebie nie widziałeś przed chwilą, można by twoją twarz wymalować na tarczy, żeby ludzi straszyc!

- Poniosło mnie - powiedział Leochares, przecierając oczy. - Ale gdybyś ty przeszedł przez to co ja wczoraj... Czy gdybym ja próbował cię zabić, mógłbyś potem jeszcze komuś zaufać?

- No, właściwie to przed chwilą próbowałeś...

- Eee tam. - Leochares machnął ręką, uśmiechając się. - Żarty na bok, mały, najwyżej bym ci tym stołkiem guza nabił. A teraz chodź, idziemy na miasto, mamy sprawę do załatwienia.

- Jaką sprawę?

- Nie pamiętasz? Powiedziałem, że jak już będzie po wszystkim, to cię wyzwolę. No, słowo się rzekło, do dzieła.

- Naprawdę? - wykrzyknął Demokles. - I co, będę mógł robić, co tylko chcę?

- Dokładnie. Odłożyłem dla ciebie trochę pieniędzy, z tego, co normalnie bym ci płacił. Nie jest to może fortuna, ale na jakiś czas ci starczy. Możesz wrócić na Naksos, jeśli chcesz, albo zostać w Atenach. Chcę założyć warsztat złotniczy, przydałby mi się pomocnik. Jesteś zainteresowany?

- No ba! Pewnie, że tak! Całkiem nieźle rysuję, na plaży w piasku robiłem patykami takie potwory, że rybacy z całej zatoki przychodzili oglądać! Raz taki jeden góral przyniósł czaszkę jakiegoś potwora z kamienia, o takim, o, długim pysku pełnym zębów, i potem...

- No, wszystko mi to opowiesz po drodze. Chodź.

\*\*\*

Może ojciec byłby ze mnie wreszcie dumny, pomyślał Leochares. Zakład złotniczy... Zawsze tego chciał. Odkąd pamiętam, mówił, że mam nieprzeciętny talent, że nie mogę go zaprzepaścić, rozbijając się po rynsztokach. Wtedy, dawno temu, praca z ojcem wydawała mu się najgorszą karą. Nie znosił zaduchu małego warsztatu, brudu i wysiłku, tego, że trzeba było

cały czas być niezwykle precyzyjnym i uważnym. Kiedy mógł, uciekał do portu; wolał cały dzień chodzić głodny po mieście, niż uwijać się w ukropie z miechami, młotami i obcęgami. Poza tym ojciec był zawsze niezadowolony, zawsze mu coś nie pasowało - tu krzywo przyłożył matrycę, tam brzydko wyrył meander\*, za mocno albo za słabo rozgrzał piec... Wtedy wydawało mu się to zwykłym zrzędzeniem, ale teraz rozumiał, że ojciec chciał dla niego jak najlepiej, że chciał go nauczyć wszystkiego, co sam umiał, i bał się, że za szybko spocznie na laurach.

Początki mogą być trudne - w końcu wojna to nie jest moment, kiedy ludzie myślą o srebrnych pucharach albo złotych kolczykach, tylko ciułają każdego obola. Ale przecież Douris pewnie załatwiłby mu kontakty z kilkoma bogaczami, którzy zawsze mogą sobie pozwolić na wszelkie ekstrawagancje. Poza tym Scyles mógłby mu doradzić, co powinien robić, żeby zdobyć uznanie barbarzyńców. Dochodziły go słuchy, że scytyjscy arystokraci lubowali się w greckim złocie i byli w stanie kupić każde jego ilości, i dosłownie wszystko nim obwieszali - końskie uzdy, czapki, tarcze, paski, a nawet buty. Gdyby tak dowiedzieć się, jakie tematy im się najbardziej podobają, albo wypytać Scylesa o ich legendy i potem je wykuć w złocie, na pewno można byłoby na tym dobrze zarobić. Martwił się tylko, jak to będzie z Demoklesem - chłopak często miał napady słomianego zapału; teraz był podniecony wizją zakładu, wymyślał, co mogą zrobić i dla kogo, ale Leochares bał się, że codzienny znój, do którego chłopak był zupełnie nieprzyzwyczajony, szybko go zniechęci. No cóż, pomyślał, nie ma co się martwić na zapas.

Kiedy przechodzili koło jednej z bram, usłyszeli jakąś awanturę - kobiecy głos, odgłosy szamotaniny. Nie była to już jego sprawa, ale postanowił sprawdzić, o co chodzi; komuś w końcu mogła dziać się krzywda.

Ku swojemu zdziwieniu zobaczył przy bramie wiedźmę, która nie tak dawno temu w wieszczym widzie mówiła mu o świniach. Trzymało ją dwóch strażników - jeden schwytał ją za nadgarstki, odpychając z trudem od oczu jej ostre jak pazury paznokcie, podczas gdy drugi złapał ją w pasie i próbował odciągnąć od bramy. Widać było, że strażnicy - młodzi chłopcy, którym dopiero co sypnął się wąs - nie bardzo wiedzieli, jak zareagować. Pewnie głupio było im ją po prostu pobić albo zdzielić trzonkiem od włóczni między oczy, więc postanowili ją uspokoić w delikatniejszy sposób; okazało się jednak, że wiedźma jest dużo silniejsza, niż można by się spodziewać, i stawia im ostry opór, drapiąc, gryząc i kopiąc.

- Zostawcie mnie, kocmołuchy głupie! - zawyła. - Jak sami chcecie ginąć, to wasza sprawa, a mnie dajcie spokój!

- Kiedy nikomu... Aj! - pisnął cienko jeden ze strażników; hełm zsunął mu się z głowy

i uderzył o ziemię z głuchym brzdękiem. - Nie, no, Kalias, nie mogę, ta jędza znów mnie ugryzła!

- Co tu się dzieje? - zawołał Leochares.

- Ach, to ty, mój luby, mój kochany - krzyknęła wiedźma, przerywając szamotaninę. - Przyszędłeś mnie uratować, wreszcie...

- Ty ją znasz? - zapytał jeden ze strażników, rozmasowując spuchnięte kolano.

- No, można tak powiedzieć. O co chodzi?

- Ta wariatka rzuciła się na bramę, mówi, że musi natychmiast wyjść. My jej na to, że nie wolno, że rozkaz to rozkaz, a wtedy ona jak mi kijem nie przyłoży w nogę! - odparł chłopak nadąsanym tonem.

- Uciekaj ze mną, mój luby, mój miły... - przerwała im wiedźma; jej niski, zmysłowy głos sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach. - Śmierć nadchodzi, śmierć!

- Jaka śmierć? O czym ty mówisz? Jest już jesień, Spartanie wrócili do domu!

- Z Pireusu... Śmierć przyjdzie od morza... Wielu zginie, ale jeszcze nie za późno, żeby uciec! Przegoń tych niedowiarków i ucieknijmy razem, na zawsze...

- A, o to ci chodzi. Nie, nie będzie żadnej śmierci - zaprzeczył zdecydowanym tonem Leochares. - Przejęliśmy truciznę w porcie, nikt nie zginie.

- Nie to, nie to, nie o tym mówię, głupi! - syknęła wiedźma; w jej oczach mieszało się szaleństwo i przerażenie, łzy ściekały jedna za drugą po porytych zmarszczkami policzkach. - Wielka śmierć, czarna jak smoła, zaleje nas, zje, zmieli. Widziałam we śnie... Atena nas porzuciła, odwraca od nas wzrok, nie obroni nas! Ale jest jeszcze czas, uciekaj, uciekaj, biegnij!

- Nie wiem, o co ci chodzi, kobieto - powiedział Leochares powoli, po chwili wahania.

- Jak chcesz, to uciekaj, co mi do tego. Chłopcy, otwórzcie jej bramę.

- Kiedy nam nie wolno, rozkazy...

- Dobra tam, gównu mnie to obchodzi. Ja pracuję dla Peryklesa, jak mi zaraz nie otworzysz tych drzwi, to już się postaram, żebyś w przyszłym roku walczył w pierwszym szeregu. Otwieraj bramę.

Po chwili wahania strażnicy odsunęli rygle, uchylili lekko bramę - na tyle, żeby mogła się przez nią przecisnąć jedna osoba. Wiedźma przerzuciła na drugą stronę swój tobołek, potem podkasła brudną, cuchnącą tunikę i stanęła w przejściu. Zimny, przesywający wiatr, który wdzierał się między uchylone skrzydła bramy, szarpał skołtunione włosy staruszki, zagłuszał jej słowa, jakby chciał ją uciszyć.

- Leo, mój luby, mówię prawdę... - szepnęła błagalnie, wyciągając ręce w jego stronę.

- Jest jeszcze czas. Chodź!

- Nie. Nigdzie nie idę - odpowiedział twardo Leochares. - Nie chcę słuchać tego twojego czarnowidztwa, idź już.

- Trudno. Szkoda mi cię - powiedziała jeszcze wiedźma, zanim brama się zatrzasnęła.  
- Szkoda...

\*\*\*

Załatwienie formalności zajęło im tylko parę chwil; gdy wyszli od archona, Demokles był już wolnym człowiekiem. Chłopak rzucił się na Leocharesa, wycalaował mu policzki, zaczął tańczyć na ulicy - szalał z radości. Leochares nie spodziewał się, że będzie się aż tak cieszyć - przecież piraci go porwali, kiedy był małym chłopcem, więc już nawet nie mógł pamiętać, jak to było, zanim stał się niewolnikiem, poza tym Leochares traktował go przecież wyjątkowo dobrze, prawie niczego mu nie zabraniał ani nie narzucał. Najwyraźniej bycie cudzą własnością ciążyło mu dużo bardziej, niż mogłoby się wydawać. Umówili się, że poświęcą porządnie wieczorem - pójdą razem do ulubionej tawerny, zamówią najtłustszego węgorza i najlepsze wino.

Leochares postanowił, że przedtem powinien odezwać się do Lamii - obiecał to teściowi, a poza tym, przyznał to w końcu sam przed sobą, było mu jej brak. Kiedyś to, że nie mógł z nią porozmawiać o polityce ani o swojej pracy, straszliwie go irytowało, ale teraz za tym tęsknił. Czy nie cudownie byłoby usiąść razem na podwórku, na nagrzanym od słońca ławie, po całym dniu pracy, i pogadać o czymkolwiek - o tym, co trzeba kupić, jak się sprawuje Lydike, co u jej sióstr, jak pogoda, a potem zasnąć razem, wsłuchać się w jej oddech, zamykać oczy, czując zapach jej ciała, budzić się z jej twarzą wtuloną w ramiona...

Najpierw poszedł do łaźni, wyszorował się, obciął paznokcie, zamiast je obgryzać - po raz pierwszy od paru tygodni. Potem wpadł do fryzjera, który ogolił mu szyję i policzki, podciął brodę, wyrównał włosy, natarł twarz perfumami - trochę zbyt kwiecistymi jak na jego gust, ale pamiętał, że Lamia takie lubiła. Wreszcie postanowił kupić jej jakiś prezent - długo chodził między stoiskami, przebierając pomiędzy opaskami do włosów, chustami, naszyjnikami, puzderkami z drewna cedrowego; nie mógł się zdecydować. Wreszcie kupił jej grzebień z kości, pięknie rzeźbiony i malowany, i pierścień z oczkiem z ciemnego kryształu.

Poszedł do domu Dioklesa z walącym sercem, był chyba bardziej przejęty niż przed ich nocą poślubną. Kiedy stanął pod drzwiami, odetchnął kilka razy głośno, zastukał kołatką. Potem spojrzął na bok - i zobaczył swoje odbicie w kałuży. Jedno oko miał ciągle opuchnięte, otoczone limem, które przechodziło z fioletowego w ciemnożółty; skórę na policzku i czole

miał jeszcze w strupach, uszy i nos były nabrzmiące. Nie, pomyślał, nie mogę się jej przecież tak pokazać, muszę jeszcze poczekać...

Drzwi się uchyliły, wyrzał zza nich odźwierny - stary Georgios, z gigantycznym pieprzykiem pod okiem i z krzywym nosem.

- O, Leochares, ciebie się nie spodziewałem. Wchodź, wchodź, zaraz powiem wszystkim, że przyszedłeś. Diokles się ucieszy...

- Nie, nie, przepraszam, ja tak tylko przechodzę, bardzo się spieszę, widzisz... Mógłbyś przekazać te rzeczy Lamii?

- Oczywiście, nie ma sprawy - powiedział staruszek, odbierając od niego zawiniątko przepasane wstążką. - Ale na pewno nie wejdiesz, choćby na chwilkę?

- Nie, przepraszam... - Leochares czuł, jak się czerwieni. - Sprawy wagi państwowej... Rozumiesz...

- No nic, trudno. To do rychłego.

- Do rychłego!

Szlag by to trafił, mruknął do siebie w myślach Leochares, kiedy drzwi zamknęły się za Georgiosesem. Zachowuję się jak nastoletni pajac. No nic, trzeba będzie przyjść znów z wizytą, kiedy będę wyglądał jak człowiek. Może do tego czasu warsztat będzie już działał, będzie się czym pochwalić. Wytrzeł spocone ręce w ubranie, rozczochrał starannie ulizane włosy - nie chciał, żeby Demokles myślał, że to dla niego się tak stroi - i poszedł do tawerny. Chłopaka tam jednak nie było. Postanowił poczekać - wypił jeden kielich, potem drugi, pogadał z jakimś dziadkiem, który opowiadał mu o swoich wyjątkowo pięknych i mądrych wnukach, ale Leochares nie mógł się skupić na jego opowieściach. Zaczął się zastanawiać, czy Demokles nie wystawił go przypadkiem do wiatru, w końcu teraz, kiedy był już wolny, mógł robić, co mu się żywnie podobało. Mógł sobie w końcu bez problemu zapewnić towarzystwo młodszego i zarazem bogatszego mężczyzny; może znowu ktoś zaczepił go na ulicy i podarował mu zajęcia, zaprosił na sympozjon albo na partyjkę kości... Albo może zwyczajnie nie chciało mu się wychodzić z domu, tyle czasu przebywali ostatnio razem, że może chłopak nie miał ochoty spędzać z nim wieczoru. Kiepsko to wróży, pomyślał Leochares, mieszając wino w kubku, dla tego naszego zakładu złotniczego. Praca w warsztacie to nie żarty, nie ma w niej miejsca na fochy i fanaberie, trzeba być punktualnym i sumiennym, jak się z kimś umawia, to się przychodzi. Jeśli zaraz się tu nie pojawi, będę go musiał potem opieprzyć, żeby mu takie zachowania nie weszły w nawyk... A może Demoklesowi coś się stało, może ktoś na niego napadł? Przez ostatnie parę miesięcy musiał sobie narobić sporo wrogów... Leochares przeprosił sędziwego rozmówcę, który właśnie

przekonywał go, że jego wnuk niechybnie wygra wszystkie tegoroczne zawody w zapasach, zapłacił za wino i nie czekając na resztę, wybiegł na zewnątrz i pognął w stronę domu Demoklesa. Chłopak leżał na łóżku, nago, oddychając głośno i ciężko; jego ciało błyszczało od potu.

- Demokles?! - zawołał Leochares, podbiegając do łóżka. - Co ci?

- Dobrze, że jesteś - szepnął chłopak, ledwo otwierając spękane usta. - Nie wiem, co mi jest, strasznie mi gorąco, strasznie, pali mnie...

- Gdzie cię pali?

- W głowie... Jakby ktoś mi przez uszy wsypał do środka rozżarzone węgle...

- Poczekaj, dam ci coś do picia. Gdzie trzymasz wodę?

- W tej hydrii, tam, w kącie - wychrypiał chłopak.

Leocharesowi trzęsły się ręce, więcej wody wylał na podłogę niż do kubka. Przystawił naczynie Demoklesowi do ust; chłopak pił szybko i łapczywie.

- Lepiej?

- Nie, nie lepiej... O bogowie, wcale nie lepiej, teraz mnie pali też w brzuchu, co ty mi dałeś?!

- Nic, nic, to tylko woda... Poczekaj, pobiegnę po Menekratesa.

- Leo, nie zostawiaj mnie - zawołał Demokles, podnosząc się z trudem na łokciu. - Proszę cię, ja... ja się strasznie źle czuję...

- Uspokój się, to na pewno nic groźnego. Zaraz będę z powrotem.

\*\*\*

Menekratesa trudno było znaleźć; jak się szybko okazało, nie tylko Demokles zachorował tego wieczoru. Zaczęło się w Pireusie. Najpierw pewien marynarz, pomimo tego, że dzień był akurat dość chłodny, narzekał ciągle na gorąco, pocił się, wachlował, aż wreszcie zerwał z siebie ubrania i wskoczył do studni. Potem niejaki Akakios, pasterz z demu Acharnii, który mieszkał u szwagra tuż koło portu, obudził się z popołudniowej drzemki z krwawiącym językiem i gorączką. Pod koniec dnia wydawało się już, że chorych jest więcej niż zdrowych.

Demokles każdego dnia czuł się coraz gorzej. Na domiar złego Leochares wiedział, co będzie później - obserwował to u innych, słabszych, na przykład dzieci i starców, u których choroba przebiegała gwałtowniej i szybciej. Zaczynało się zawsze tak samo. Najpierw człowiekowi robiło się gorąco - w głowie, w ustach, brzuchu. Tego ognia, spalającego ciało od środka, nie dało się ugasić - niektórzy haustami żłopali lodowatą wodę, inni okładali się rybami albo wchodzili do cystern; nic nie pomagało. Potem ciałem zaczynał wstrząsać suchy

kaszel, tak mocny, że czuło się, jakby człowiekowi stopniowo płuca rwały się na strzępki. Razem z kaszlem przychodził katar, który zatykał zupełnie nos, trzeba było oddychać przez usta, wyschnięte na wiór i obolałe. Potem zaraza atakowała żołądek - chorych męczyły mdłości, z ust wyciekała im gęsta, cuchnąca żółć; wymiotom towarzyszyły gwałtowne spazmy. Wreszcie, zazwyczaj po siedmiu, ośmiu dniach, przychodziło najgorsze. Ciało odmawiało posłuszeństwa, puszczały zwieracze, skórę pokrywały wrzody. Mało kto był to w stanie wytrzymać; ludzie padali jak muchy. Ci, którzy przeżyli, nierzadko żalowali, że choroba ich jednak nie zabrała. Nikt bowiem nie wracał do pełnego zdrowia: niektórzy tracili pamięć, inni wzrok, części obumierały palce, wypadały zęby, skórę mieli poharataną przez głębokie, bruzdziste blizny.

Douris padł szybko - zachorował później niż Demokles, ale już po trzech dniach leżał na katafalku przed domem. Jego żona tryskała źle skrywaną radością. Była co prawda w żałobie i zachowywała się jak należy, to jest wydzierając sobie włosy i rozdrapywała twarz, jak porządna świeżo upieczona wdowa, ale więcej czasu niż przy ciele męża spędzała w schowku, licząc srebrne puchary i złote naszyjniki. Długo się nimi nie cieszyła - zachorowała tuż po pogrzebie. Sokrates, jak dotąd, miał się dobrze, najbardziej pewnie go uwierzało to, że nie mógł się spotykać z Aspazją - Perykles zamknął się z nią w domu, nie wychodził stamtąd ani nikogo nie wpuszczał. Podobno dniami i nocami układał mowę, którą miał zamiar wygłosić, żeby podbudować Ateńczyków i przekonać ich, by dalej mu ufali; Leochares nie wróżył mu jednak wielkiego sukcesu. Próbował się też dowiedzieć, jak ma się Lamia, ale Diokles powiedział mu tylko, że póki zaraza nie minie, dziewczyna będzie siedziała w swoim pokoju na piętrze i nie będzie nikogo oglądać, nawet rodziców.

Menekrates dwoił się i troił, nie sypiał, próbował wszystkich metod - na nic, był zupełnie bezradny. To, co zdawało się pomagać jednym, pogarszało stan innych; ci, którzy jednego dnia czuli się trochę lepiej, następnego błyskawicznie gaśli w oczach. Czasem umierały całe rodziny; zaczynało się od tego, że zachorował na przykład dziadek, potem łapały to kobiety, które się nim zajmowały, wreszcie mężczyźni i wkrótce cały dom był martwy, cichy, z otwartymi na oścież drzwiami, cuchnący gnijącym ciałem. Ateńczycy, którzy byli przecież zawsze tak skrupulatni, jeśli chodzi o pogrzeby, teraz pozbywali się zmarłych jak najszybciej, gdzie popadnie - zakopywali ich dziesiątkami w dołach, wrzucali do starych studni, palili razem z domami. Niektórzy nawet podrzucali trupy na cudze stosy pogrzebowe; ktoś obdarzony wyjątkowo makabrycznym poczuciem humoru wymyślił dla takich ludzi nazwę „kukułki”.

- Co to jest - wyszeptał któregoś dnia Leochares, patrząc, jak wychudzony, rozpalony

do białości Demokles rzuca się w przepoconej pościeli. - Co to jest? Żeby ludzie tak zdychali, umazani we własnym gównie?

- Nie wiem - odpowiedział Menekrates, pocierając skronie. - Nie mam pojęcia. Przejrzałem wszystkie zwoje, nikt o czymś takim nie pisze. Oczywiście, słyszałem o zarazach, ale nigdy o czymś takim, na taką skalę...

- A jeśli to nie zaraza? - Leochares obrócił się gwałtownie w jego stronę. - Może o to właśnie chodziło Eufranorowi? Może ta cała afera z Peryklosem była tylko po to, żeby odwrócić uwagę od tego?

- O czym ty gędzisz?! - wzburzył się lekarz.

- Nie znaleźliśmy reszty trucizny. Może ją wsyłał do studni w Pireusie, co? Albo może to świństwo spłynęło z tych naczyń, które roztrzaskałem w Kerameikosie, i dostało się do ziemi, zatrulo ją?

- Tylko ty mi tu nie wariuj. To niemożliwe. Przecież wiesz, że od tej trucizny umierało się zupełnie inaczej. Dużo lepiej.

- Ale może miał, no nie wiem, może miał jeszcze inną truciznę i...

- Którą można się zarazić? - prychnął Menekrates. - Daj spokój, świat nie obraca się wokół ciebie i Eufranora. To po prostu choroba.

- Po prostu?! - wrzasnął Leochares, zrywając się z krzesła. - Jakie, kurwa, po prostu? Całe miasto wymiera, a ty mi mówisz, że to po prostu choroba?

- No a co innego?! - krzyknął Menekrates, waląc pięścią w stół. - Jak wiesz, to może powiedz, bo, wyobraź sobie, wszyscy są ciekawi!

- Nie wiem, może coś źle zrobiliśmy, może zagniewaliśmy bogów... Byliśmy zbyt dumni, zadufani, i teraz dostajemy za swoje.

- Ta, może - powiedział Menekrates sucho. - Wielu ludzi tak myśli. Od tygodnia przed wszystkimi ołtarzami płoną ofiary, całe góry tłuszczu i kości, wszyscy nic, tylko patrzą w niebo. Coś to dało? Nie? No właśnie.

- To co mamy zrobić? Po prostu czekać?

- Tak - wyszeptał po chwili Menekrates, nie patrząc w jego stronę. - Ty jeszcze jesteś zdrowy, nawet ja. Ciesz się, póki to trwa.

- A jak Scytowie? Scyles ma się dobrze?

- Wiesz, śmieszna sprawa, żaden z nich jeszcze nie zachorował... No dobra, muszę iść. Jeszcze wielu chorych muszę dziś obejrzeć.

- I co, powiedzieć ich rodzinom, że nie wiesz, co zrobić, i żeby czekali i cieszyli się chwilą?



- Mniej więcej.
- No, to powodzenia. Za którymś razem cię ktoś zatłucze, wiesz o tym?
- Może. Szybka śmierć. Do zobaczenia.
- Bywaj.

Leochares podszedł do łóżka Demoklesa, usiadł na stołku. Pościel przesiąkła już potem i moczem, będzie ją musiał przeprać... Który to już raz dziś, trzeci? Chłopak wyglądał strasznie, nie sposób było w nim poznać pięknego młodzieńca, za którym wszyscy oglądali się na ulicy... Włosy miał wypłowiałe i posklejane w strąki, oczy zapadnięte; skóra, wcześniej alabastrowa i lśniąca, była teraz szara, pokryta wypryskami. Usta wyglądały tak, jakby miały się zaraz rozlecieć, były białe i opuchnięte. Leochares odgarnął mu włosy z czoła; chłopak nadal gorączkował, ale mniej niż poprzedniego dnia. To mogła być oznaka poprawy. Albo końca.

- Leo... - wyszeptał Demokles, otwierając z trudem oczy. - Czy ja umieram?
- Nie gadaj głupstw, kawał z ciebie chłopca, wylizasz się z tego - powiedział Leochares. Silił się na dziarski ton, ale wiedział, że jego oczy mówią co innego.
- Sam w to nie wierzysz - wychrypiął chłopak; jego głos był gorzki i smutny. - Ja czuję... jutro będzie po wszystkim.
- Nie mów tak.
- To, co mówię, nie ma znaczenia. Ech, bardziej mi się podobało bycie niewolnikiem niż wolnym człowiekiem, bardziej mi wtedy zdrowie dopisywało i... - Nie dokończył, wstrząsnął nim gwałtowny kaszel; flegma zeszła mu do ust.
- Chcesz wody?
- Nie, od wody chce mi się tylko bardziej pić, zresztą zaraz i tak będzie wszystko w prześcieradle.
- Bardzo dzielnie to znosisz - powiedział Leochares, walcząc ze łzami. - Stałeś się prawdziwym mężczyzną.
- Długo się tym nie nacieszę - odparł cicho Demokles, zamykając oczy. - Leo... Mogę cię o coś poprosić?
- Oczywiście, czego ci trzeba?
- Pocałuj mnie.
- Słucham?
- Proszę, zrób to...

Leochares przełknął ślinę, położył dłoń na policzku Demoklesa; skóra była lepka od potu. Pochylił się, wstrzymał oddech - chłopakowi strasznie cuchnęło z ust, jego ciało od

tygodnia spalało się i rozkładało od środka - i pocałował go. Wargi Demoklesa były tak gorące, że parzyły go w usta; język był miękki, smakował krwią i czymś kwaśnym. Czuł, jak z oczu skapują mu łzy, chłopak też płakał. Nie tak sobie wyobraził ich pierwszy pocałunek.

- Trochę lepiej? - powiedział Leochares, próbując się uśmiechnąć.

- Szczerze mówiąc, to nie. Ale dziękuję.

Potem długo rozmawiali - to jest Leochares mówił, bo Demokles nie miał już siły; czasem tylko przytaknął albo się uśmiechnął. Czasem wydawało się, że traci przytomność, że nie rozumie tego, co słyszy, ale Leochares mówił i mówił, aż zaschło mu w gardle; opowiadał, jak polował z kolegami na zające, jak był mały i przypadkiem wpadli na borsuka, który o mały włos ich wszystkich nie pozabijał; albo co się stało, jak matka przyłapała ojca, kiedy obłapiał jakąś niewolnicę w warsztacie, i o tym, jak pierwszy raz w życiu złapał go sztorm na morzu. Bał się ciszy, chciał zagadać chorobę; miał nadzieję, że jeśli obaj o niej zapomną chociaż na chwilę, to Demoklesowi się polepszy. Nic to jednak nie dało; chłopak zmarł tego samego wieczoru.

\*\*\*

Choroba dopadła Leocharesa dzień później, kiedy szycował się do pogrzebu Demoklesa. Dużo było z tym zamieszania - grabarze i sprzedawcy drewna na grobowe stopy stali się nagle najbardziej rozchwytywanymi i najbogatszymi ludźmi w Atenach, załatwienie z nimi czegokolwiek kosztowało fortunę, a i tak zdarzało się, że wystawiali ludzi do wiatru. Kiedy właśnie Leochares dogadywał się z jednym z kupców w sprawie ceny ośmiu koszy suchych gałęzi oliwek - miał nadzieję, że tyle wystarczy - ogarnęła go fala gorąca, język jakby przykleił się do podniebienia, nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Przerażony sprzedawca wyrzucił go za drzwi; wylądował na ulicy. Dwa tygodnie temu ktoś podałby mu rękę, zapytał, w czym pomóc. Teraz ludzie albo nie zwracali na niego uwagi - po prostu przechodzili nad nim, jak nad jakąś kłodą, bądź omijali bezwiednie, jak kałużę - albo wręcz przed nim uciekali. Pół dnia czołgał się w błocie pod swoje drzwi, w bólu, tracąc co chwila przytomność.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, z trudem wdrapał się do łóżka. Niedługo potem znalazła go Lydike, która właśnie wróciła z zakupów, coś z nim robiła, zadawała mu jakieś pytania, ale nie rozumiał jakie. Potem było już tylko coraz goręcej, noce i dni zlały się w jedno. Każdy dotyk palił go w skórę, prześcieradło smażyło mu plecy jak płonąca oliwa, ale nie miał się nawet siły odwrócić. Widział twarze, mnóstwo twarzy - Lydike, Andanosa, Menekratesa, Dourisa, ale też Lamię, swojego ojca, Eufanora. Próbował z nimi rozmawiać,

ale język miał gruby jak kołek i ciężki jak serce dzwonu; zresztą w tym upale, który ogarnął jego głowę, myśli rozpląwały się, lepily się jedna do drugiej jak woskowe świece, kiedy nieuważnie zostawi się je na parapecie w słoneczny letni dzień.

Potem - nie wiedział kiedy, dwa dni później, a może dziesięć - było jeszcze gorzej, nie mógł już ruszać rękoma ani nawet sam pić; kiedy tylko otwierał oczy, wywracały się białkami do góry, nic nie widział. Oddychał ciężko, z najwyższym trudem, jakby ktoś usiadł mu na piersi. Aha, pomyślał w ostatnim przebłysku trzeźwości, więc tak to się kończy. A potem przestał już walczyć i po prostu zasnął.

\*\*\*

Leochares płynął przed siebie; woda była gęsta i ciepła, pachniała słodko. Nie wiedział, gdzie jest, ani jak tam się znalazł. Ramiona i nogi miał obolałe, tężejące; każdy kolejny ruch, który musiał wykonać, żeby chociaż utrzymać się na powierzchni, robił z ogromnym wysiłkiem. Wokół siebie widział tylko wodę, mnóstwo wody, aż po horyzont. Bogowie, pomyślał przerażony. Musiałem wypaść z jakiejś łodzi do morza. Gdzie ja mogę być? Może jednak wcale nie umarłem, tylko doszedłem do siebie po tej chorobie; w końcu to się zdarzało - sam byłem świadkiem - i ludzie często wtedy tracili pamięć. Może gdzieś płynąłem, ktoś gdzieś mnie wiozł, wypadłem za burtę i dopiero wówczas wróciła mi świadomość? Albo może to Charon wiozł mnie do krainy cieni i wyskoczyłem mu z łodzi? W wodach Styksu też się traci pamięć...

Wreszcie zauważył coś na horyzoncie - jakiś podłużny kształt, zarysowany na tle ciemnego burzowego nieba. Całe szczęście, morze było spokojne, nie było fal ani wiatru, więc nawet w tym stanie, wyczerpany do cna, dał radę płynąć przed siebie. Po jakimś czasie był już przekonany, że to statek - całe szczęście, nie oddalał się nigdzie, tylko stał w miejscu, najwyraźniej zakotwiczony. Dołożył wysiłku, uparcie pruć wodę, aż wreszcie zbliżył się na odległość dwóch, trzech stadionów. To była trirema, wyraźnie widział trzy rzędy wiosł.

- Hej! - zawołał najgłośniejszym głosem, jaki mógł. - Pomocy, człowiek zaburta!

Nikt mu nie odpowiedział; musiał być za daleko, jego głos zginął w szumie wody. Płynął dalej, zacisnąwszy zęby; sapał ciężko przy każdym ruchu. Nagle zauważył coś dziwnego. Wiosła były w wodzie, ale nikt nie wiosłował. Żagle były postawione, wydęte, mimo że nie było wiatru - a statek wcale się nie ruszał.

- Ahoj! - wrzasnął raz jeszcze. - Jest tam kto? Hej!

Znów żadnego odzewu. Podpłynął jeszcze bliżej, widział już nawet twarze wiosłarzy nad dulkami. Wszyscy byli wpatrzeni przed siebie, tkwili w zupełnym bezruchu i ciszy.

Wreszcie był na tyle blisko, że mógł złapać się jednego z wiosł. Nie ruszyło się wcale pod jego ciężarem, co go zdziwiło. Stuknął w nie - było zrobione z brązu. Wiosło z brązu? Co to za statek? Wtedy zorientował się, że wcale nie płynie w wodzie, tylko w jakiejś czerwonej lepkiej mazi. Zanim w pełni to do niego dotarło, cały statek znalazł się w cieniu; jakby przykryła go jakaś wielka kłębiasta chmura. Potem poczuł, że coś złapało go za himation, i poszybował w górę, szybko, szybciej niż ptak; statek robił się coraz mniejszy, z góry było widać, że jest zanurzony tylko z jednej strony, a z drugiej przytwierdzony do jakiejś zakrzywionej ściany. Wreszcie zdał sobie sprawę, na co patrzył: to był ogromny, gigantyczny krater z brązu, ze statkami odlanymi po wewnętrznej stronie krawędzi, wypełniony winem. A może krwią?

- Co się dzieje, Zeusie? - usłyszał potężny, gromki głos.

- Wyobraź sobie, Apollinie - odpowiedział mu inny głos, jeszcze bardziej huczny, prawie ogłuszający, jak burza przewalająca się przez góry - że w moim nektarze pływa jakiś człowiek!

Wtedy zobaczył ich twarze - ogromną, porytą zmarszczkami twarz Zeusa, porośniętą srebrną gęstą brodą, i Apollina, o skórze jakby z kości słoniowej, bursztynowych oczach i włosach jasnych i falujących jak pola pszenicy.

- Apollo! - wydarł się najgłośniejszym głosem, jak potrafił. - Pomocy! W Atenach jest plaga, setki ludzi umierają, tylko ty możesz coś zrobić! Oni ci palą setki ofiar, czekają, aż im pomożesz!

- Co? - huknął Zeus. - Słyszałeś co?

- Coś tam mówi, ale nie wiem co - odparł Apollo. - Daj, wrzucę go do paleniska.

- O tak. Nie ma jak zapach palonego mięsa!

- Nie, jak możecie! - Leochares wyrывał się i krzyczał. - Zostawcie!

Apollo wziął go w ręce od Zeusa, obwiązał sznurkiem jak szynkę, którą wędzi się nad kominem, i wrzucił go wprost między żarzące się głownie. Jego ubranie i włosy natychmiast stanęły w ogniu, poczuł obezwładniające gorąco.

- Aach! - wrzasnął, czując, jak ogień przypala mu skórę. Próbował uciec, odsunąć się od ognia, ale był skrupowany, nie mógł się ruszyć. Zaczął się rzucać, więc; wreszcie kawałek zwęglonej gałęzi, na której leżał, obłupał się, a Leochares potoczył się w dół.

\*\*\*

Turlał się w dół, przed oczami tańczyły mu iskry i płomienie, ogień smagał twarz. Wreszcie uderzył o coś twardego, było jakby zimniej; w ustach miał popiół, gorący i gorzki. Próbował się wyzwolić, ale ręce i nogi miał nadal związane. Chciał otworzyć usta, żeby

zacerpnąć powietrza, ale nie mógł też ruszyć szczęką, coś piło go w brodę. Próbował się rozejrzeć, nie widział jednak nic poza niebem, pełnym ciężkich, deszczowych chmur. Gdzie ja jestem? - Pomyślał. - Jestem żywy czy martwy?

- Jak wam nie wstyd, skurwysyny! - usłyszał czyjś głos, dziwnie znajomy. - Słyszałem, żeby dorzucać swojego trupa do cudzego stosu, ale żeby zrzucić najpierw nasze ciało, to już szczyt bezczelności!

- No i co mi zrobisz? - odpowiedział ktoś o histerycznie wysokim głosem. - Do sądu mnie weźmiesz? Albo może zabijesz? Jutro i tak pewnie będę martwy.

- Pieprzone kukułki - odpowiedział pierwszy głos, zbliżając się. - Pomóżcie mi, ogień jeszcze nie wygasł, wsuńmy go z powrotem.

- Heee - wyjęczał Leochares. - Eee...

- Poczekaj, on żyje! - wykrzyknął ktoś; zobaczył nagle przed sobą twarz Menekratesa.

- Trzeba go rozwiązać, szybko!

Coś się z nim stało, ktoś go podniósł; zamiast nieba widział teraz płonący stos, plac poryty dziurami, z których wystawały ludzkie ręce i nogi, setki słupów dymu, bijących w niebo z całego miasta. Ktoś majstrował coś przy jego brodzie; na ziemię upadła tasiemka. Opadła mu głowa, zobaczył, że jest ciasno owinięty w ozdobną tkaninę.

- Szybko, zanieście go do domu - usłyszał Menekratesa. - Trzeba posmarować tłuszczem poparzenia, zanim będzie za późno!

\*\*\*

Otworzył oczy. Widział sufit, ale nie ten, na który patrzył każdego ranka w domu, z belkami porytymi przez korniki, z gwoździkiem na zioła, tylko jakiś inny, z niepobielonych sosnowych desek, upstrzonych ciemnymi sękami. Przekręcił głowę na bok - leżał w dużym łóżku, przykryty kocem; okno było szczelnie zamknięte, nie wiedział, czy jest dzień, czy noc. Wyciągnął ręce na kołdrę - i krzyknął. Na lewej ręce brakowało mu trzech palców, od środkowego do małego, na prawej - jednego, serdecznego. Ramiona pokryte były małymi, okrągłymi bliznami, część była wielkości główki od gwoździa, inne jak moneta. Ściągnął z siebie koc, opuścił nogi na podłogę; rozłożona na ziemi barania skóra załaskotała go w stopy. Szedł powoli, opierając się o ścianę, jakby od nowa uczył się chodzić. Otworzył okno. Słońce było wysoko, ale nikogo nie widział na ulicy, tylko jakiś pies biegł przez miasto z kawałem mięsa w pysku, merdając ogonem. Zauważył, że na stojącej obok okna skrzyni leży lustro. Podniósł je, spojrział - i jęknął; ledwo się rozpoznał. Nos, już wcześniej niezbyt zgrabny, był teraz nabrzmiały i bulwiasty. Lewy policzek szpeciła czerwona blizna; broda była nierówna,

ponadpalana. Upuścił lustro, które z brzękiem spadło na podłogę; usiadł ciężko na łóżku.

Usłyszał czyjeś kroki, po chwili otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich łysa, piegowata głowa Menekratesa.

- Już wstałeś! Świetnie, to niebywałe! Jak cię czujesz?

- Bogowie, jak dobrze cię widzieć! A czuję się średnio - wychrypiał Leochares. - A jak spojrzałem w lustro, to jeszcze gorzej.

- Daj spokój - powiedział Menekrates. - I tak masz szczęście. Cztery palce i skóra pokryta tu i tam bliznami to nic... Niektórzy budzą się po chorobie, i odkrywają, że nie mają nic między nogami...

- A ja...

- Spokojnie, u ciebie wszystko jest na swoim miejscu.

- To co się właściwie stało? - Leochares rozmasowywał obolałe, okaleczone dłonie. - Ostatnie, co wyraźnie pamiętam, to jak wróciłem do domu.

- To było dwa tygodnie temu - odparł lekarz, też siadając na łóżku. - Widziałem cię następnego dnia, już nie poznawałeś ludzi. Potem chorowałeś osiem dni, każdego było coraz gorzej... I myśleliśmy, że już po wszystkim, że już nie żyjesz. Urządziliśmy ci pogrzeb i jakieś gnoje strąciły cię żerdzią ze stosu, żeby wrzucić tam swojego trupa... No ale gdyby nie oni, spłonąłbyś żywcem. Kolejne parę dni dochodziłeś do siebie, jadłeś, byłeś coraz silniejszy, ale ciągle nie poznawałeś ludzi, nie mówiłeś; bałem się, że straciłeś pamięć, ale widzę, że wszystko w porządku. Miałeś mnóstwo szczęścia.

- Bogowie, jak ja się teraz Lamii pokażę. - Leochares złapał się za głowę.

Menekrates się roześmiał.

- Co w tym takiego śmiesznego, co? - obruszył się Leochares.

- No tak, skąd masz wiedzieć... Leo, kiedy ona się dowiedziała, że jesteś chory, wbrew zaleceniom Dioklesa uciekła z domu, żeby się tobą zająć, i robiła to praktycznie sama. Tymczasem Lydike związała gdzieś razem z Andanosem... Potem, kiedy wróciłeś do żywych, zajmowała się tobą dniem i nocą, nie odstępowała cię nawet o krok, spała tu z tobą. Teraz się kąpie, pewnie zaraz wróci.

- Kłamiesz... Kłamiesz, żeby mnie pocieszyć.

- No, rozejrzyj się. Zawsze byłeś taki bystry, zobaczymy, czy ci tego choroba nie odebrała.

Leochares spojrzał na łóżko, przejechał dłonią po prześcieradle, podniósł ją przed oczy - między palcami tkwiło kilka długich ciemnobrązowych włosów; znał je bardzo dobrze. Wziął w rękę poduszkę, powąchał ją - czuł swój pot, kwaśny i niezdrowy, ale przebijał się

przezeń i inny zapach, lekki i słodki, woń jej ciała. Pod łóżkiem leżały jej sandały, a koło drzwi, na półce, zauważył grzebień, który kupił jako prezent tuż przed chorobą. Znowu usłyszał kroki na schodach, tym razem lżejsze.

- O, widzisz. O wilku mowa. Nie będę wam już przeszkadzał, trzymaj się!

Do pokoju weszła Lamia. Musiała się zmachać, wchodząc po schodach, oddychała ciężko, miała lekko rozchylone usta; mokre włosy opadały jej na ramiona, woda spływała po nich na cienką koszulę, pod którą widać było małe, sterczące sutki. Wyglądała przepięknie. Oślupiała, kiedy go zobaczyła; ręcznik wysunął jej się z palców, otworzyła szeroko oczy - a potem się uśmiechnęła.

- Lamia - wyszeptał Leochares, wbijając wzrok w jej stopy. - Nie wiem, od czego zacząć, czy cię najpierw przeproszać, czy ci dziękować.

- Na razie mnie przytul.

Objął ją delikatnie, położył głowę na jej ramieniu, schował twarz w zagłębieniu między szyją a obojczykiem. Poczuł jej dłoń w swoich włosach, jak całuje go w czubek głowy.

- Przepraszam - wydukał po chwili. - Przepraszam za to, jak cię wtedy potraktowałem, wiesz, jak wróciłem i cię nie było...

- Przeprosiny przyjęte - odpowiedziała cicho; w jej głosie słyhać było naraz radość z tego, że Leochares żyje, że ją pamięta, i złość, którą wywołały tamte wspomnienia. - Tylko proszę, nie traktuj mnie już nigdy w taki sposób. Pomyśl, jak się teraz czujesz, kiedy obudziłeś się po dwóch tygodniach, nie wiesz, co się z tobą działo, nic nie pamiętasz, dni zlały ci się w jedno... Ja tak myślę o ostatnich dwóch latach. Siedziałam w domu, w czterech ścianach, i czułam, jak życie mi przecieka między palcami; każdego dnia robiłam to samo, umierając po kawałeczku...

- Już tak nie będzie, obiecuję - powiedział Leochares, przytulając ją mocniej do siebie.

- Nie będę ci już nigdy mówił, co masz robić.

- Trzymam za słowo.

Leżeli przez chwilę w ciszy, ciesząc się sobą. Potem Leochares podniósł się na łokciu, spojrzał jej w oczy i spytał:

- Lamia... a nie przeszkadza ci, jak wyglądam?

- Nie. Wiesz, nigdy nie uważałam wyglądu za twoją największą zaletę.

- A mam w ogóle jakieś zalety?

- Jesteś przyzwoitym, mądrym facetem. Co prawda zdarzało ci się zachować jak świnia...

- No już, daj spokój, proszę... Opowiedz mi lepiej, co się z tobą działo, odkąd się ostatni raz widzieliśmy.

Położyli się koło siebie i rozmawiali - nadrabiali nie tylko ostatnie tygodnie, kiedy w ogóle się nie widzieli, ale ostatnie dwa lata, kiedy żyli w jednym domu, ale obok siebie, milczący. Zasnęli wtuleni w siebie, uśmiechnięci, a za oknem paliły się setki stosów.

\*\*\*

Leochares dochodził do siebie, każdego dnia czuł się coraz silniejszy. Był już bezpieczny - Menekrates utrzymywał, że nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś, kto przeżył jeden atak choroby, zapadł na nią ponownie. Ale kiedy słuchał, co dzieje się w Atenach, trudno było mu się cieszyć wracającym zdrowiem. Najpierw się dowiedział, że Scyles i jego chłopcy nie żyją - kiedy ludzie zorientowali się, że żaden Scyta jeszcze nie zachorował, uznali, że to oni musieli sprowadzić na miasto zarazę, że rzucili na Ateny jakiś swój barbarzyński urok. Jakiś staruch jakoby słyszał, że Scylesa zauważono w dwóch częściach miasta dokładnie w tej samej chwili, ktoś inny dorzucił, że widział, jak własnymi zębami zagryza jadowitego węża, i że podobno wiatr wyszeptał komuś jego imię. W końcu ktoś rzucił, że trzeba ich za to ukarać, tłum szybko to podłapał. Ludzie otoczyli dom Scytów, zabili deskami drzwi, a potem go podpálili; wszyscy, którzy byli w środku, spłonęli żywcem. Oczywiście nikt nie został ukarany; nawet gdyby komuś chciało się pofatygować i zgłosić przestępstwo, nic by to nie dało, bo sądy przestały się zbierać.

Podobno całe gangi najgorszych mętów snuły się po mieście, rabując te domy, w których wszyscy już umarli, albo mordując tych, którzy jeszcze zostali przy życiu. Chodziły słuchy o tym, że kobiety, które wychodziły same z domu, były gwałcone na ulicach i nikt na to nie reagował; ludzie przechodzili po prostu na drugą stronę. Słyszano też, że po Atenach snuje się jakiś rzekomy wieszcz, który obiecuje, że zdejmie z ludzi chorobę, jeśli złożą bogom w ofierze własne dzieci. Trudno w to było uwierzyć, ale to by tłumaczyło, czemu na ulicach miasta tak często znajdowano teraz chłopców i dziewczynki z poderżniętymi gardłami.

- Musicie stąd wyjechać - powiedział Diokles któregoś dnia. - Mój znajomy, który ma wobec mnie dług wdzięczności, wypływa jutro do Pantikapajonu, wiesz, tego miasta na północnych brzegach Morza Gościnnego.

- I co, mam zostawić ciebie i tych przyjaciół, którzy jeszcze żyją? Nie mógłbym tego zrobić - odparł Leochares.

- Posłuchaj mnie - zaczął Diokles; zięć nigdy nie widział go tak zdenerwowanego. - Miesiąc temu miałem sześć córek. Teraz cztery z nich już nie żyją, a piąta dogorywa. Nie



chcę, żeby Lamię spotkał ten sam los. Błagam cię, wyjedźcie stąd. To pewnie ostatni statek, który w tym roku wypłynie z portu, potem już nie będzie okazji.

- Na morzu też łatwo zginąć. O tej porze roku może nawet łatwiej niż w Atenach.

- Leocharesie - Diokles złapał go za rękę - Ateny popełniają samobójstwo na naszych oczach. Nie chodzi nawet o zarazę, ona minie, większa czy mniejsza, skończy się. Ale my ciągle przemy do wojny, jak ćma, która leci w ogień.

- To Perykles - powiedział Leochares. - To jemu się tak pali do wojny. Teraz ludzie przejrzą na oczy, przy pierwszym nadchodzącym Zgromadzeniu wywalą go na kopach.

- Nie byłbym taki pewien. A poza tym to nie Perykles, tylko ta cała demokracja. Wiesz co? Większość ludzi jest głupia. Większość ludzi jest bardzo łatwo podburzyć, oszukać, wmanewrować nawet w najgorsze gówno. Jeśli żyjemy w państwie, gdzie głos tej tłuszczy liczy się tak samo jak zdanie mędrców, skazujemy się na zagładę. Bo wiesz co jeszcze? Większość ludzi jest też zła. Chciwa, pyszna i brutalna. Oni zawsze będą głosować za wojną, nawet jeśli będziemy przegrywać, bo będą chcieli rewanżu. Zobaczysz, odsuną Peryklesa, a na jego miejscu pojawi się kolejny baran. Przecież ten Kleon, który już się szykuje, żeby go zastąpić, jest jeszcze gorszy, bo nie dość, że chciwy i ambitny, to jeszcze głupi. W Pantikapajonie jest inaczej, tam jest mądry, rozsądny król, ludzie zarabiają krocie na handlu zbożem... Proszę cię. Nie chcę, żeby moje wnuki wyrastały w tym mieście, żeby ktoś je kiedyś zabił w wojnie o nic.

- Nie wiem... - powiedział Leochares. - Musiałbym porozmawiać z Lamią.

- Już to zrobiłem. Zgadza się ze mną.

Leochares milczał; stanął w oknie, patrzył na Ateny, przyprószone popiołem, cuchnące śmiercią. Myślał o Eufranorze, człowieku, który był mu bliski jak ojciec, ale próbował go zabić, o Demoklesie, którego kochał jak szalony i którego już nie było; o Scylesie, barbarzyńcy, którym wprawdzie gardził, a potem się z nim zaprzyjaźnił, spalonym przez Ateńczyków, którym służył wierniej i sumienniej niż ich politycy; o Peryklesie, dla którego pracował tyle lat, który koniec końców okazał się nie mężem stanu, tylko cynicznym karierowiczem.

- Dobra - powiedział Leochares, zamykając okiennice. - Chodźmy się spakować.

\*\*\*

W ciągu dnia na nabrzeżu w Pireusie były tłumy. Ludzie oblegali te kilka statków, które jeszcze stały w porcie, żołnierze z trudem utrzymywali porządek. Niektórzy próbowali siłą wdrapać się na pokład po burtach, inni, widząc marynarzy, wyciągali w ich stronę złote

naszyjniki i sakwy pełne monet, gotowi zapłacić każdą cenę, byle zabrano ich z Aten. Mało komu się udawało. Przyjezdni kupcy bali się zarazy, wyładowywali tylko towar - zwykle jedzenie, którego ceny szybowały teraz w górę - i nie pozwalali wychodzić nikomu na ląd ani nikogo nie wpuszczali; handlowali z Ateńczykami, tak jak to się robiło z najbliższymi i najgroźniejszymi barbarzyńcami. Żadne ilości złota nie mogły zmienić ich zdania. Znajomy Dioklesa też okazał się mniej skłonny do pomocy, niż zakładali. W końcu przekonali go tym, że Leochares już przeszedł chorobę, a Lamia, mimo tego, że przez cały czas się nim opiekowała, na nią nie zapadła; oczywiście musieli też słono zapłacić.

Postanowiono, że wpuszczą ich na statek w nocy - inaczej wściekły tłum mógłby się na nich rzucić - a wypłyną następnego ranka. Cały dobytek - narzędzia złotnicze, parę naczyń ze srebra, trochę biżuterii i monet - mieli zapakowany w grube filcowe sakwy; w wiklinowych koszach wieźli prowiant na podróż. Wyjechali z domu na kilka godzin przed świtem. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego, ciszę przecinały tylko dochodzące ich z oddali lamenty; ktoś oplakiwał kolejnego zmarłego. Niebo było bezchmurne, co wróżyło dobrą pogodę, przynajmniej pierwszy dzień rejsu powinien być bezpieczny.

Wypłynęli, jak tylko zrobiło się jasno. Leochares stał przy burcie wraz z Lamią, chłonąc świeżą, zimną bryzę i patrząc, jak powoli oddala się miasto. Stojący na nabrzeżu ludzie stawali się coraz mniejsi i mniejsi - najpierw wielkości terakotowych figurek, potem jak mrówki, aż wreszcie zniknęli zupełnie. Długo jeszcze było widać głowę gigantycznej brązowej Ateny Promachos, bogini, która zawiodła swoje miasto w największej potrzebie, i dachy ogromnych świątyń na Akropolu, pomników ateńskiej pychy przebranych za ofiary dla bogów; w końcu jednak i to zasłoniła woda.

- Leo... - usłyszał nagle Lamię. - Źle się czuję... Strasznie mi gorąco...

Zamarł. Spojrzał na żonę; była blada, łzawiły jej oczy. Przyłożył dłoń do jej czoła, rzeczywiście, było rozpalone. Złapał się mocniej burty, przełknął ślinę, a potem powiedział najspokojniej, jak umiał:

- To tylko choroba morska, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

*Oksford-Warszawa-Cambridge, X 2008 - XI 2010*

## Posłowie

Pisząc tę książkę, starałem się być jak najwierniejszy faktom. W paru miejscach pozwoliłem sobie jednak na drobne zmiany biegu historii, a w innych luki w materiale załatałem fantazją.

W 430 roku w Atenach faktycznie wybuchła zaraza - choć nie na jesieni, jak w niniejszej książce, tylko wiosną; to drobne chronologiczne przekłamanie usprawiedliwiam swoją *licentia poetica*. Kolejne fale choroby uderzyły w miasto w latach 429 i 427-426, zabijając prawdopodobnie blisko jedną trzecią mieszkańców.

Perykles był zapewne mniej antypatyczną postacią niż w mojej książce, starożytni historycy piszą o nim pochlebnie - choć oskarżano go czasem o pychę i wypaczenie demokracji. Ateńczycy odsunęli go od władzy w 430 roku, ale już rok później, w 429 roku, zapomnieli o niedawnej urazie i ponownie wybrali go na stratega. Triumfalny powrót do polityki zakończył się jednak zaledwie po paru miesiącach, Perykles zmarł bowiem w trakcie drugiej fali zarazy, pogrzebawszy przedtem dwóch synów.

Zgodnie z obawami Dioklesa nie powstrzymało to wcale Ateńczyków przed kontynuowaniem wyniszczającego konfliktu; wojna peloponeska trwała do 404 roku i zakończyła się spektakularną klęską Aten. Sparta zapłaciła jednak bardzo wysoką cenę za swoje sukcesy, jej hegemonia nad Grecją została przełamana już dwa pokolenia później przez inne greckie miasto, Teby.

Scytyjscy niewolnicy faktycznie pełnili w Atenach rolę służb porządkowych. Niestety nie wiemy, kiedy, kto i jak sprowadził ich do Aten, ilu ich było ani kto nimi dowodził. Kreując postaci Scylesa i jego kompanów, opierałem się na materiałach archeologicznych i źródłach pisanych: na świadectwie Herodota i komediach Arystofanesa, z których można wywnioskować, że Ateńczycy uważali Scytów za niezbyt roztargniętych i lubili się śmiać z ich łamanej greki.

W czasie akcji książki Sokrates miałby około trzydziestki - nie wiadomo, czy już wówczas zajmował się filozofowaniem, ja założyłem, że tak; na pewno był aktywny siedem lat później, kiedy Arystofanes obśmiał go w komedii *Chmury*. Leochares miał rację, że całe to obracanie kota ogonem ściągnie na Sokratesa kłopoty - w 399 roku został skazany przez Ateńczyków na śmierć.

Czy Aspazja była nauczycielką Sokratesa - nie wiadomo, niektóre źródła sugerują, że tak, inne na ten temat milczą. W zasadzie każdy starożytny pisarz miał o niej odrębne zdanie:

jedni zachwycali się jej intelektem, inni wylewali na nią najgorsze pomyje i zarzucali jej manipulowanie Peryklosem. Na pewno była niezależną i interesującą kobietą; tak też starałem się ją przedstawić.

Leochares jest oczywiście postacią całkowicie fikcyjną - ale czy ktoś taki jak on mógł faktycznie istnieć? Trudno powiedzieć, bo chociaż starożytni historycy często wspominają o różnego rodzaju intrygach, przerzucaniu meldunków przez wraże tereny czy szpiegowaniu przeciwnika, to nie wspominają o ludziach, którzy zajmowaliby się takimi działaniami „na cały etat”. Brak takich informacji nie wyklucza ich istnienia - w końcu dobry szpieg powinien zawsze być w cieniu...

## *Nazwy, miejsca i postaci historyczne*

*...występujące w powieści. Wszystkie daty odnoszą się do okresu przed naszą erą.*

**Achilles** - zob. Hektor i Achilles.

**Adonis** - postać mitologiczna, przenośnie - przystojny młodzieniec.

**agora** - gospodarcze i polityczne centrum miast starożytnej Grecji.

**Akropol** - wzgórze będące religijnym centrum Aten.

**Akteon** - postać mityczna; podejrzwał Artemis w kąpeli, za co bogini zemściła się, szczując na niego jego własne psy.

**alytarch** - sędzia w zawodach sportowych.

**amfory panatenajskie** - charakterystyczne wazy, w których wręczano nagrody w trakcie igrzysk panatenajskich.

**andron** - dosłownie „pokój mężczyzn”; miejsce, gdzie odbywały się sympozjony. Każde z miejsc w andronie miało inny status, np. zajmowanie łoża przy gospodarzu uznawane było za zaszczyt.

**apobates** - dosłownie „ten, który zsiada”; mężczyzna pełniący tę prestiżową funkcję musiał, mając na sobie pełną zbroję, wpiętych wskoczyć na pędzący rydwan, a później zeń zeskoczyć.

**Archiloch** - poeta z greckiej wyspy Paros, tworzył w połowie VII wieku.

**archon** - urzędnik miejski sprawujący głównie funkcje honorowe; zajmował się też przeprowadzaniem rozwodów.

**aryballos** - małe, krągłe naczynie na oliwę i perfumy, używane między innymi przez atletów.

**Aspazja** (ok. 470-400) - partnerka Peryklesa; wedle niektórych starożytnych autorów - była hetera.

**astynomos** - urzędnik odpowiedzialny za sprzątnięcie miasta.

**Atena Fidiasza** - mowa o Atenie Promachos, monumentalnej, dziewięciometrowej rzeźbie z brązu stojącej na Akropolu, wykonanej przez słynnego rzeźbiarza Fidiasza.

**ateński system monetarny** składał się z min, drachm i oboli. 1 mina = 100 drachm = 600 oboli. Dzienna stawka niewykwalifikowanego robotnika w tym okresie wynosiła ok. 3 oboli.

**Attyka** - kraina, w której położone są Ateny.

**bakchantki** - towarzyski Dionizosa, które w religijnej ekstazie traciły nad sobą kontrolę.

**Baktria** - dzisiejszy Afganistan i okolice.

**Chairos** - bóstwo szczęścia i okazji.

**Charon** - postać mitologiczna, przewoził dusze na drugą stronę Styksu, w kierunku Hadesu.

**Chios** - wyspa położona na Morzu Egejskim.

**chiton** - ubiór grecki, rodzaj tuniki, w tym okresie noszony przeważnie przez kobiety.

**chrząszcz na sznurku** - popularna zabawa ateńskich dzieci.

**daimon** - rodzaj ducha.

**Dejanira** - jej naiwność przyczyniła się do śmierci Heraklesa, jej męża.

**dem** - odpowiednik naszej gminy.

**Dionizje** - festiwal religijny, w trakcie którego wystawiano sztuki teatralne.

**drachma** - zob. ateński system monetarny.

**drobniaki pod językiem** - z braku kieszeni Grecy często stosowali ten sposób przechowywania pieniędzy.

**dwanaście prac Heraklesa** - Herakles musiał wykonać dwanaście niezwykle trudnych zadań, by odpokutować zamordowanie własnej rodziny.

**Efialtes** (ok. 500-461) - ateński polityk i prawodawca, mentor Peryklesa.

**egida** - zbroja zrobiona ze skóry kozy Amaltei, noszona przez Zeusa i Atenę.

**Eleusis** - miejscowość pod Atenami, tam odbywała się najważniejsza część Wielkich Misteriów.

**Enneakrounos** - fontanna o dziewięciu kranach, położona u południowej krawędzi agory.

**epinetron** - narzędzie do gręplowania wełny o kształcie przypominającym dachówkę, nakładane na kolano.

**Epir** - dzisiejsza Albania i północna Grecja.

**erastes** - starszy homoseksualny kochanek; jego młodszy wybranek to eromenos.

**Erechtheus** - mityczny król, założyciel Aten.

**Eridanos** - rzeka płynąca przez Ateny.

**Erynia** - demon zemsty.

**Eumenidy** - część *Oresteji* dramaturga Ajschylosa, wystawiona po raz pierwszy w 458 r.

**Faleron** - miejscowość pod Atenami, stary port miasta.

**Filoktet** - postać mityczna; w trakcie wyprawy na wojnę trojańską został przez swych kompanów porzucony na wyspie ze względu na nieznośnie cuchnącą ranę nogi.

**Ganimed** - piękny młodzieniec, porwany na Olimp przez zakochanego w nim Zeusa.

**gimnazjon** - miejsce służące spotkaniom, edukacji i ćwiczeniom fizycznym.

**gorgona** - przerażający potwór płci żeńskiej.

**Hades** - zaświaty greckiej mitologii.

**Harmodios, Aristogeiton** - idealizowani przez Ateńczyków zabójcy tyrana Hipparchosa.

**harpie** - uskrzydłone demony, pół kobiety, pół ptaki.

**Hefajstos** - bóg ognia i kowali.

**Hekatajos z Miletu** (ok. 550-475) - wczesny historyk grecki; jego pisma się nie zachowały.

**Hektor i Achilles** - bohaterowie mitologii greckiej, walczący pod Troją; Achilles zemścił się na Hektorze, zabijając go i wlokąc jego przytroczone do rydwanu zwłoki wokół Troi.

**heloci** - ludność zniewolona przez Spartan, najniższa klasa społeczeństwa.

**herma** - typ rzeźby w kształcie prostokątnego słupa z osadzoną na nim głową i fallusem; często używana do przedstawień Hermesa.

**hetera** - luksusowa prostytutka, kurtyzana.

**himation** - grecki ubiór, rodzaj płaszcza.

**Hiperborejczycy** - mityczne plemię mieszkające na dalekiej północy.

**hubris** - tu: przesadna duma, bezczelność.

**Hypnos** - bóg snu.

**Jazon** - postać mityczna; musiał przywieźć złote runo z Kolchidy (dzisiejsza Gruzja), by zasiąść na tronie miasta Jolkos.

**Karyjczycy** - plemię zamieszkujące wybrzeża Azji Mniejszej.

**Ketos** - mitologiczny potwór morski.

**Kleon** (zmarł w 422) - polityk ateński, przewodził miastu w późniejszych latach wojny peloponeskiej.

**kleruch** - ateński osadnik, mieszkający na ziemiach sprzymierzeńców.

**konopie** - o tym niezdrowym nałogu Scytów piszą starożytni autorzy; ziarna tej rośliny zostały też odkryte w niektórych scytyjskich grobach.

**Korynt** - miasto sprzymierzone ze Spartą przeciw Atenom.

**Kos** - wyspa na Morzu Egejskim.

**krater** - naczynie do mieszania wina z wodą (Grecy uważali picie czystego wina za barbarzyństwo).

**Krezus** - król Lidii, znany z wielkiego bogactwa.

**król królów** - tytuł władcy Persji.

**kukulki** - były uważane przez Greków za wyjątkowo głupie.

**Lacedemon** - region, w którym położona była Sparta. Grecki alfabet wykazywał duże różnice w zależności od regionu, dlatego Ateńczyk mógł rozpoznać lacedemońskie litery.

**Laurion** - region Attyki, słynący z bogatych złóż srebra.

**Lesbos** - wyspa u wybrzeży Azji Mniejszej.

**lew nemejski** - mityczny potwór, którego pokonanie było jedną z prac Heraklesa.

**liturgia** - przymusowe świadczenie na rzecz państwa płacone przez bogatych obywateli.

**meander** - rodzaj ornamentu charakterystycznego dla sztuki greckiej, przypominający wijącą się rzekę; nazwa pochodzi od rzeki Meander.

**Megara** - miasto greckie sprzymierzone ze Spartą; zostało przez Ateny obłożone embargiem.

**Melos** - wyspa grecka na Morzu Egejskim.

**menada** - półdzika kobieta z orszaku Dionizosa, boga wina.

**Milet** - greckie miasto w Azji Mniejszej.

**mina** - zob. ateński system monetarny.

**Minos** - mityczny król Krety, ojczym Minotaura.

**Mojry** - boginie losu, życia i śmierci.

**naos** - główna nawa świątyni.

**nektar** - napój bogów w mitologii greckiej.

**obol** - zob. ateński system monetarny.

**Olimpiejon** - ogromna świątynia, której konstrukcję rozpoczął tyran Pizystrat (ok. 600-528), ukończył ją dopiero kilkaset lat później rzymski cesarz Hadrian.

**Oltarz Dwunastu Bogów** - sanktuarium położone przy agorze.

**ostracyzm** - proces, w którym Ateńczycy mogli wskazać polityka podejrzanego o tyranie i wygnąć go na dziesięć lat z miasta. Głosowano za pomocą kawałków potłuczonych waz, na których wydrapywano imię oskarżanej osoby.

**ostrakon** - fragment glinianego naczynia, często używany jako materiał do pisania.

**Panatenaje** - najważniejszy religijny festiwal Aten.

**Pandora** - pierwsza kobieta, zesłana na ziemię przez bogów, by ukarać mężczyzn.



**pankration** - szczególnie brutalny sport, połączenie zapasów i boksu.

**Pantikapajon** - miasto greckie położone na wschodzie Półwyspu Krymskiego; dzisiejszy Kercz.

**Pegaz** - skrzydlaty koń Bellerofonta, dał nazwę gwiazdozbiorowi.

**Pelagikon** - część Aten, niezamieszkała do czasów wojny peloponeskiej z powodu starej wróżby.

**Persefona** - grecka bogini, córka Demeter; jesień i zimę spędzała w zaświatach, wiosnę i lato - na ziemi.

**Perykles** (ok. 495-429) - najważniejszy polityk ateński początków wojny peloponeskiej.

**Pireus** - główny port Aten, połączony z centrum miasta Długimi Murami.

**Plateje** - miejsce bitwy lądowej (479) podczas wojen perskich, wielkiej porażki Persów.

**Pnyks** - wzgórze położone w Atenach.

**porne** - prostytutka, dziwka.

**pornoboskos** - dosł. „pasterz dziwek”, innymi słowy alfons.

**Propyleje** - monumentalna droga wiodąca na Akropol.

**ryton** - naczynie w kształcie rogu.

**Salamina** - wyspa położona nieopodal Aten, u której brzegów miała miejsce wielka bitwa między grecką a perską flotą w 480 roku, podczas wojen perskich.

**Samos** - wyspa grecka na Morzu Egejskim.

**satrapa** - perska nazwa namiestnika prowincji; jednym z symboli jego wysokiej pozycji był ozdobny parasol.

**satyr** - postać mitologiczna, pół człowiek, pół kozioł.

**Scytowie** - koczowniczy lud zamieszkujący w starożytności północne wybrzeża Morza Czarnego.

**Semonides z Amorgos** - jeden z pierwszych znanych nam greckich poetów, tworzył w VII w.

**Sfinks** - potwór płci żeńskiej w mitologii greckiej; pożerała podróżnych, którzy nie potrafili rozwiązać jej zagadki. Właściwej odpowiedzi udzielił jej dopiero Edyp, tym samym ją pokonując.

**Siedmiu Mędrców** - ustalona przez tradycję grupa wybitnych prawodawców i filozofów.

**Sindianie** - plemię zamieszkujące dzisiejszy Półwysep Tamański.

**stadion** - grecka miara odległości, w Atenach równa 185 metrom.

**Stoa Poikile** - budynek przy Agorze, słynący z umieszczonych w nim obrazów.

**strateg** - dowódca wojskowy, urzędnik wysokiego szczebla.

**Styks** - według mitologii greckiej rzeka, za którą zaczynały się zaświaty.

**stymfalijskie ptaki** - potwory, które Herakles musiał pokonać w ramach dwunastu prac.

**sympozion** - męskie spotkanie, podczas którego oddawano się picciu wina, dyskusjom i innym rozrywkom.

**Szyf** - postać mityczna; za obrazę bogów skazany na wtaczanie pod górę wiecznie osuwającego się kamienia.

**świnia** - w języku greckim słowo to było też wulgarnym określeniem żeńskich narządów płciowych.

**Tantalos** - postać mityczna; oburzył bogów, podając im jako potrawę swego własnego syna.

**Tazos** - wyspa na północnym krańcu Morza Egejskiego.

**Teby** - miasto sprzymierzone ze Spartą przeciw Atenom.

**Telesterion** - część sanktuarium Demeter i Persefony w Eleusis, odbywały się tam najważniejsze elementy misterii.

**Teognis z Megary** - poeta tworzący w VI w., często poruszał kwestie miłości homoseksualnej.

**Tesalia** - kraina na północy Grecji.

**Tezeusz** - bohater mitologii greckiej, pogromca pół człowieka, pół byka Minotaura.

**tolos** - siedziba prytanejonu, czyli rady miasta.

**Trakowie** - plemiona zamieszkujące dzisiejszą Bułgarię.

**trirema** - okręt wojenny.

**Wielkie Misteria** - festiwal religijny ku czci Demeter i Persefony.

**wojna**, podczas której rozgrywa się akcja - wojna peloponeska (431-404), wyniszczający konflikt między Atenami a Spartą.

**wojny perskie** - seria konfliktów między Grekami a Persami, rozpoczęta w 499.

**wylosowany do pracy** - większość urzędów w Atenach była obsadzana w ten właśnie sposób.

**zając** - tradycyjny podarek ofiarowywany młodszym kochankom przez starszych adoratorów.

**Zgromadzenie** - centralny organ ateńskiej demokracji.

**złote runo** - mityczny skarb, o którego zdobycie walczyli Jazon i Argonauci.

Informacje na temat realiów, faktów i postaci historycznych oraz nazw geograficznych znajdzie Czytelnik w słowniczku na końcu książki. Dla ułatwienia wszystkie hasła, które nie są nazwami własnymi, oznaczono w tekście gwiazdką. [↵]

Semonides z Amorgos, fragment 7, ll; 1-5 (tłumaczenie autora). [↵]

Semonides z Amorgos, fragment 7, ll; 56-61; 66-67 (tłumaczenie autora). [↵]